PISZ NA WATYKAN
Papież za nas nie posprząta

NIE TYLKO COVID
Nieufność: choroba współistniejąca

DOTKNIJ MNIE TU
Jak nie rozmawiamy o seksie

OLGA HUND
Dziewczyny, bunt i gniew

POCZĄTEK POLSKI
Niż melancholii nad Bałtykiem

Kraków 21 marca 2021 nr 12 (3741) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

Siostra Matka Córka

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE
Już w sprzedaży!

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dzieweczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.

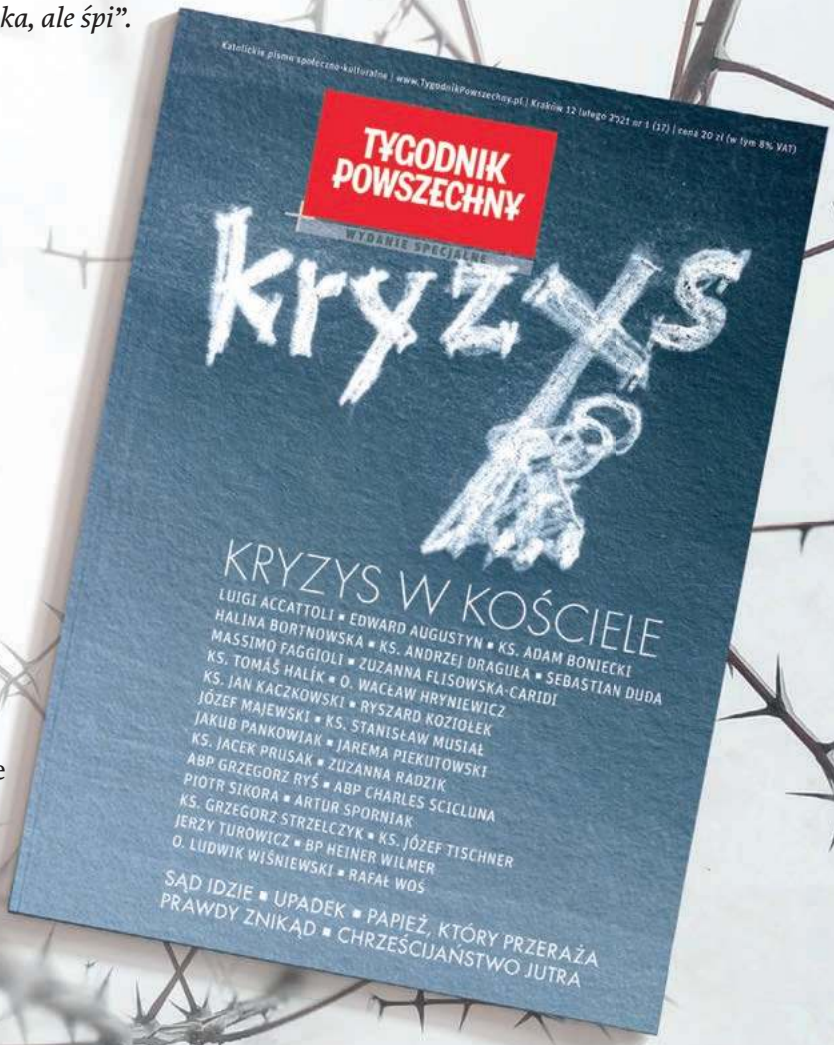

weź, czytaj!

„Kryzys w Kościele” – już w sprzedaży w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER WYDANIA: wydawnictwo

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

KS. ADAM

Boniecki: *Noni poza granicami*

Ks. Jacek Prusak, zainspirowany książką księdza Tomáša Halíka „Odkrywanie wspólnoty", napisał artykuł o „duszy nona". Artykuł ważny, bo nonów nie da się pominąć w debacie o koniecznych zmianach w Kościele. Noni – jak pisze ks. Prusak – są najszybciej powiększającą się grupą wśród innych afiliacji religijnych. O kim mowa?

Jacek Prusak prezentuje ich dość obszernie. Tu wystarczy powiedzieć w wielkim skrócie, że w badaniach jako noni identyfikują się albo są identyfikowani ci, którzy w odpowiedzi na pytanie „jaka jest twoja religia, jeśli jakakolwiek?" odpowiadają: *none* – żadna. Nie przyznają się do żadnej religii, jednak nie są *sensu stricto* ateistami. Większość z nich wierzy w Boga, wielu określa siebie jako osoby „duchowe", wielu odczuwa głęboką więź z naturą i ziemią, dość często mówią o powiązaniu z Siłą Wyższą, prawie co drugi częściej lub rzadziej się modli.

Ksiądz Halík przewiduje, że Kościół przyszłości, obok duszpasterstwa zadomowionych w swoich wspólnotach wierzących i klasycznych misji zorientowanych na pozyskanie nowych członków, będzie musiał rozwinąć trzeci rodzaj posługi: duchowe towarzyszenie poszukującym. Do tej kategorii – według ks. Prusaka, z którym trudno się nie zgodzić – należą właśnie noni. O tej nowej posłudze Kościoła – służbie poszukującym – ksiądz Prusak mówi... zresztą, sami Państwo przeczytajcie, co mówi.

Spotkałem w moim życiu wielu nonów. W latach 60., gdy byłem młodym księdzem, popularne było, wywodzące się od Karla Rahnera, pojęcie „anonimowe chrześcijaństwo". Nie tu miejsce, by szerzej omawiać myśl Rahnera. Zainteresowanych odsyłam do znakomitego jej omówienia w (dostępnym w internecie) artykule Georgesa De Schrijvera z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven, „Od »anonimowego chrześcijaństwa« do »anonimowego chrześcijańskiego mistycyzmu«" („Poznańskie Studia Teologiczne", tom 21, 2007, przekład Małgorzaty Wiertlewskiej). Autor pokazuje, dlaczego według Rahnera „iść za Jezusem Chrystusem mogą również ludzie, którzy nigdy nawet o Nim nie słyszeli (ponieważ należą do innej kultury), jak i ci, którzy nie potrafią rozpoznać osoby Chrystusa w Kościele instytucjonalnym (i jego scentralizowanej strukturze władzy), czyli współcześni ateiści".

Chociaż wiem, że noni nie są ateistami, i że Rahnerowi przede wszystkim chodziło o religie niechrześcijańskie, przywołuję tu pojęcie „anonimowego chrześcijaństwa", by zapewnić, że w trzecim (nowym) rodzaju posługi Kościoła – o którym mówią ks. Halík, a za nim ks. Prusak – nie ma nic ze strategii zawłaszczania. Wprost przeciwnie, punktem wyjścia jest pewność, że (tu znów Schrijver): „niezależnie od tego, czy sobie to uświadamiają, czy nie, ludzie (a to znaczy: każda istota ludzka) znajdują się w strukturalnej kondycji, w której Bóg, z własnej inicjatywy, zbliża się do nich z zadziwiającą bezpośredniością". Bowiem „musi istnieć coś takiego jak (...) chrześcijańska droga życia poza granicami Kościoła instytucjonalnego, gdyż bezpośrednia bliskość Boga jest dana strukturalnie każdemu człowiekowi bez wyjątku". ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Komunikat
dla Prenumeratorek i Prenumeratorów

Szanowni Państwo, w związku ze zmianą drukarni od lutego 2021 roku operatorem wysyłki prenumeraty „Tygodnika Powszechnego" jest firma Walstead Central Europe Sp. z o.o. z siedzibą w Krakowie przy ul. Obrońców Modlina 11. Wysyłka Państwa numerów realizowana jest przez ww. firmę na podstawie umowy dystrybucyjnej.

Wydawca

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Tylko nie mów papieżowi
EDWARD AUGUSTYN
W kwestii rozliczeń polskiego Kościoła z problemem pedofilii nie ma co liczyć na pomoc z Watykanu.

20 Walka z pandemią, walka o zaufanie
KLAUS BACHMANN
Rządzący wykorzystali walkę z kryzysem do propagandy i manipulują danymi. Ale nawet gdyby tego nie robili, i tak duża część obywateli przestrzegałaby restrykcji tylko z obawy przed karą.

56 Berliński raj
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Epidemia przepędziła z niemieckiej stolicy turystów i biznesmenów. Na ulicach zostali bezdomni, w tym rzesze Polaków. Nie garną się, aby wracać do kraju.

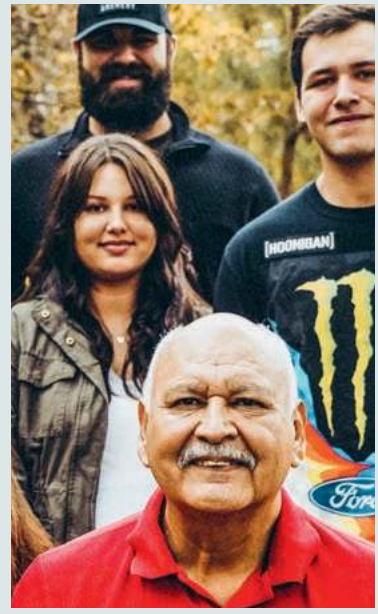

67 Czirokezi walczą z czasem
MARTA ZDZIEBORSKA
W dotkniętych epidemią indiańskich rezerwatach w USA przynajmniej jedno idzie sprawnie: niektóre plemiona zaszczepiły już ponad połowę swoich członków.

80 Pękło
ROZMOWA Z OLGĄ HUND, PISARKĄ:
Moment, w którym dziewczynka pierwszy raz wybucha niekontrolowanym, spazmatycznym płaczem, żalem i gniewem, powinien być celebrowany jak rytuał przejścia.

94 Początek Polski
MICHAŁ SOWIŃSKI
Wraz z pierwszymi sztormami nad Bałtykiem rozbudowuje się niż melancholii. Czuć go w szumie powykręcanych sosen, sinym kolorze morza, wszechobecnej pustce. I nie chce odejść.

DAMIAN KLAMKA / EAST NEWS // ANDRZEJ GRYGIEL / PAP // ARCHIWUM PRYWATNE // PIOTR ZAJĄC / REPORTER // SEBASTIAN GLAPIŃSKI DLA „TP" // CLEMENS BILAN / EPA / PAP

6 Inicjatywa po stronie wirusa
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Walka z pandemią, walka o zaufanie
KLAUS BACHMANN

23 Dotknij mnie tutaj
ROZMOWA Z KASIĄ KOCZUŁAP, EDUKATORKĄ SEKSUALNĄ
o tym, dlaczego nie umiemy rozmawiać o seksie

26 Krakowiacy i hailendars
MAREK RABIJ:
Indyjska youtuberka opowiada o Polsce rodakom

■ ■ WIARA

30 Dusza nona
JACEK PRUSAK SJ:
Duchowi, niereligijni

34 Zapasy teologiczne
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI:
Spór niemieckich teologów z Watykanem o interkomunię

37 Dziedzictwo Karabachu
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
Azerbejdżan – nie tylko Kościół ormiański

38 Pomarańcza od pątnika
RENATA GRZEGORCZYKOWA, ELŻBIETA JANUS:
Wspomnienie ks. Januarego Budzisza

■ ■ ŚWIAT

56 Berliński raj
ŁUKASZ GRAJEWSKI

GRAŻYNA MAKARA

DODATEK

SIOSTRA-MATKA-CÓRKA

41 JUBILEUSZ S. MAŁGORZATY CHMIELEWSKIEJ
O tym, skąd przyszła, dlaczego niektórych irytuje, jak ratuje honor Kościoła i czy powinna zostać kardynałem. Ks. Boniecki, kard. Krajewski i inni o wybitnej zakonnicy z okazji jej jubileuszu.

■ FELIETONY ■

29 JACEK PODSIADŁO **39** WOJCIECH BONOWICZ
74 HANNA KRALL **92** JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:
S. Małgorzata Chmielewska, marzec 2021 r.
FOTOGRAFIA: Grażyna Makara

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

61 Braterska pomoc z Pekinu
MARTA SZPALA:
Dzięki chińskim dostawom Serbia została europejskim liderem szczepień

64 Zakładnicy Putina
ROZMOWA Z NIKOŁAJEM POŁOZOWEM, PRAWNIKIEM I OBROŃCĄ W PROCESACH POLITYCZNYCH:
Kreml uważa Tatarów za kogoś w rodzaju Aborygenów

67 Czirokezi walczą z czasem
MARTA ZDZIEBORSKA

■ ■ HISTORIA

70 Welowanie
ZBIGNIEW ROKITA:
Jakiego państwa sto lat temu życzyli sobie Górnoślązacy

■ ■ NAUKA

76 Dlaczego algorytmy się mylą
JAREK GRYZ:
Sztuczną inteligencję łatwo przyłapać na błędach

■ ■ KULTURA

80 Pękło
ROZMOWA Z OLGĄ HUND, PISARKĄ

84 Wstawać trupy!
JAN BŁASZCZAK
o zespole Furia

87 Polska w oku
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Widzów kinowych portret własny

90 Ballada o bezmiejscowych
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Nomadland”

92 Czesi mniej znani
LEKTOR *o książce „Czescy ekspresjoniści” Jindřicha Chalupecký'ego*

■ ■ ZMYSŁY

94 Początek Polski
MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
A może to mit, że prawica i prowincja nie lubią albo nie rozumieją troski o środowisko naturalne? – **RAFAŁ WOŚ** w autorskim cyklu pisze o tym, by porzucić narrację, że tylko „lewica jest eko” **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]
Co wyjątkowego jest w głównym przedstawieniu Zaśnięcia i Wniebowzięcia Marii? I dlaczego zmartwychwstały Chrystus spaceruje z łopatą? – **MAGDALENA ŁANUSZKA** opowiada o odnowionym ołtarzu mariackim **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

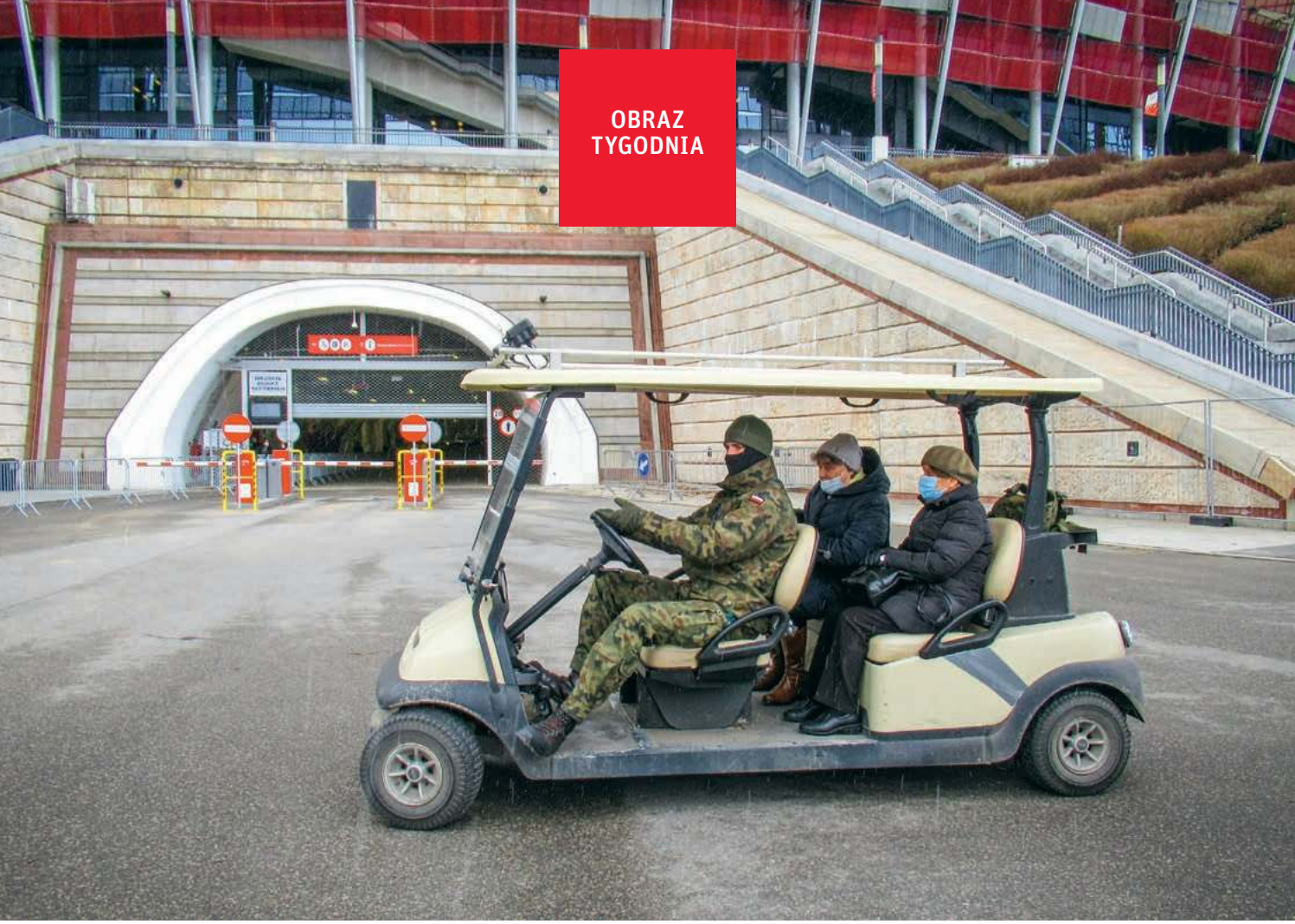

Szczepienia seniorów przeciwko COVID-19. Szpital Narodowy, Warszawa, 8 marca 2021 r.

INICJATYWA PO STRONIE WIRUSA

Eksperci coraz ostrzej zarzucają rządowi reaktywność, w dodatku opóźnioną i nieskuteczną.

MACIEJ MÜLLER

Nie myślmy o końcu pandemii, ale raczej o życiu w pandemii. Ona może trwać jeszcze kilka, kilkanaście lat" – powiedział immunolog dr Paweł Grzesiowski. O tym, że tęsknota za światem, który straciliśmy rok temu, donikąd nas nie doprowadzi, mówił też ostatnio w TVN prezes PAN prof. Jerzy Duszyński. Podkreślił, że bez względu na prowadzoną akcję szczepień na świecie będą utrzymywały się rezerwuary SARS-CoV-2 – np. w krajach uboższych, dokąd nie trafi odpowiednia liczba dawek. Wirus będzie poza tym mutował w organizmach zwierzęcych – i z tych pozycji może ponownie zaatakować.

Mamy oczywiście możliwość modyfikacji szczepionek, potrafimy COVID-19 skuteczniej leczyć – ale ta wojna potrwa jeszcze długo, i to nie my mamy w niej inicjatywę. Dlatego musimy przystosować się do warunków, które wojna tworzy. „Zbudujmy pewne sposoby zachowania, pewną innowacyjność w środkach transportu publicznego, w muzeach, kinach, restauracjach" – mówił prezes PAN. Lekcję taką przerobiły już dawno kraje azjatyckie – po epidemii SARS1 czy MERS.

Niemiecki Instytut Roberta Kocha prognozuje, że w tygodniu po Wielkanocy liczba nowych przypadków zakażeń przewyższy poziom z Bożego Narodzenia. W Polsce będzie zapewne podobnie, choć nasze wykresy wspinają się stromiej. Eksperci coraz ostrzej zarzucają rządowi reaktywność, w dodatku opóźnioną i nieskuteczną. Przykład? Ogniska epidemiczne kilka tygodni temu tliły się w trzech powiatach województwa warmińsko-mazurskiego. Skuteczna strategia nakazywałaby wprowadzenie tam punktowych lockdownów – zamiast tego, kiedy już było za późno i fala infekcyjna się rozlała, zamknięto całe województwo. „Wolałbym bardzo ostry lockdown przez 2-3 tygodnie niż przez pół roku »nie wiadomo co«" – komentował Grzesiowski.

W Polsce miejsca w szpitalach nie kończą się tylko w ministerialnych statystykach. Lekarze zgłaszają, że na oddziały trafiają ludzie młodsi niż w poprzednich falach – co tłumaczy się dominacją brytyjskiego wariantu koronawirusa, bardzo zakaźnego, który zaatakował nowe grupy społeczeństwa. O powadze sytuacji świadczy komunikat NFZ zalecający ograniczenie zabiegów planowych.

Tymczasem akcja szczepień w Europie nie może wyjść z fazy zadyszki. Koncern AstraZeneca zapowiedział, że w kolejnym kwartale znowu nie zdoła zapewnić Unii zagwarantowanej w umowach liczby dawek. To zła wiadomość dla krajów, które swoje plany szczepień oparły głównie na tym (najtańszym) preparacie. Jakby tego było mało, preparat AstryZeneki po raz kolejny trafił pod pręgierz. Po 30 przypadkach powikłań zakrzepowo-zatorowych (na 5 mln Europejczyków, którym podano produkt AZ) część krajów zawiesiła stosowanie jednej partii tej szczepionki. Europejska Agencja Leków podkreśla jednak: nic nie wskazuje na to, że szczepionka jest powiązana ze zwiększonym ryzykiem zakrzepów, liczba tzw. zdarzeń u osób zaszczepionych nie była wyższa niż w populacji ogólnej. Z kolei w Wielkiej Brytanii podano już 11 mln dawek AstryZeneki i nie stwierdzono zwiększonego zagrożenia wystąpienia zakrzepów.

Eksperci podkreślają, że korzyści ze szczepienia (redukcja śmiertelności z powodu COVID-19 o ponad 90 proc.) zdecydowanie przewyższają ryzyko. A wielkość zaszczepionej populacji to kluczowy czynnik, który pozwala nam marzyć o wyrównaniu kiedyś szans w wojnie z wirusem. ©℗

ZOFIA I MAREK BAŻAK / EAST NEWS

Opozycja musi zwalczyć pokusę resetu

PAWEŁ BRAVO

Czy opozycja ma poprzeć ustawę ratyfikującą przystąpienie Polski do unijnego programu pożyczek i dotacji zwanego potocznie funduszem odbudowy po pandemii? W tej kwestii sprzeciw Warszawy oznaczałby wysadzenie w powietrze starannie wyważonego mechanizmu. Z tym głosowaniem wiąże się jednak drugie, dotyczące tzw. krajowego programu odbudowy, który nakreśla kierunki wydatkowania pieniędzy przez polski rząd. Zjednoczona Prawica się w tej sprawie – zgodnie z ostatnim trendem – jeszcze bardziej skłóciła, Solidarna Polska nie chce poprzeć ratyfikacji funduszu. Oczywiste, wydawałoby się, że większość opozycji (minus Konfederacja) winna być entuzjastycznie nastawiona do tego projektu, który, jeśli się powiedzie, popchnie Unię w stronę większego federalizmu.

Z drugiej jednak strony są solidne powody przypuszczać, że PiS usilnie będzie starać się wykorzystać niemałe pieniądze dla własnych politycznych korzyści – choćby kierując ich więcej do regionów i branż, w których może liczyć na utwardzenie elektoratu, albo po prostu budując jeszcze większą sieć nepotyzmu. Oczywiste i słuszne jest więc żądać od władzy, by negocjowała bardziej transparentne i zrównoważone wydatkowanie środków. Znając jednak jej niechęć do ustępstw, można się spodziewać, że odmówi, licząc, iż opozycja ugnie się i tak w każdym przypadku.

Niektórzy doradcy suflują opozycji, by się przed takim szantażem nie ugięła, bo to może przyspieszyć kryzys obozu władzy i doprowadzić do resetu na scenie politycznej. Ale to czyste chciejstwo, jeśli się popatrzy na obecną arytmetykę sejmową albo na sondaże. Opozycja raczej powinna się tym razem ugiąć. W pewnych sytuacjach jej rolą nie może być dążenie do wywrócenia układu władzy za wszelką cenę, a raczej uporczywe punktowanie nadużyć oraz utrudnianie ich – tam, gdzie to możliwe. W tym sensie formułowane obecnie postulaty dotyczące uczciwego wydawania środków i późniejszy udział w nadzorze nad „odbudową" można potraktować jako solidny sposób na wykazanie się strategicznym myśleniem i instynktem państwowym przed najbliższymi wyborami. ©℗

Działanie na pokaz czy na postrach

PAŃSTWOWA KOMISJA ds. Pedofilii wysłała do Prokuratury Generalnej zawiadomienia dotyczące podejrzenia o popełnieniu przestępstwa przez czterech hierarchów: kard. Stanisława Dziwisza oraz biskupów Tadeusza Rakoczego, Romana Pindla i Piotra Gregera. Chodzi o przestępstwo niezawiadomienia organów ścigania, mimo posiadanej wiedzy o krzywdzeniu małoletniego. O wszczęcie takiego postępowania wnioskował pełnomocnik Janusza Szymika, który w latach 70. był wielokrotnie wykorzystany przez ks. Jana Wodniaka, kapłana należącego do dzisiejszej diecezji bielsko-żywieckiej.

Proces kościelny przeciw księdzu rozpoczął się w styczniu 2014 r. i zakończył dekretem Kongregacji Nauki Wiary w grudniu 2017 r. Obowiązek „niezwłocznego powiadamiania organów ścigania" przez tych, którzy posiądą wiarygodną wiadomość o przestępstwie wykorzystania seksualnego nieletnich, został wprowadzony 13 lipca 2017 r. Czy działa on wstecz i czy wyżsi przełożeni od tego czasu powinni zgłosić do prokuratury wszystkie znane im przypadki z lat ubiegłych? O to prawnicy wciąż się spierają, wskazując na niejasność nowego przepisu.

Zdaniem komisji, nie ma przeszkód formalnych, by do odpowiedzialności mogły zostać pociągnięte osoby, które powzięły wiarygodną wiadomość o przestępstwie przed wejściem w życie noweli art. 240 kk. Inaczej ten przepis interpretują prokuratorzy. Już zdarzały się uniewinnienia przełożonych kościelnych w sprawach dotyczących przestępstw dokonywanych przed lipcem 2017 r. I prawdopodobnie taki sam los spotka powyższe zawiadomienie Prokuratury Generalnej.

Ale nawet jeśli działanie komisji jest „na pokaz", na pewno zmobilizuje biskupów, by na wszelki wypadek zgłosić dawne sprawy. Pytanie tylko, co z tego wyniknie dla ofiar?

©℗ ARTUR SPORNIAK

Adopcje dla par jednopłciowych: przed nami debata

„SZANUJĄC PRAWA osób o odmiennej orientacji (...) należy zawsze pamiętać o nadrzędnej wartości, jaką w każdym społeczeństwie powinno być dobro dziecka. Dlatego Ministerstwo Sprawiedliwości (...) przygotowało projekt ustawy, która chroni dzieci przed adopcją przez pary homoseksualne" – zapowiedział resort Zbigniewa Ziobry. Ale dobro dziecka – tak jak je rozumie szef Solidarnej Polski – nie ma tu znaczenia: pary jednopłciowe nie posiadają w Polsce prawa do adopcji. Ten projekt to kolejna wrzutka ministra na użytek wewnętrzny (szachowanie współkoalicjanta) i „demonstracja suwerenności" – odpowiedź na rezolucję Parlamentu Europejskiego o strefie wolności LGBT+.

Zapowiedź szefa SP może przyspieszyć debatę, która się w Polsce nigdy nie odbyła. Debatę, w której padną – odwołujące się właśnie do dobra dziecka – pytania o naukowe argumenty przeciw adopcji przez pary jednopłciowe. I niewygodne dla prawicy pytania o polskie realia: dużo dzieci, głównie chorych i niepełnosprawnych, czeka dziś na rodziny – rząd Ziobry nie zrobił wiele dla ich dobra (drastyczne ograniczenie adopcji zagranicznych zwiększyło liczbę tych dzieci).

Zmienia się polski model rodziny, zmieniają się poglądy. A ludzie wychowujący już – bez zgody ministra Ziobry – dzieci w ramach związków jednopłciowych (np. matka po rozwodzie, wraz z partnerką) coraz częściej wychodzą z ukrycia. Wkrótce z ukrycia w sferze tabu może też wyjść temat adopcji.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ostrołęka: stracony miliard

„POSTAWILIŚMY SOBIE JAKO KRAJ bardzo ambitne zadanie, że zlikwidujemy wykorzystywanie węgla w kraju do 2049 r. To zostało już podpisane i (...) trzeba to po prostu realizować" – tymi słowami minister energii Krzysztof Tchórzewski skomentował decyzję o rozbiórce elektrowni Ostrołęka C, której budowa pochłonęła dotąd co najmniej 1,3 mld zł. Miejsce bloków węglowych mają teraz zająć instalacje gazowe.

Słuchając ministra łatwo dojść do wniosku, że w polskiej strategii energetycznej doszło do nagłych przetasowań. Istotnie, w ub.r. zgodziliśmy się przyjąć w końcu strategię dekarbonizacji gospodarki, o której mowy nie było, kiedy w 2009 r. zapadała decyzja o rozbudowie ostrołęckiej elektrowni. Rzecz w tym, że już w 2012 r. analizy pokazały, że inwestycja nie ma ekonomicznej racji bytu. Budowę wstrzymano. Na jej kontynuację naciskali za to politycy PiS – na czele z samym Tchórzewskim, który był wtedy posłem z pobliskiego okręgu siedleckiego.

Tłumaczy go tylko jedno – od 1989 r. politykom wszystkich ugrupowań brakuje odwagi i wyobraźni, by nadać polskiej energetyce nowy kształt. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

CZŁOWIEK TYGODNIA
Kolejny tydzień upływa pod znakiem Daniela Obajtka. Media rozpisują się na temat posiadanych przez prezesa Orlenu nieruchomości, z których część miała zostać nabyta poniżej ceny rynkowej, a niektóre zostały przepisane na członków rodziny; osobnym tematem są dotacje, jakie powiązane z nim spółki otrzymywały ze środków publicznych.

WÓJT TUSZOWA
Onet ujawnił korespondencję wójta gminy Tuszów Narodowy z rzecznikiem praw obywatelskich: w 2019 r. Adam Bodnar zaapelował, by tamtejszy samorząd wycofał uchwałę o „przeciwdziałaniu ideologii LGBT" jako niezgodną z prawem, a w odpowiedzi przeczytał, że światu „opętanemu przez szatana i seks" grozi kara gorsza od tej, jaka spotkała biblijną Sodomę i Gomorę.

SENATOR NIEZALEŻNY
Tymczasem PiS-owi może się udać wybranie następcy Bodnara: senator PSL Jan Filip Libicki ogłosił, że skłania się ku poparciu kandydatury posła Bartłomieja Wróblewskiego, a ponieważ ludowcy wykluczają poparcie czynnego polityka na urząd RPO, rozważa również zostanie senatorem niezależnym.

GARDZIŃSKI ROBERT / FORUM

PATRON SCHRONISKA
Warszawskie schronisko dla zwierząt będzie nosić imię Jana Lityńskiego: pochowany w ubiegłym tygodniu polityk utonął, ratując życie psa, pod którym załamał się lód na rzece.

Stadion niezgody

WOJCIECH KONOŃCZUK

Od początku marca miejski stadion w Tarnopolu – mieście na zachodniej Ukrainie – nosi imię Romana Szuchewycza, w latach 1943-50 komendanta Ukraińskiej Powstańczej Armii. Propozycję zgłosił mer (członek nacjonalistycznej partii Swoboda), a rada miejska przyjęła ją jednogłośnie.

Przypomnijmy, że Szuchewycz był dowódcą ukraińskiego batalionu „Nachtigall", walczącego u boku Wehrmachtu, a potem służył w 201. Batalionie Schutzmannschaftu, który historycy oskarżają o morderstwa cywilów na Białorusi. Jako dowódca UPA akceptował ludobójstwo polskiej ludności Wołynia i zainicjował je w Galicji Wschodniej. W świetle ustaleń historyków nazywanie go zbrodniarzem jest w pełni adekwatne.

Decyzję Tarnopola jako pierwszy potępił ambasador Izraela w Kijowie (UPA odpowiada też za morderstwa Żydów). Z krytyką wystąpił również ambasador RP, a Zamość zawiesił współpracę z Tarnopolem. Sytuację próbowało łagodzić ukraińskie MSZ, apelując o „pozostawienie historii historykom". Ton reakcji mediów ukraińskich tradycyjnie nadał Wołodymyr Wjatrowycz, deputowany Rady Najwyższej i były szef Ukraińskiego IPN, który – jako członek jego kolegium – zachowuje wpływ na działalność UIPN. Uznał on, że „demonizowanie Szuchewycza jest powtarzaniem propagandy rosyjskiej".

Lokalna sprawa dobrze pokazuje niezmienny i ciągnący się od lat polsko-ukraiński spór o ocenę wydarzeń, które nazywamy zbrodnią wołyńsko-galicyjską. Reakcje na heroizację Szuchewycza są słuszne i dobrze, że coraz częściej reaguje też Izrael (w 2019 r. obaj ambasadorowie wspólnie potępili budowę pomnika Szuchewycza w Iwano-Frankiwsku). Nie wpływa to jednak na uwzględnianie przez stronę ukraińską wrażliwości polskiej czy izraelskiej. Co dowodzi, jak daleka jeszcze droga do porozumienia w sprawach historii.

Opublikowane kilka dni temu badania CBOS pokazują najwyższy od niemal 30 lat poziom sympatii Polaków do Ukraińców (43 proc., wobec 26 proc. niechęci). Gloryfikowanie ukraińskich zbrodniarzy wojennych może negatywnie wpłynąć na ten trend. ©

KAZUHIRO NOGI / AFP / EAST NEWS

10 LAT TEMU trzęsienie ziemi w Japonii wywołało tsunami, które spustoszyło nadbrzeżne miasta. Zginęło 20 tys. ludzi. Promieniowanie z uszkodzonych reaktorów elektrowni atomowej Fukushima wymusiło ewakuację okolicy; do dziś 40 tys. ludzi nie wróciło do domów. Wokół elektrowni ciągnie się strefa zamknięta wielkości 337 km kw. Mimo katastrofy Japonia nie zrezygnowała z energii atomowej. Na zdjęciu: Japończycy modlą się za ofiary o wschodzie słońca nad brzegiem morza w pobliżu miasta Sendai, 11 marca 2021 r. ©℗ WP / FAZ

„To największy atak, jaki widziałem…”

…TAKĄ OPINIĘ eksperci od cyberbezpieczeństwa formułowali w ostatnich latach często. Dziś jednak nabiera nowego znaczenia: na razie mowa o 30 tys. ofiarach ataku w USA i 250 tys. na świecie, a to tylko część poszkodowanych, bo hakerzy zdobyli dostęp do serwerów Microsoft Exchange, popularnego systemu pocztowego. O skali problemu świadczy fakt, że prezydent Biden rozmawiał o tym z przywódcami Indii, Japonii i Australii, a na nich się nie skończy. Biały Dom powoła specjalny zespół, który zajmie się dochodzeniem.

Wiceprezes Microsoftu Tom Burt podał, że hakerzy uzyskali dostęp do Exchange Server za pomocą skradzionych haseł lub wykorzystując nieodkryte wcześniej luki. Cztery takie luki firma sama wykryła w połowie stycznia. 23 lutego Microsoft rozesłał informację do 80 firm na świecie zajmujących się cyberbezpieczeństwem, które uważa za zaufanych partnerów, że za dwa tygodnie wprowadzi uaktualnienia rozwiązujące częściowo problem. Jednak już 28 lutego zaczęła się cyberhekatomba. Od tego dnia ataki na serwery Exchange na całym świecie zaczęły potrajać się co dwie godziny. W tej sytuacji już 2 marca Microsoft wypuścił aktualizację. Zapobiega ona nowym atakom, ale nie usuwa napastników, którzy wcześniej zdobyli dostęp do systemu.

Trwa dochodzenie, czy któryś z „zaufanych partnerów” nie uprzedził napastników o planowanej aktualizacji. Microsoft odmawia odpowiedzi na pytanie, czy wśród uprzedzonych o planowanej „łacie” były firmy chińskie. To ważne, bo zastosowane metody hakerskie mogą wskazywać na związaną z chińskim rządem grupę Hafnium. Problem w tym, że w drugim etapie – jak podaje firma ESET – zidentyfikowano już co najmniej 10 kolejnych dużych operacji hakerskich, które skanują rozproszone po świecie serwery podatne na ataki.

To drugi wielki cyberatak w ostatnich trzech miesiącach. W grudniu 2020 r. rząd USA ujawnił, że hakerzy, prawdopodobnie z Rosji, wykorzystali luki w oprogramowaniu do zarządzania sieciami korporacyjnymi SolarWinds Orion, aby uzyskać dostęp do setek tysięcy komputerów, w tym Pentagonu i NATO.

© AGATA KAŹMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Co zmieni wywiad

MARCIN ŻYŁA

Tak długo, jak żyje Elżbieta II, niewiele jest w stanie zagrozić brytyjskiej monarchii. Nawet postawione przez książąt Sussexu, Harry’ego i Meghan, zarzuty o rasizm w rodzinie królewskiej nie wpłynęły na jej popularność – 47 proc. Brytyjczyków uznało wręcz za „niestosowny” ów wywiad, którego para udzieliła dziennikarce Oprah Winfrey, choć Meghan mówiła w nim także, iż w Anglii mierzyła się z myślami samobójczymi, a jej prośbę o pomoc zignorowano. W kwestii wyrzeczeń oczekiwanych od Windsorów opinia publiczna na Wyspach pozostaje bezduszna: monarchia ma służyć państwu, a nie indywidualnościom.

W dłuższej perspektywie wywiad otworzy jednak nowy front wojny kulturowej, która, gdy „druga epoka elżbietańska” dobiegnie końca, może odmienić Wielką Brytanię. Jej początki już widać: po tym, jak ze stacji ITV odszedł Piers Morgan, popularny prezenter telewizji śniadaniowej – oświadczył on, że nie wierzy ani jednemu słowu Meghan, a następnie po sprzeczce z kolegą wyszedł na wizji ze studia – coraz głośniej mówi się o rychłym starcie na Wyspach dwóch konserwatywnych telewizji. Podobnie jak kiedyś amerykańska Fox News, mogą one podbić emocje do poziomu, przy którym kłótnia o brexit wyda się rozmową przy herbacie.

Elżbieta II niemal na pewno jest świadoma, że w przyszłości trudniej będzie się bronić przed podobnymi oskarżeniami. Krok radykalny – zrzeczenie się tronu przez jej syna księcia Karola i odmłodzenie monarchii poprzez przekazanie korony wnukowi Williamowi – wydaje się po tym wywiadzie nieco bliższy realizacji. ©℗

RDC POLSKIE RADIO

MICHAŁ SOWIŃSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o melancholii morza (czytaj tekst na s. 94) w radiu RDC w środę 17 marca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

MARTA TITANIEC

Fundacja św. Józefa działa już rok

GRAŻYNA MAKARA

ARTUR SPORNIAK: Największy dotychczasowy sukces Fundacji św. Józefa?
MARTA TITANIEC: Że nadal istnieje. Jest miejsce, gdzie można kierować ludzi skrzywdzonych w Kościele, w którym zostaną wysłuchani i otrzymają pomoc. Istnieje zatem Kościół nie tylko „nauczający", ale też „słuchający".

Ile zgłosiło się osób?
Kilkadziesiąt. Niedawno zgłosiła się np. osoba wykorzystana przez ojca, brata, osobę świecką i na koniec przez księdza. Powiedziała, że nie ma dokąd pójść. Doświadczam, że fundacja jest potrzebna, bo bałam się, że skoro została założona przez biskupów, będzie bojkotowana.

Po roku negocjacji w kosztach fundacji zgodziły się uczestniczyć także męskie zakony. Skąd opór?
W Polsce jest kilkadziesiąt zgromadzeń męskich, a rozmowy trwały podczas pandemii. Ale generalnie opór wobec fundacji bierze się z niedoinformowania. Biskupi prawie jednogłośnie powołali fundację, zadekretowali środki na nią – 2 tys. zł od każdego biskupa i 150 zł od każdego księdza na rok, co w zeszłym roku przyniosło ponad 3,5 mln zł – ale w wielu przypadkach nie poinformowali swoich księży, czemu fundacja ma służyć. Ostatnio do wszystkich diecezji rozesłaliśmy informację o naszej rocznej działalności z podziękowaniem i z prośbą o przekazanie księżom. Wiemy, że do części ona nie dotarła. Tego wciąż nie rozumiem.

Na wszystkie projekty wydaliście prawie 714 tys. zł, koszty wyniosły 224 tys. Co z pozostałą kwotą 2,5 mln zł?
Czeka na wydanie. To był rok testowy. Fundacja nabiera coraz większego rozpędu.

Nowe wyzwania?
Problem wykorzystania seksualnego w zakonach żeńskich i w rodzinach. ©℗

MARTA TITANIEC *jest prezeską Fundacji św. Józefa, współzałożycielką Inicjatywy „Zranieni w Kościele".*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BEZ BŁOGOSŁAWIEŃSTWA
„Kościół nie ma ani nie może mieć władzy błogosławienia związków osób tej samej płci" – ogłosiła Kongregacja Nauki Wiary. Dokument podkreśla, że „nie istnieje żadna podstawa do porównywania czy zakładania analogii, nawet dalekiej, między związkami homoseksualnymi a planem Bożym dotyczącym małżeństwa i rodziny".

NIE WPROST
„Biskupi doceniają różne inicjatywy duchownych i świeckich, których prawdziwym celem jest odnowa Kościoła – czytamy w komunikacie z zebrania plenarnego polskiego Episkopatu. – Przypominają, że tylko te inicjatywy, zarówno duchownych, jak i świeckich, które będą podejmowane w jedności z pasterzami, przyniosą Kościołowi dobro". Fragment dotyczy zapewne m.in. Kongresu Katoliczek i Katolików, świeckiej inicjatywy „na rzecz zmian potrzebnych Kościołowi rzymskokatolickiemu".

NOMINACJA
Siostra Núria Calduch-Benages, badaczka Starego Testamentu, profesor Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, została sekretarzem Papieskiej Komisji Biblijnej. Była ekspertką na Synodzie Biskupów poświęconym Słowu Bożemu (2008), a także członkinią Komisji Studyjnej ds. Diakonatu Kobiet (2016-19). Specjalizuje się w księgach mądrościowych Starego Testamentu. Należy do Zgromadzenia Córek Misjonarek Świętej Rodziny z Nazaretu.

WYDAWNICTWO PPC / MAT. PRAS.

W synodzie nadzieja

ARTUR SPORNIAK

Lekarstwem na kryzys Kościoła ma być narodowy synod – tak rozstrzygnęli biskupi irlandzcy, zapowiadając, że zostanie on przygotowany w ciągu pięciu lat. Hierarchów zmobilizowała świadomość wyzwań ostatniego okresu, m.in. poważnego spadku praktyk religijnych oraz liczby powołań. Biskupi wspomnieli o „głębokiej traumie wierzących" spowodowanej nadużyciami instytucjonalnymi w Kościele i mówili o konieczności „sformułowania nowych modeli współodpowiedzialności i przywództwa, obejmujących wszystkich świeckich", zwłaszcza niedoceniane dotychczas kobiety.

W ciągu najbliższych dwóch lat w ramach tzw. ścieżki synodalnej odbędą się ogólnonarodowe konsultacje. W następnych etapach zostaną wzięte pod uwagę ustalenia Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Biskupów, który w 2022 r. ma zająć się w Rzymie synodalnością Kościoła.

Widać już, że synody narodowe – być może w nowej formule i z większymi kompetencjami – będą główną reakcją Kościołów lokalnych na kryzys. Takie zgromadzenia zapowiedziały już Kościoły w Austrii i na Malcie. Papież namawiał ostatnio do zwołania synodu krajowego biskupów włoskich. W Polsce też czeka nas podobne wyzwanie, ale po ogólnopolskim synodzie z 1998 r., który właściwie utrwalił klerykalny podział, widać, że przygotowanie skutecznego spotkania świeckich z hierarchią nie będzie łatwe. ©℗

To nic, że krytykują

POGRĄŻONY W NAJWIĘKSZYM od dekad kryzysie Liban oraz Sudan Południowy, w którym niedawno zakończyła się wojna domowa, mają być celami kolejnych pielgrzymek 84-letniego papieża Franciszka. Podczas lotu powrotnego z Iraku przyznał on też dziennikarzom, że ma świadomość, iż nie wszyscy w Kościele popierają jego dialog z islamem. „Jest nieco krytyki: że papież nie jest odważny, lecz lekkomyślny. Że postępuje wbrew doktrynie katolickiej. Że jest o krok od herezji" – wyliczył. Dodał jednak, że aby promować harmonię i porozumienie, „trzeba zaryzykować", a obowiązek dialogu z innymi religiami to dla niego prosty wniosek z lektury Ewangelii.

A co, jeśli niektóre religie, sekty lub grupy wiernych pozostają oddalone od takiej wizji? „Regułą Jezusa jest miłość i dobroczynność – mówi Franciszek. – Jednak ile stuleci zajęło nam wprowadzenie jej w życie?". ©℗ ŻYM

KULTURA W SKRÓCIE

NA POSTUMENCIE
Polka Goshka Macuga znalazła się na krótkiej liście artystów nominowanych do zrealizowania dzieła na tzw. czwartym postumencie (Fourth Plinth) nad londyńskim Trafalgar Square. Od 1999 r. w miejscu niezrealizowanego monumentu Wilhelma IV artyści – m.in. Marc Quinn, Yinka Shonibare czy duet Michael Elmgreen i Ingar Dragset – prezentują alternatywne „pomniki", które za każdym razem są wydarzeniem artystycznym, przyciągającym miliony oglądających.

NA SCENIE
Jakub Józef Orliński był gościem specjalnym krakowskiego festiwalu Opera Rara. Kontratenor zaśpiewał na żywo w towarzystwie Capelli Cracoviensis – to pierwszy taki koncert z udziałem publiczności po zimowym lockdownie. Festiwal potrwa do lipca, wydarzenia dostępne są na platformie PLAY KRAKÓW oraz na profilu Festiwalu na Facebooku.

W MALINACH
Ekranizacja erotycznej powieści Blanki Lipińskiej walczy o nagrodę dla najgorszego filmu świata. Biorąc pod uwagę, że do Złotych Malin nominowano na różnych etapach kariery Stanleya Kubricka, Olivera Stone'a czy George'a Lucasa, należy się spodziewać, że o twórcach „365 dni" Barbarze Białowąs i Tomaszu Mendesie będzie jeszcze głośno.

W PAMIĘCI
Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku ma już wystawę stałą. Pokazuje ona „moc ludzi, którzy przeciwstawili się siłom okrutnych systemów oraz bezwzględnej natury i wbrew wszelkim przeciwnościom przetrwali" – opisują autorzy. Otwarcie zaplanowano na wrzesień.

Nominacja na miarę możliwości?

PIOTR KOSIEWSKI

W styczniu 2020 r. ze stanowiska dyrektora Muzeum Śląskiego zwolniono Alicję Knast. Władze województwa rządzonego przez Prawo i Sprawiedliwość miały wyłonić następcę w drodze konkursu. W lutym tego roku konkurs jednak unieważniono, a dyrektorem mianowano przed kilkoma dniami Marię Czarnecką. Tymczasem Alicja Knast w październiku 2020 r. została powołana na dyrektora Galerii Narodowej w Pradze – najstarszej i najsłynniejszej takiej instytucji w Czechach.

W Pradze potrafiono zorganizować międzynarodowy konkurs w sposób transparentny i znaleźć dobrą kandydaturę. Wybór Alicji Knast na szefową jednej z najważniejszych instytucji kultury w naszym regionie Europy świadczy o jej wiedzy i kompetencjach, których nie potrafili docenić rządzący dziś Śląskiem. O wyborze Marii Czarneckiej zdecydowali politycy. Niewiele też można o niej powiedzieć poza tym, że jest osobą bez doświadczenia muzealnego, bo trudno za nie uznać kierowanie Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira Skrzypka. Inne jej doświadczenia zawodowe też nie są imponujące – szefowała departamentowi edukacji i wydawnictw w Narodowym Banku Polskim.

Nominacja w Muzeum Śląskim dobrze pokazuje politykę personalną PiS. A także ograniczone możliwości rządzących, którzy często nie potrafią znaleźć osób choćby w minimalnym stopniu spełniających kryteria konieczne do kierowania powierzanymi im placówkami. Co ten wybór oznacza dla samego muzeum? Pod kierownictwem Alicji Knast znalazło się ono w czołówce instytucji muzealnych w Polsce, umiejętnie łącząc lokalność z podejmowaniem problematyki wychodzącej poza region i przygotowując wystawy, które stały się wydarzeniami ogólnopolskimi. Oby teraz muzeum samo nie zepchnęło się na margines życia kulturalnego. ©

JERRY LAMPEN / AFP / EAST NEWS

WYNALAZCA KASETY MAGNETOFONOWEJ Lou Ottens zmarł 6 marca w wieku 94 lat. Patent, który miał podbić świat (100 mld sztuk!), powstał z niezadowolenia szpulowym poprzednikiem – nowy nośnik miał się mieścić w kieszeni. Inżynierowie Philipsa, którymi kierował, w 1963 r. wypuścili dźwięk na wolność: nie tylko dzięki przenośnym magnetofonom – złota era kaset to własne składanki i kopie, nagrania ptaków, dzieci, amatorskich zespołów, liderów Solidarności. Oraz… gry na pierwsze komputery. A Lou Ottens w 1980 r. znów zmienił świat płytą CD. ©℗ MK

Nie wiemy, kiedy przestać

PRZYNAJMNIEJ gdy idzie o rozmawianie. Adam Mastroianni i współpracownicy opublikowali w „PNAS" raport z badań, w których przeanalizowali przebieg 932 rozmów między osobami bliskimi lub obcymi. Badacze poprosili uczestników, by przypomnieli sobie moment, w którym nabrali ochoty na zakończenie rozmowy, a także spróbowali oszacować, kiedy ich partner miał już dość.

Okazało się, że rozmowy prawie nigdy nie kończyły się zgodnie z życzeniem obu rozmawiających ani nawet wtedy, gdy chciał tego choćby jeden z uczestników (większość trwała dłużej, niż chcieli tego rozmawiający). Tylko 2 proc. rozmów zakończyło się po myśli dwóch osób. Średnia różnica między czasem pożądanym z rzeczywistym wynosiła blisko połowę długości całej rozmowy. Wyniki były zbliżone w obu grupach.

Jak komentują autorzy, kończenie rozmów jest klasycznym problemem koordynacyjnym, z którym ludzie sobie nie radzą, ponieważ rozwiązanie go wymaga odczytania prawdziwych intencji drugiej osoby. A w ukrywaniu ich osiągnęliśmy dużą biegłość. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

TEMAT TYGODNIKA

TYLKO NIE MÓW PAPIEŻOWI

W kwestii rozliczeń polskiego Kościoła z problemem pedofilii nie ma co liczyć na pomoc z Watykanu.

EDWARD AUGUSTYN

DAMIAN KLAMKA / EAST NEWS

Statystyki nie są jeszcze kompletne, ale i tak widać zmianę. Z najnowszego raportu episkopatu wynika, że w ostatnich dwóch latach do władz kościelnych w Polsce zgłoszono 230 przestępstw seksualnego wykorzystania nieletnich, z czego 30 popełniono w tym czasie, a 200 w latach wcześniejszych. Dane pochodzą z 70 proc. tzw. struktur lokalnych, czyli od diecezjalnych i zakonnych delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży. Poprzedni raport, obejmujący okres blisko 30 lat (1990–2019) informował o 382 zgłoszeniach.

Zapewne liczby te niewiele mówią o faktycznej skali pedofilii wśród duchownych – wiadomo, że zgłaszana jest tylko część przestępstw – ale ponad pięciokrotny przyrost zawiadomień pozwala przypuszczać, że stworzone mechanizmy zaczęły działać, a ludzie widzą sens dochodzenia sprawiedliwości także w instytucjach kościelnych.

Polska była w pierwszej dziesiątce krajów, których biskupi uchwalili wytyczne postępowania w sprawie pedofilii (2014). Od 2015 r. w każdej diecezji i zakonie miała zostać wyznaczona osoba odpowiedzialna za przyjmowanie zawiadomień o przestępstwach. Nie od razu wszędzie się udało, ale gdy po emisji filmu Tomasza i Marka Sekielskich

Franciszek i kardynałowie w trakcie powitania na Błoniach podczas Światowych Dni Młodzieży. Kraków, lipiec 2016 r.

„Tylko nie mów nikomu" (maj 2019) liczba zgłoszeń zaczęła rosnąć, delegaci byli już wyznaczeni i przeszkoleni, m.in. przez abp. Charlesa Sciclunę, autora słynnego raportu o przestępstwach w Kościele chilijskim, czy ks. Johna Kennedy'ego, szefa sekcji dyscyplinarnej Kongregacji Nauki Wiary.

W 2019 r. episkopat powołał Fundację św. Józefa, wspierającą osoby poszkodowane. Raz w roku każdy biskup wpłaca na jej konto 2 tys., a każdy ksiądz 150 zł. Na projekty pomocowe, szkoleniowe i terapię pokrzywdzonych fundacja wydała, jak dotąd, ponad 700 tys. zł.

Powoli zmienia się też mentalność – trudno dziś znaleźć w Polsce duchownego, który negowałby istnienie problemu pedofilii w Kościele albo kwestionowałby fakt, że księża wykorzystujący nieletnich powinni być karani zgodnie z prawem państwowym i kościelnym. Wedle najnowszych wytycznych niemal wszystkie dochodzenia wstępne prowadzone w kuriach kończą się przekazaniem sprawy do Watykanu.

Dlaczego więc, skoro jest tak dobrze – jest aż tak źle?

Nowe łaty na starym suknie

Można by teraz zacząć wyliczać, co wciąż nie działa albo co zostało postawione na głowie. Np. przypomnieć, że ↦

↦ obowiązujące od 20 lat i ciągle poprawiane kościelne przepisy, które traktują wykorzystanie seksualne osoby nieletniej jako jedno z najcięższych przestępstw, wciąż nie przyznają pokrzywdzonym pełnych praw procesowych. W postępowaniach kanonicznych, także w sprawie pedofilii, poszkodowanym jest Kościół-wspólnota wierzących, co sprawia, że dostęp prawdziwych ofiar do akt i informacji o przebiegu procesu zależy od dobrej woli biskupiego sędziego, a tej często brakuje.

Albo można by uznać za co najmniej niezręczne, że osoba zgłaszająca przestępstwo księdza musi opowiadać o nim innemu księdzu. Być może część poszkodowanych nie ma z tym problemu, ale dobrze byłoby dać im wybór. Tymczasem wśród 112 delegatów diecezjalnych i zakonnych jest tylko pięć kobiet (w tym jedna siostra zakonna). To może być, po pierwsze, sytuacja niekomfortowa dla ofiar, a po drugie – przy tak ogromnym spadku zaufania do Kościoła, jaki dziś obserwujemy – może budzić podejrzenia co do prawdziwych intencji: czy pozyskane informacje wykorzystane będą do skutecznego ukarania, czy może do ochrony kolegi?

I właśnie brak zaufania jest najważniejszą przyczyną fatalnego obrazu sytuacji, mimo oczywistych zmian na lepsze. Dwie rzeczywistości – społeczna i kościelna – rozjechały się na naszych oczach. Próby ich ponownego scalenia przy pomocy państwa – manipulowaniem w ustawodawstwie, edukacji, kulturze i pamięci narodowej – przypominają już tylko zszywanie grubymi nićmi rozprutego na pół płótna. A przyjmowane jeszcze do niedawna z nadzieją biskupie nominacje – przyszywanie nowej łaty do starego sukna.

To, że ksiądz popełnia przestępstwa, nikogo dziś nie dziwi. Szokują natomiast mechanizmy, które zapewniają przestępcy wieloletnią bezkarność. Wcześniej mogliśmy się tego tylko domyślać. W ostatnich miesiącach zobaczyliśmy je z bliska, choćby w drugim filmie braci Sekielskich („Zabawa w chowanego", maj 2020), reportażach TVN „Don Stanislao" (listopad 2020) i „Najdłuższy proces Kościoła" (luty 2021) oraz w cyklu artykułów Zbigniewa Nosowskiego „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie" („Więź", listopad 2020 – styczeń 2021).

Tam znajdziemy odpowiedź, dlaczego – mimo nie najgorszego prawa i procedur, mimo pięknych haseł i coraz większej grupy osób w Kościele, które do problemu podchodzą poważnie i kompetentnie – przestępcy nie ponoszą odpowiedzialności. Widzimy, kto odpowiada – w Kaliszu, Gdańsku, Szczecinie i innych miejscach – nie tylko za ich pobłażliwe traktowanie, odmowę współpracy z organami ścigania, ciągnące się latami procesy kanoniczne i utrzymywane w tajemnicy symboliczne wyroki, ale i za upadek Kościoła.

Biskup: człowiek zepsuty przez system

O tym, jak sakra biskupia wpływa na postrzeganie rzeczywistości, opowiada się dowcipy. O tym, jak hołubieni i całowani po rękach hierarchowie, otoczeni gronem kłaniających się w pas pochlebców, tracą kontakt z prawdziwym życiem, mówią też sami biskupi. Bo przecież są wśród nich wyjątki. W polskim episkopacie znalazłoby się „dziesięciu sprawiedliwych". Może dzięki nim Sodoma nie została jeszcze zniszczona. Choć coraz więcej osób widzi, że pora uciekać, nie oglądając się za siebie.

Z rozmów z delegatami wynika, że kilku hierarchów doskonale wie, na czym polega ochrona dzieci i młodzieży, jest zaangażowanych w pracę zajmujących się tym problemem urzędów, spotkało się z wieloma (niektórzy ponoć ze wszystkimi) ofiarami z terenu swojej diecezji.

Ale „większość zawsze na pierwszym miejscu postawi instytucję, nie człowieka" – jak mówi mi jeden z delegatów. „Nawet jeśli mówią, że najważniejsze jest dla nich dobro ofiary, i nawet jeśli tak myślą, to w życiu z żadnym pokrzywdzonym się nie spotkali. Choć, powiedzmy szczerze: do wielu z nich ja, jako delegat, nie zaprowadziłbym osoby zranionej, żeby jej powtórnie nie straumatyzować".

Czasami problem bierze się z biskupiego przekonania, że wszystko wie najlepiej, a czasem z naiwności i łatwowierności, które i tak powinny go dyskwalifikować jako przełożonego. O takich przypadkach czytamy najczęściej – hierarchowie popełniają błędy, które szybko wychodzą na jaw. Wtedy przepraszają i jest im przykro: nie wiedzieli, nie dopilnowali, nie sprawdzili.

Są jednak i tacy, którzy przestępców kryją świadomie. Fachowo i przebiegle. Od strony formalnej niewiele można im zarzucić, bo często sami są prawnikami. Najprostsza odpowiedź na pytanie, dlaczego abp Głódź przez 10 lat nie zaczął nakazanego procesu księdza pedofila, brzmi: bo mógł.

Trudno takich ludzi, zepsutych przez system, zmienić. Stąd pomysł, by hurtem wymienić ich na lepszy model. Dlatego oczy wielu polskich katolików zwracają się dziś ku Rzymowi.

Czy będziemy drugim Chile?

Jedyną osobą, do której wierzący w Polsce mają jeszcze w tej materii zaufanie, jest papież. Przez osiem lat zapracował sobie na opinię kogoś, kto robi porządek w Kościele. Poleciała niejedna głowa, z kardynalskimi włącznie, Franciszek wypowiedział wojnę korupcji w kurii, piętnuje kościelne patologie, zmienia prawo. Do tego przyjmuje w Watykanie uchodźców, je z bezdomnymi, całuje w rękę ofiarę pedofila. Czy nie mógłby zrobić porządku także u nas?

Jako przykład najczęściej przywoływane jest Chile. W styczniu 2018 r., podczas pielgrzymki do tego kraju, Franciszek zorientował się – widząc protesty ludzi i słysząc pytania dziennikarzy – że był okłamywany przez tamtejszych biskupów i nuncjusza. Chodziło o jednego z nominowanych biskupów, któremu wierni zarzucali ukrywanie seksualnych przestępstw ks. Fernanda Karadimy, przez długie lata duchowego guru tamtejszego Kościoła. Po powrocie do Watykanu papież wysłał do Chile swoich śledczych – abp. Charlesa Scicluna i ks. Jordiego Bertomeu – aby sprawdzili na miejscu, kto ma rację. Po przeczytaniu ich raportu wezwał episkopat do Watykanu na trzydniowe spotkanie, po którym wszyscy biskupi podali się do dymisji. Wielu Polakom taka perspektywa wydaje się nęcąca.

Są jednak głosy, że gremialna dymisja episkopatu Chile wcale nie była wymuszona przez papieża, a on sam wydawał się być nią zaskoczony. Możliwe, że ze

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

EDWARD AUGUSTYN będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w czwartek 18 marca o godz. 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

strony biskupów był to wręcz wyraz niezgody na słowa Franciszka, który podczas spotkania, nie zważając, kto winny, a kto nie, wszystkich potraktował jednakowo ostro. Biskupi wygrali – ich gest został dobrze przyjęty przez opinię publiczną, a papież sam musiał zdecydować, kogo rzeczywiście odwołać, a kogo utrzymać na stanowisku. W ciągu sześciu kolejnych miesięcy urząd straciło siedmiu hierarchów, dwóch z nich – którym zarzucono czyny pedofilskie – zostało wydalonych do stanu świeckiego.

Problemy Kościoła w Chile jednak się nie rozwiązały i do dziś tamtejsi katolicy muszą się z nimi mierzyć. Raport Scicluny, mimo wielokrotnych próśb o udostępnienie, pozostaje tajny. Watykan nie zgodził się nawet na publikację jego streszczenia.

Specyficzne prawo

– Papież jest nieprzewidywalny i porywczy. Działa na zasadzie „ugryź i się wycofaj" – twierdzą krytycy Franciszka. – Inicjuje procesy, a potem pozwala im się rozwijać – mówią zwolennicy. On sam przyznaje, że impulsywność to jego główna wada. Nie raz doświadczyli jej współpracownicy, w ostatnim czasie były prefekt Kongregacji ds. Kanonizacyjnych i substytut w Sekretariacie Stanu, kard. Angelo Becciu, który w ciągu jednej krótkiej rozmowy został odwołany ze stanowiska i pozbawiony wszystkich praw kardynalskich. Jak dotąd – a mija pół roku od tamtych wydarzeń – nikt nie przedstawił mu żadnych zarzutów. Mówi się, że powodem miały być malwersacje finansowe. „Papież potraktował mnie gorzej niż pedofila" – skarży się hierarcha, który bronić może się jedynie w mediach.

Gian Paolo Montini, profesor prawa z Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego i były promotor sprawiedliwości w Najwyższym Trybunale Sygnatury Apostolskiej, ostatecznej instancji sądowniczej w Kościele, jest jednym z krytyków nonszalanckiego stosunku Franciszka do prawa. Zarzuca mu rządzenie dekretami *in forma specifica*, które – choć dopuszczane przez przepisy – zdaniem profesora wydawane są zbyt często, bezpodstawnie, z naruszeniem procedury i prawa oskarżonego do obrony (od papieskiego dekretu nie można się odwołać).

W eseju z 2018 r. na temat Franciszkowego balansowania na granicy prawa, a wręcz naginania go do doraźnych potrzeb, profesor przywołuje słowa Benedykta XVI: „Przechytrzanie prawa nigdy i w żaden sposób nie służy wolności, ale zawsze jest narzędziem dyktatury (...) Kpina z prawa była podstawą narodowego socjalizmu, [gdy] prawo było świadomie deptane i przeciwstawiane tzw. zdrowemu poczuciu sprawiedliwości narodu". Rok po publikacji tych słów Montini przestał być sędzią najwyższego watykańskiego trybunału.

> Najprostsza odpowiedź na pytanie, dlaczego abp Głódź przez 10 lat nie zaczął nakazanego procesu księdza pedofila, **brzmi: bo mógł.**

Sam jak papież

Trzeba powiedzieć wprost: najbliższe otoczenie się go boi i każdy uważa na to, co mówi. Franciszek udowodnił, że potrafi zareagować gwałtownie, dlatego sprawy, z którymi szefowie dykasterii do niego przychodzą, są naprawdę ważne i na wszelkie możliwe sposoby sprawdzone. Papież nie ma doradców ani najbliższych współpracowników. Pojawiają się na chwilę, proszeni o opinię w konkretnej sprawie, i znikają bez przekonania, czy ich rada przyniesie jakikolwiek efekt. Oczywiście, w podejmowaniu bieżących decyzji bierze pod uwagę sugestie podwładnych, ale o planach na przyszłość nikogo nie informuje, a wiele jego działań ma charakter spontaniczny.

W drodze powrotnej z Iraku zwierzył się dziennikarzom, że bezpośrednim powodem pielgrzymki była podarowana mu książka o losie Jazydów. Owszem, wizyta była wcześniej rozważana, prosili o nią kolejni ambasadorowie Iraku przy Stolicy Apostolskiej, oficjalne zaproszenie przysłał prezydent. Ale upór, aby wbrew pandemii i ostrzeżeniom przed zamachami doprowadzić wyjazd do skutku, był owocem wzruszającej lektury.

W czerwcu 2020 r. grupa świeckich katolików z Gdańska wykupiła ogłoszenie w dzienniku „La Repubblica", w którym prosiła papieża o interwencję i „ratowanie Kościoła w Polsce". Rzecznik prasowy Watykanu potwierdził, że papież „został poinformowany o akcji, modli się za jej organizatorów, a Kościół musi zastosować normy kanoniczne, by ujawnić przypadki nadużyć i ukarać winnych zbrodni". Cztery miesiące później Watykan nakazał wszczęcie postępowania przeciwko abp. Głódziowi.

Nigdy się nie dowiemy, czy reklama w gazecie, którą Franciszek codziennie przegląda, spowodowała albo przynajmniej przyspieszyła rozwiązanie gdańskiego problemu. Wszyscy moi rozmówcy w Watykanie obruszają się na to pytanie i najwyraźniej nie chcą w ogóle dopuszczać do siebie takiej ewentualności. Choć przyznają, że procedury przekazywania informacji papieżowi, które wcześniej się sprawdzały, teraz nie działają. Kontakt z nim jest ograniczony, urzędnicy relacjonują sprawy na piśmie swoim przełożonym, a ci sami decydują, co przekazać Franciszkowi.

Doszło do niespotykanej wcześniej sytuacji, że nawet prefekci ważnych kongregacji boją się zabierać publicznie głos w sprawach, które należą do ich kompetencji, jeśli nie znają zdania papieża na ten temat. Pisał o tym kilka dni temu, powołując się na swoje źródła w Watykanie, magazyn „The Pillar", odnosząc się do napiętej sytuacji w Niemczech. Chodzi nie tylko o radykalne wypowiedzi przedstawicieli Drogi Synodalnej na temat kapłaństwa kobiet, celibatu, LGBT czy interkomunii, ale o to, że w wielu niemieckich parafiach te słowa stają się ciałem: błogosławi się homoseksualne pary, udziela się komunii protestantom. Sytuacja – mówią przedstawiciele kongregacji – dojrzała do podjęcia stanowczych kroków, ale nikt nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśli papież. Prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Luis Ladaria Ferrer długo czekał na sygnał od Franciszka, unikał dziennikarzy, bojąc się, że zapytają go o tę sprawę.

Ani sposobem, ani perswazją

Dlaczego więc ten nieschematycznie myślący i działający papież nie wyda w końcu kilkunastu dekretów *in forma specifica* i nie zaprowadzi porządku w Polsce? Może dlatego, że nasze sprawy nieszczególnie go interesują? Na pewno nie bardziej niż problemy wielu innych narodów, zwłaszcza europejskich. Może gdyby, jak w Chile, został oszukany przez Polaków, zadziałałby podobnie jak wtedy? ↦

Sęk w tym, że Franciszek poczuł się już raz oszukany, ale to akurat – jak mówią w Watykanie – bynajmniej nie zmieniło jego stosunku do polskich biskupów, wręcz przeciwnie: bardziej podpadli mu ci, którzy ich krytykują. W lutym 2019 r., tuż przed rozpoczęciem watykańskiego szczytu o pedofilii, po środowej audiencji generalnej Franciszek podszedł do stojących z boku przedstawicieli fundacji Nie Lękajcie Się, dłuższą chwilę z nimi rozmawiał, przyjął przetłumaczony na hiszpański raport o wykorzystywaniu seksualnym dzieci i ukrywaniu przestępstw przez biskupów, a potem ucałował rękę Marka Lisińskiego, ofiary księdza pedofila i szefa fundacji. Gdy po kilku miesiącach media opisały finansowe przekręty w Nie Lękajcie Się, wiele osób uznało Lisińskiego za oszusta i próbowało zdyskredytować wszystko, co wcześniej mówił i robił. „Ojciec Święty nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy" – mówi jeden z moich rozmówców, dodając, że incydent na pewno nie przysłużył się dobrze polskim sprawom.

Zwolennicy nadzwyczajnej interwencji są przekonani, że z pewnością by do niej doszło, gdyby znalazł się ktoś, kto by Franciszka do takiego rozwiązania przekonał. Tyle że nikogo takiego nie widać. Spośród Polaków mających dostęp do papieża najbliżej Franciszka jest oczywiście kard. Konrad Krajewski. Pytany, czy kiedykolwiek rozmawiał z nim o polskich problemach, odpowiada krótko: „Ja zajmuję się ubogimi". Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić, by w kontaktach z papieżem wykraczał poza swoje kompetencje, zwłaszcza że – jak wynika z wielu naszych rozmów – wcale nie jest przekonany, by w kwestii walki z pedofilią polski Kościół potrzebował nadzwyczajnej pomocy. Jeden raz, gdy wracaliśmy samochodem z dworca Termini, a rozmowa zeszła na polskie tematy, wyraził się krytycznie o polskich biskupach – ogólnie, bez nazwisk – zarzucając im nieewangeliczną postawę w sprawie uchodźców. Ale gdy kilkakrotnie próbowałem go pytać o problem pedofilii, ucinał: „Wszystkie zarzuty wobec biskupów powinny zostać sprawdzone przez kompetentne urzędy i na pewno w tych sprawach nie można działać pod presją opinii publicznej". Za każdym razem przytaczał też przykład bezpodstawnie oskarżonego kard. George'a Pella, który spędził 13 miesięcy w więzieniu o zaostrzonym rygorze, zanim został prawomocnie uniewinniony przez sąd.

> Papież nie ma doradców, o swoich planach nie informuje, a wiele jego działań ma charakter spontaniczny. Nawet prefekci ważnych kongregacji **boją się zabierać publicznie głos.**

Mam prawo i nie zawaham się go użyć

Przepisy o zwalczaniu pedofilii w Kościele nie są idealne, ale jednak działają. Na ich podstawie 90 proc. spraw prowadzonych jest w procedurze karnej administracyjnej, krótszej i prostszej niż tradycyjny proces sądowy. Kończą się dekretem biskupa nakładającym na winnego karę przewidzianą przez kodeks prawa kanonicznego, z których najpoważniejszą jest wydalenie do stanu świeckiego (zarzuty, skądinąd słuszne, że pedofile powinni iść do więzienia, należy kierować w stronę organów państwa, nie do władzy kościelnej). Przyśpieszone procesy – krytykowane przez wielu karnistów – nie są bynajmniej efektem nonszalanckiego podejścia do prawa obecnego papieża: uproszczona procedura upowszechniła się już pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II, gdy prefektem Kongregacji Nauki Wiary był kard. Joseph Ratzinger, a urząd zalały setki spraw z USA i Irlandii.

Z kolei sprawy przeciwko biskupom, metropolitom i nuncjuszom mogą być prowadzone na podstawie przepisów wprowadzonych przez Franciszka dwa lata temu („Vos estis lux mundi", maj 2019). Opierając się na nich można złożyć doniesienia przeciwko hierarchom, którzy albo sami dopuszczali się przemocy seksualnej, albo ukrywali informacje o przestępstwach. Przepisy nakładają na prowadzącego dochodzenie ścisłe ramy czasowe – od momentu zawiadomienia Watykanu do zakończenia postępowania nie powinno upłynąć więcej niż cztery miesiące.

W Polsce pierwszym biskupem osądzonym na mocy tego prawa był kaliski ordynariusz Edward Janiak, którego sprawę prowadził w 2020 r. abp Stanisław Gądecki. Po niespełna dwóch miesiącach dochodzenia i kolejnych dwóch oczekiwania na decyzję kongregacji oskarżony hierarcha został pozbawiony urzędu i otrzymał zakaz przebywania na terenie swojej diecezji.

Drugie postępowanie wobec polskiego biskupa – Sławoja Leszka Głódzia – miało zakończyć się na początku marca tego roku. Prowadził je kard. Kazimierz Nycz, a decyzja kongregacji powinna zapaść w ciągu najbliższych tygodni. Pewnie w tym samym czasie dowiemy się, czy prawdziwe są informacje o zleceniu przez Watykan dochodzeń przeciwko kilku innym hierarchom, m.in. kard. Stanisławowi Dziwiszowi, bp. Tadeuszowi Rakoczemu i bp. Piotrowi Gregerowi.

Takich przepisów nie było ani w roku 2011, gdy Benedykt XVI zlecał specjalną wizytację w Irlandii, zakończoną dymisją lub rezygnacją kilku biskupów, ani w 2018, gdy abp Scicluna jechał z misją specjalną do Chile. A skoro dzisiaj są, i skoro Franciszek jest z nich zadowolony, to nie będzie żadnych specjalnych interwencji ani w Polsce, ani w innym kraju. Siły specjalne Watykanu (*task forces*), zapowiadane dwa lata temu przez abp. Sciclunę, nie zdążyły się nawet uformować, jak na razie dylemat „wejdą – nie wejdą" nie musi spędzać snu z oczu polskim biskupom. A sam papieski „szeryf" i pogromca pedofilów w Chile został posadzony za biurkiem – zajmuje się rozpatrywaniem odwołań od wyroków i dogląda spraw duszpasterskich na Malcie, gdzie wrócił, choć formalnie wciąż jest drugim sekretarzem kongregacji.

Braterska pomoc z Watykanu nie nadejdzie. Zamiast czekać na cud, trzeba wykrzesać z siebie resztki nadziei, że nowe prawo pozwoli oczyścić Kościół w Polsce własnymi siłami. I że jeden biskup będzie sprawiedliwie i rzetelnie sądzić drugiego biskupa, „wilk zamieszka z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą społem i mały chłopiec będzie je poganiał" – jak zapowiada Pismo.

Bądźmy jednak uczciwi. Jeden biskup już został osadzony, drugi czeka na wyrok. Presja opinii publicznej przynosi skutek. W niewydolnej maszynerii coś drgnęło. Pytanie, czy nie za późno.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

TU HONORUJEMY KARTĘ DUŻEJ RODZINY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Święto kobiet

Po siedmiokroć siedem tygodni upłynęło od czasu, gdy Dzieci Izraela wyszły z Egiptu. Pięćdziesiątego dnia były świadkami, jak na górę Synaj zstąpiła Chwała Boża, i otrzymały od Najwyższego Torę. Te dwa epokowe w historii narodu żydowskiego wydarzenia upamiętniają święta Pesach i Szawuot, rozpoczynające się 50 dni po sobie, tak jak Wielkanoc i Zielone Świątki. Daty Wielkanocy i Pesach są ruchome w kalendarzu gregoriańskim, albowiem dla obu punkt odniesienia stanowi pierwsza pełnia księżyca po równonocy wiosennej. Cały ambaras stąd, że suma 12 miesięcy księżycowych jest krótsza od roku słonecznego. 16 razy w ciągu 19-rocznego cyklu księżycowo-słonecznego kalendarza żydowskiego Wielkanoc wypada podczas Pesach, a trzy razy te święta rozmijają się o miesiąc.

Pierwsze przykazanie, dane Dzieciom Izraela jeszcze w Egipcie, to obowiązek ustanowienia kalendarza (Wj 12, 2). Według midraszu Najwyższy pokazał Mojżeszowi, jak wygląda nów księżyca, by ów wiedział, kiedy rozpoczyna się nowy miesiąc. Odstęp między kolejnymi nowiami to około 29 i pół dnia. Trudno, żeby miesiąc nie miał pełnej liczby dni (29 lub 30). Stąd do IV wieku, gdy Hilel II wprowadził kalendarz oparty na obliczeniach, polegano na dwóch świadkach, którzy zeznawali, że widzieli w Jerozolimie nów księżyca, i wówczas ogłaszano Rosz chodesz (*rosz*, hebr. głowa, na początku, na czele; *chodesz*, hebr. miesiąc), półświęto w szczególny sposób związane z kobietami.

Jaka jest jego geneza? Nazajutrz po ogłoszeniu Dziesięciu Przykazań Mojżesz został wezwany na górę, gdzie miał spędzić pełne 40 dni. Wyruszył rano, a dzień żydowski zaczyna się zachodem słońca, więc pierwsze godziny jego nieobecności nie wliczały się do owych 40. Lud je wliczył i stąd kłopoty. Kiedy Aaron próbował zyskać na czasie, by zdążył wrócić rzekomo spóźniający się brat, poprosił mężczyzn, by przynieśli mu złotą biżuterię swoich żon i dzieci (Wj 32, 2). W następnym wersie mężczyźni dali Aaronowi własną biżuterię. Stąd wniosek: kobiety odmówiły. Według midraszu nie zgadzały się na odlanie złotego cielca. Zostały za to nagrodzone świętem Rosz chodesz, które – mówi średniowieczny kodeks prawa żydowskiego – będą obchodzić bardziej niż mężczyźni.

Komentarze do Talmudu zaświadczają, że w to święto kobiety odpoczywały od codziennych obowiązków, zajmując się tylko przygotowaniem jedzenia. To był dzień na spotkania w kobiecym gronie. Tradycja ta nieomal zanikła w większości społeczności żydowskich i dopiero w połowie lat 70. żydowskie feministki wskrzesiły Rosz chodesz jako kobiece święto. A w Jerozolimie od 1988 r. organizacja Women of the Wall walczy o prawo kobiet do zorganizowanej modlitwy pod Ścianą Płaczu – właśnie w Rosz chodesz. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bóg nie kołysze dzieci

Jezus „podczas swego ziemskiego życia, z wielkim wołaniem i łzami zanosił błagania i prośby do Tego, który mógł Go ocalić od śmierci. I został wysłuchany dzięki swej uległości! Chociaż był Synem, przez cierpienia nauczył się posłuszeństwa. Tak udoskonalony, stał się przyczyną wiecznego zbawienia dla wszystkich, którzy są Mu posłuszni”.

Sześć lat temu ekstremiści Państwa Islamskiego zamordowali na plaży w Libii 21 koptyjskich chrześcijan. Papież Franciszek, wspominając to wydarzenie, powiedział: „Ci ludzie zostawili swoje życie na plaży, ale prawdą jest również, że ta plaża została pobłogosławiona ich krwią. Ale jeszcze bardziej prawdziwe jest to, że z ich prostoty, z ich prostej, ale konsekwentnej wiary otrzymali największy dar, jaki może otrzymać chrześcijanin: świadectwo o Jezusie Chrystusie aż do oddania życia”. Dodał, że są oni świętymi wszystkich wyznań i tradycji chrześcijańskich.

Przy innej okazji Franciszek mówił, że w modlitwie o jedność Kościoła chce „wspomnieć naszych współczesnych męczenników. Oni dają świadectwo o Jezusie Chrystusie i są prześladowani i zabijani dlatego, że są chrześcijanami, bez różnicy dla prześladowców, do jakiego należą wyznania. Są chrześcijanami i dlatego są prześladowani. Jest to, bracia i siostry, ekumenizm krwi”. Słuchając słów papieża nie sposób nie przyznać mu racji, skoro niedawno w moskiewskim centrum kultury Pokrowskie Worota została zaprezentowana papieska encyklika „Fratelli tutti” przełożona na język rosyjski i wydana z inicjatywy rosyjskich muzułmanów. Gospodarzem wydarzenia był mufti szejk Rawil Gajnutdinow.

Czytając dwa pierwsze zdania z zacytowanego Listu do Hebrajczyków, można by pomyśleć, że jego autor coś poplątał. Przecież Bóg nie ocalił Jezusa od śmierci, a to znaczy, że nie wysłuchał Jego żarliwej prośby o ocalenie. Pewnie niejeden z tych wspomnianych 21 męczenników i wielu ich krewnych oraz współwyznawców też prosiło Chrystusa o ocalenie życia, ale nadaremnie. O czym to świadczy?

W świetle powyższego cytatu wygląda na to, że wciąż na życie nie patrzymy tak, jak je widzi Paweł Apostoł, kiedy do Koryntian mówi: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie”. Nie szukajmy więc Boga, który, mówiąc za Karlem Rahnerem, będzie nam kołysał dzieci, żeby nie płakały. Męczennicy, zmuszając nas do zgody na życie w takim świecie, jaki mamy, psują nam taką słodką wiarę. Oni, oddając siebie śmierci, powtarzają za Pawłem: „Dla mnie bowiem życie to Chrystus, a śmierć to zysk”. Marzenie o wiecznym życiu nie musi być bajką. Franciszek z Asyżu śmierć nazywa siostrą. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Prawo i Prorocy

Najzwyklejsza prawda, jeśli wypełni nam całą duszę, jest jak objawienie.

SIMONE WEIL

Ludzkość jest jak bagaż wieziony statkiem przez świat.

ABU AL-MADŻID AS-SANA'I

„Nie sądźcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić" (Mt 5, 17). Gdy medytowałem nad tym zdaniem, dotarło do mnie, że być może najważniejszy w tym zdaniu jest... spójnik „albo". Piszę ostrożnie – być może – gdyż większość znanych mi komentarzy do tego fragmentu koncentruje się wyłącznie na kwestii Prawa. Tak jakby Jezus powiedział, że przyszedł wypełnić jedynie Prawo. Tymczasem nasz Pan, oczywiście, wypełnia Prawo – czyni to tak dalece, że jak pisał Benedykt XVI: „sam staje się Prawem" – patrząc na Niego, uczymy się wypełniania przykazań. Ale w równej mierze Jezus wypełnia słowa Proroków – na Nim się wypełniają wszystkie Proroctwa: z Izajasza (pieśni o Słudze Pańskim), z Jeremiasza (o nowym przymierzu), z Zachariasza (o pasterzu pozostawionym przez owce), z Ozeasza (o zaślubinach Boga z nierządnicą, o Synu wezwanym z Egiptu), z Micheasza (o Betlejem), z Jonasza (o powrocie do życia po trzech dniach).

Proroctwo wypowiada się innym słowem niż Prawo – ma ono sobie właściwe słowa: „obietnica", „spełnienie", „miłość", „miłosierdzie", „zbawienie", „usprawiedliwienie", „łaska", „znak", „jedność", „przestroga" czy „ostrzeżenie". O ile słowa Prawa składają się na jakieś ramy (instytucjonalne), słowa Proroków są raczej zawsze „pozasystemowe", poddają system jakiemuś „sprawdzam". Prawo zawiera zwykle obiektywne normy, odnoszące się do trwałego porządku, obowiązującego zawsze; Proroctwo jest raczej skoncentrowane na rozumieniu w Bożym świetle tego, co teraz i tutaj, wskazuje aktualną łaskę. Tak jak możliwa jest ucieczka przed Prawem – w imię raczej pozornie duchowych przesłanek – tak również możliwa jest ucieczka przed Proroctwem, np. w poczucie bezpieczeństwa, jakie dają jasne prawne zasady.

Jezus wypełnia Prawo i Proroków. To samo zleca swojemu Kościołowi – budując go na fundamencie „Apostołów i Proroków" (Ef 2, 20). Nie Apostołów tylko i nie Proroków tylko! Sam jest Głowicą Węgła, Narożnym Kamieniem (*Lapis angularis*), który Apostołów i Proroków spina w jeden fundament.

Myślę, że wszyscy w swoim myśleniu i działaniu bardzo potrzebujemy poddać się temu Słowu. Szczególnie w czasie, gdy budowa Kościoła staje się w coraz większym zakresie odbudową – wychodzeniem z wielotwarzowego kryzysu. Jeśli ktoś myśli, że wyłącznie biskupi sami bez proroków są w stanie wyprowadzić nasz Kościół z dzisiejszego kryzysu, to głęboko się myli. Nawet nie powinni tego sami robić. Chyba że chcą jeszcze raz potwierdzić wszystkie klerykalne uzurpacje. Jeśli ktoś myśli, że można wyprowadzić ten Kościół z kryzysu bez biskupów – myli się równie głęboko. Jeden i drugi pomysł jest tak naprawdę rozwalaniem fundamentu, założonego i spiętego w całość przez Jezusa. Co można zbudować na rozwalonym fundamencie? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 III)

5. niedziela Wielkiego Postu: Jr 31, 31-34; Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33;
Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30. 33-62; Ps 23; J 8, 1-11;
Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;
Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95; Dn 3, 52-56; J 8, 31-42;
Czwartek, uroczystość Zwiastowania Pańskiego: Iz 7, 10-14; Ps 40; Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;
Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;
Sobota: Ez 37, 21-28; Jr 31; J 11, 45-57;
Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Mk 14, 1 – 15, 47.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

WALKA Z PANDEMIĄ, WALKA O ZAUFANIE

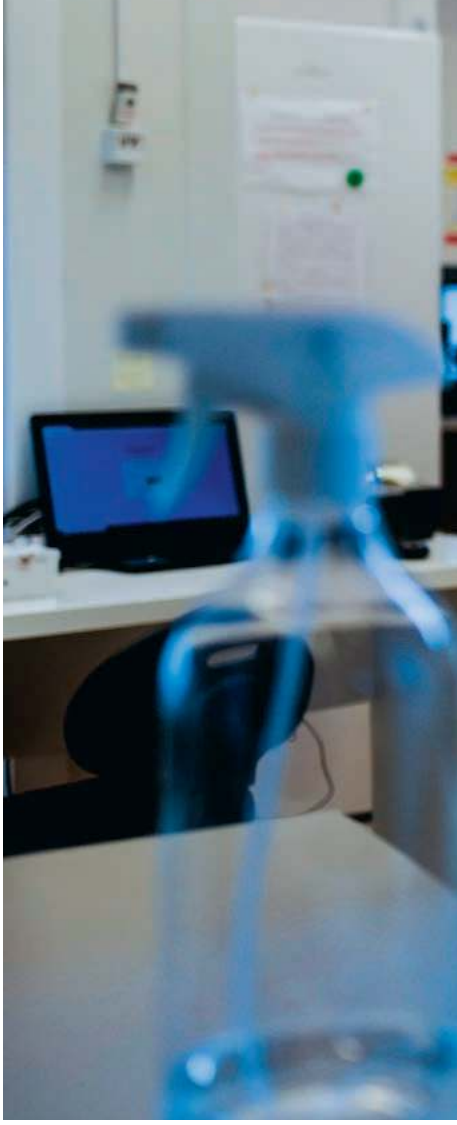

Rządzący wykorzystali walkę z kryzysem do propagandy i manipulują danymi. Ale nawet gdyby tego nie robili i tak duża część obywateli przestrzegałaby restrykcji tylko z obawy przed karą.

KLAUS BACHMANN

Na pierwszy rzut oka coś poszło bardzo, bardzo źle. Unia Europejska zamówiła za mało szczepionek na COVID-19, a kiedy zaczęło ich brakować, kraje członkowskie podkupywały je sobie nawzajem, „naruszając wspólne ustalenia". Niektóre zaś zaczęły kupować rosyjskie i chińskie szczepionki (albo się do tego przymierzają), „naruszając europejską solidarność".

Według tej narracji, która – niezależnie od orientacji politycznej dziennikarzy – dominuje w wielu krajach UE, są tylko dwa chlubne wyjątki spoza Unii: Wielka Brytania i Izrael, które biją rekordy świata w szczepieniu własnej ludności. Narracja o nieudolnej Unii składa się ze strzępów wiadomości, które krążą po internecie i które zagęściły się w jeden tak przekonujący zlepek, że w końcu nawet szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i niemiecka kanclerz Angela Merkel publicznie przepraszały za błędy, które rzekomo popełniły.

Problem nie polegał jednak na tym, że Komisja za mało zamówiła – zakontraktowano ogółem ilość wystarczającą do zaszczepienia każdego obywatela UE niemal sześciokrotnie – lecz na tym, że na samym początku było za mało szczepionek, aby od razu zaszczepić wszystkich chętnych. Łatwo było to zresztą przewidzieć i zarówno Unia jako całość, jak i osobno Niemcy przyznały w zeszłym roku niektórym producentom znaczne dotacje do produkcji, by mogli produkować zapasy na wyrost i jeszcze przed uzyskaniem oficjalnego dopuszczenia na rynek.

Powstał też drugi problem: producenci nagle zmniejszyli produkcję poniżej tego, co zapisano w harmonogramach dostaw. W przeciwieństwie do władz Unii i polityków niektórych krajów, nie przeprosili i nie przyznali się do błędu.

Trudno się dziwić, że menadżerowie tych firm próbowali sprzedać część produkcji poza UE. Jako pierwsi weszli ze swoimi produktami na rynek europejski, ale specjalnych korzyści z tego nie mieli, bo Komisja Europejska wynegocjowała niską cenę. Opinię publiczną w dużych państwach Unii niewiele to obchodziło: rząd miał szybko załatwić szczepionki. Ale logika rynkowa jest nieubłagana: podaż szczepionek w styczniu i lutym była niska, a popyt – gigantyczny. Gdyby w takiej sytuacji każdy rząd sam negocjował z dwójką producentów, ten faktyczny duopol mógłby podbić ceny w niespotykany dotąd sposób.

Jeszcze silniejsi, jeszcze słabsi

Jak byśmy wyglądali, gdyby Komisja Europejska nie przyjęła jednolitego frontu w pertraktacjach z producentami szczepionek, można obecnie obserwować w Afryce. Podaż szczepionek w ramach sponsorowanego przez ONZ programu COVAX pokrywa tam około 20 proc. zapotrzebowania. Resztę trzeba uzupełnić na wolnym rynku, który w tej chwili ogałacają najbogatsze państwa. W rezultacie niektóre kraje afrykańskie w ogóle

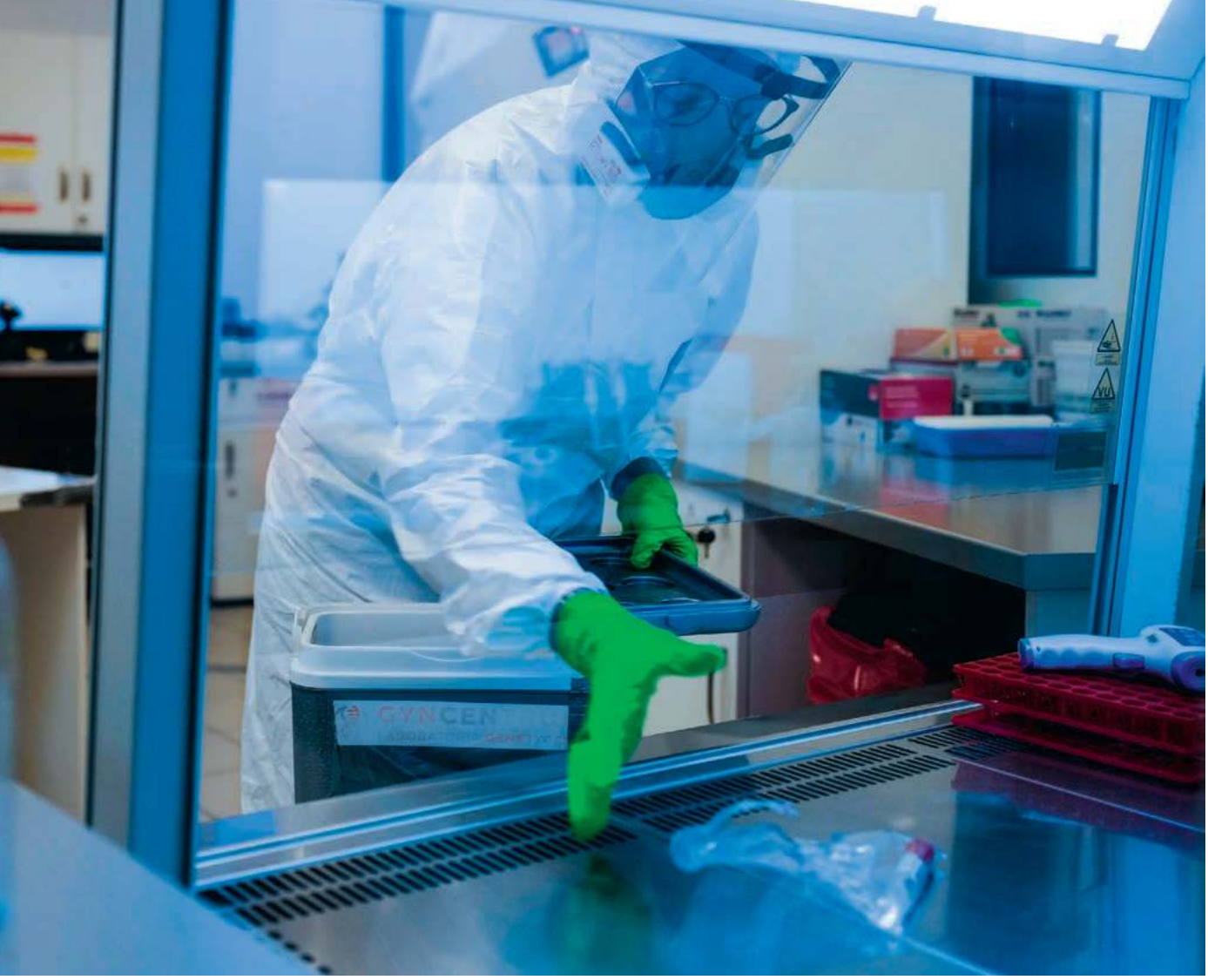

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Laboratorium, w którym prowadzone są badania nad mutacjami koronawirusa. Sosnowiec, luty 2021 r.

nie szczepią, inne szczepią tylko personel medyczny, licząc na to, że struktura demograficzna (relatywnie dużo młodych i mało starych ludzi) ograniczy liczbę ofiar śmiertelnych i ciężko chorych. Rządy mające dobre relacje z Chinami próbują dostać dostawy za darmo.

Bo pandemia nie tylko obnażyła układ sił na świecie – ona go wyostrza. Po niej silni będą jeszcze silniejsi, a słabi – jeszcze słabsi.

Sukces Izraela przeciwstawianego obecnie „opieszałej" Unii był możliwy tylko dlatego, że dotyczył małego, sprawnego i – na tle sąsiadów oraz innych potencjalnych konkurentów na rynku szczepionek – bogatego kraju, który stać było w tej licytacji zapłacić najwyższą cenę. Ale kiedy podaż jest tak ograniczona jak na początku tego roku, każda szczepionka dla izraelskiego czy europejskiego pięćdziesięciolatka (albo, jak obecnie w Polsce, zdrowego trzydziestolatka z puli „uniwersyteckiej") to dawka, której nie dostanie ktoś starszy w innym, mniej zamożnym kraju. To ciemna strona sukcesu.

Wspólne zakontraktowanie szczepionek przez Komisję Europejską oszczędziło nam takiej licytacji wewnątrz Unii. Wszystkie kraje UE szczepią obecnie mniej więcej w podobnym tempie. Różnice wynikają z przyjętej strategii oraz wydolności administracji i służby zdrowia, ale nie z różnej dostępności do szczepionek. Kiedy Europejska Agencja Leków zaaprobuje Sputnik V i szczepionkę Johnson&Johnson, zapomnimy o trudnościach. Będziemy mieli więcej dawek, niż jest chętnych do ich przyjmowania. Z preparatem AstraZeneca już tak jest: zalega w magazynach w Polsce i na wschodzie Niemiec, gdzie wielu ludzi ma więcej zaufania do szczepionki rosyjskiej.

Światło w tunelu i następny tunel

Pandemia bezlitośnie odsłoniła słabości państw, które dotknęła. W Polsce obnażyła zatory w służbie zdrowia i zaniedbania w polityce zdrowotnej, powodując jeden z najwyższych wskaźników nadumieralności na świecie. W Niemczech decentralizacja opóźniła podejmowanie decyzji i uniemożliwiła stosowanie jednolitej strategii wobec wirusa. W obu krajach struktura demograficzna przyczyniła się do dużej liczby ofiar wśród najstarszych. W Belgii centralizacja opieki senioralnej windowała liczby ofiar śmiertelnych, w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Brazylii i Tanzanii rządzący zbyt długo chowali głowę w piasek.

Lekcja z tej katastrofy: przez administracyjne zamykanie granic można spowolnić i opóźnić rozprzestrzenianie się wirusa, ale nie można go powstrzymać. Zwłaszcza że wirus mutuje i może to robić tym łatwiej i szybciej, im swobodniej krąży między ludźmi. W tej chwili ma niemal idealne warunki do rozprzestrzeniania się i do mutacji tam, gdzie jest mało szczepień: w Afryce, gdzie państwa nie mają dostępu do szczepionek, i w Brazylii, gdzie prezydent przeciwstawia się ↦

↦ zarówno ograniczeniu kontaktów międzyludzkich, jak i szczepieniom.

Szczepionka to światło na końcu tunelu, ale dopiero początek wyścigu nauki z wirusem: czy będzie on mutować szybciej, niż naukowcy zdołają adaptować szczepionki na mutacje i szczepić ludność? Już jesienią tego roku problem mutacji i zaniku odporności będzie się nakładać na problemy dotychczasowe. Trzeba będzie szybko i sprawnie szczepić ludzi jeszcze raz na COVID-19 i dodatkowo na grypę, aby uchronić służbę zdrowia od zapaści i kraj przed kolejnym szczytem nadumieralności.

Głośne myślenie premiera Morawieckiego o możliwych podwyżkach podatków, aby mieć z czego finansować opiekę zdrowotną, jest więc ze wszech miar na miejscu (to pierwszy bodaj przypadek, kiedy w polityce pandemicznej rząd myśli w sposób długofalowy), choć PiS-owi raczej zaszkodzi w sondażach. Ale horyzont problemów jest o wiele szerszy: cała polityka zdrowia publicznego wymaga głębokiej korekty. Już tylko z powodów demograficznych coraz mniej młodych i zdrowych utrzymuje rosnącą rzeszę chorych i starych.

Nie stać nas, by zwiększyć tę rozpiętość przez bierne przyglądanie się rozwojowi chorób cywilizacyjnych. Mówiąc obrazowo: nie stać nas na to, by sprzedawać papierosy, kiedy wirus śmiertelny dla osób z chorobami górnych dróg oddechowych i płuc zbiera żniwo na oddziałach intensywnej terapii. Nie stać nas na brak programów prewencji otyłości, kiedy wiemy, że jest to jedna z głównych przesłanek ciężkiego przebiegu i śmierci przy COVID-19. Czy koniecznie musimy wspierać wirusa smogiem i masowym importem używanych samochodów z Niemiec? Czy warto traktować młodych lekarzy tak, jak rząd obchodził się przed pandemią z rezydentami, w sytuacji, w której mogą oni bez żadnego problemu pracować za wielokrotnie wyższe pensje w Europie Zachodniej?

Trzeba sprawę postawić jasno: kasy państwa są puste, nic tego lepiej nie pokazuje niż plany dofinansowania służby zdrowia z podwyżki podatków zamiast z nowo zaciągniętego długu. Polska już obecnie płaci na międzynarodowych rynkach finansowych wyższe odsetki za obligacje niż rząd Grecji. Na znaczące podwyżki pensji lekarzy i pielęgniarek Polskę już nie stać. Pielęgniarkom i lekarzom można jedynie poprawić warunki pracy i okazać szacunek. I tu jest pies pogrzebany, wcale nie tylko w odniesieniu do służby zdrowia. Mamy bowiem olbrzymi deficyt wzajemnego szacunku i zaufania.

> Pandemia nie tylko obnażyła układ sił na świecie – ona go wyostrza. **Po niej silni będą jeszcze silniejsi, a słabi – jeszcze słabsi.**

Przyjazne, odporne państwo

Są kraje, które radziły sobie w miarę dobrze w tej pandemii, odnotowały niskie liczby infekcji i przypadków śmiertelnych, uchroniły służbę zdrowia przed zapaścią. Jeśli odliczyć kraje bez wolnych mediów, które manipulowały statystykami albo po prostu żadnych precyzyjnych danych nie podają (jak Białoruś, Korea Północna, Burundi i Tanzania), to skutecznie radziły sobie przede wszystkim kraje z wysokim albo bardzo wysokim zaufaniem społecznym wobec instytucji państwa (wyjątkiem jest Australia, gdzie poziom zaufania do rządu jest bardzo niski) – np. Chiny, Tajwan, Wietnam, Niemcy, Dania, Norwegia i Japonia.

W tych państwach obywatele postrzegają państwo jako przyjazne i budzące zaufanie, co ułatwia rządzącym dotarcie do obywateli nawet wtedy, kiedy mają dla nich przykre wiadomości. Przejrzysta komunikacja zapewnia powszechne przestrzeganie restrykcji również tam, gdzie policja nie sięga. Brak większych napięć w elitach politycznych sprawia, że restrykcje i obostrzenia nie padają ofiarą głębokich podziałów partyjnych i nie są postrzegane jako próba arbitralnego odbierania obywatelom swobód. Jest to zasada niezależna od ustroju politycznego: w pandemii niektóre dyktatury radziły sobie lepiej niż niektóre demokracje, ale tak czy owak skuteczna polityka opierała się na wysokim poziomie zaufania.

Zaufanie do instytucji to zasób, którego od wielu pokoleń dramatycznie brakuje w Polsce. Stąd mamy lekceważenie restrykcji, nielegalne dyskoteki, sprzedaż lewych wyników testów w internecie, niechęć do szczepionek i spadek poparcia dla rządzących. W Polsce rządzący wykorzystali narzędzia do zarządzania kryzysowego do propagandy, używają pandemii jako pretekstu do tłumienia manifestacji i manipulują danymi – ale nawet gdyby tego nie robili, i tak duża część opinii publicznej oraz obywateli nie ufałaby im i przestrzegałaby restrykcji tylko z obawy przed karą.

Niestety, wyjście z lockdownu i przygotowanie państwa na następne zagrożenia znowu będzie wymagać zaufania. Za trzy miesiące Komisja Europejska przedstawi system wymiany informacji o odporności, który zaszczepionym i ozdrowieńcom umożliwi wyjazdy na letnie urlopy i ułatwi podróże biznesowe – a pozostałym znacznie to utrudni. Do lata każdy, kto chce się szczepić, musi mieć taką ofertę, inaczej grozi nam zapaść turystyki i kolejna fala pozwów ze strony rozgoryczonych obywateli.

Do tego czasu władze muszą zapewnić odporny na manipulacje przesył informacji ze służby zdrowia do unijnego systemu, tak aby informacje o tym, kto może i kto nie może podróżować bez konieczności testowania i kwarantanny, były wiarygodne dla władz innych krajów. Najpóźniej wtedy Polacy powinni się dowiedzieć – dzięki ustawie albo przynajmniej rozporządzeniu – jak będą traktowane osoby, które chcą się zaszczepić, ale nie z własnej winy nie mogą tego zrobić. Czy zaszczepieni rodzice mogą jechać do Austrii z niezaszczepionym, bo małoletnim synem? Czy ciężarne kobiety z zasady muszą latem zostać w Polsce?

W tej chwili Niemcy próbują pogodzić ostrożne otwarcie gospodarki z wolno rosnącą liczbą infekcji poprzez szerokie stosowanie testów, w tym tych do samodzielnego wykonania – wtedy wynik zna tylko ta osoba, która go sobie zaaplikuje. Rząd liczy na to, że obywatele z wynikiem dodatnim zgłoszą się na oficjalny test wprowadzony do systemu wymiany informacji. To chyba największy dotąd masowy eksperyment sprawdzający zaufanie między władzami i społeczeństwem.

Jak podobny pomysł skończyłby się u nas, gdzie obywatele uważają polityków za skorumpowanych, wyobcowanych cwaniaków, którym zależy tylko na własnych korzyściach? I gdzie politycy demonstracyjnie lekceważą zasady, które sami ustanowili?

© KLAUS BACHMANN

MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / REPORTER

Edukacja poskramia namiętność. Protest Jesień średniowiecza pod Sejmem. Warszawa, 16 października 2019 r.

Dotknij mnie tutaj

KASIA KOCZUŁAP, EDUKATORKA SEKSUALNA:

Mamy promy kosmiczne, za chwilę zaczniemy produkować syntetyczne mięso i latamy na Marsa. A rozmawiać o seksie dalej nie umiemy.

KRZYSZTOF STORY: Na początku stycznia 13-letnia Patrycja z Bytomia została zamordowana przez kolegę niewiele starszego od niej. Dziewczyna była w ciąży.

KASIA KOCZUŁAP: Proszę nie oczekiwać ode mnie diagnozy ani oceny. To nie moje zadanie. Ja mogę tylko zadać jedno pytanie: ilu takich tragedii można by uniknąć, gdybyśmy mieli dostęp do profesjonalnej edukacji seksualnej? Do wiedzy po prostu.

Takich historii są tysiące, nawet jeśli nie kończą się tragicznie. Ja codziennie dostaję wiadomości, które mogą być ich początkiem. Wiadomości od nastolatków, których nikt nie nauczył, czym jest seks, antykoncepcja, świadoma zgoda. Pytania, czy można zajść w ciążę w ubraniu. I czy same majtki też się liczą? A co jeśli tylko włoży i wyjmie?

Ile jest tych pytań? Pytam, bo Pani konto na Instagramie obserwuje 340 tysięcy osób. Dla wielu z nich stało się podstawowym źródłem wiedzy o seksie.

Od trzech do ośmiu tysięcy wiadomości tygodniowo. A to stwierdzenie, że mogę być podstawowym źródłem wiedzy, jednak mnie trochę przeraża.

Dlaczego?

Bo ani ja, ani inni influencerzy nie mają być żadnym podstawowym źródłem! Wiem, że to, co robię, jest potrzebne, mam z tego satysfakcję. Ale ja jestem tylko w mediach społecznościowych. Tworzę dla bańki ludzi, którzy świadomie kliknęli „obserwuj", zdecydowali się na to. Jak to się ma do systemowej edukacji? Nijak. Nigdy jej nie zastąpimy. Tylko na razie nie bardzo jest co zastępować, i to mnie przeraża. Przeraża mnie to, że nie rozmawia pan teraz z ministrem, ekspertami tworzącymi program edukacji seksualnej w szkołach, posłanką, tylko z dziewczyną z Instagrama.

W szkołach jest WDŻ. Według raportu Grupy Ponton z 2014 r. miało do niego dostęp 86 proc. uczniów.

Wychowanie do życia w rodzinie. Widzi pan, że już sama nazwa zawiera tezę? A co, jeśli ktoś nie chce żyć w rodzinie? Wtedy nie ma już prawa uprawiać seksu? Nie ma prawa wiedzieć, czym jest molestowanie i jak na nie reagować?

Z tamtego raportu wyłania się ponury obraz. Kiepskie podręczniki, straszenie seksem, cytaty z nauczycieli takie jak: „najlepszym środkiem antykoncepcyjnym jest aspiryna trzymana kolanami, bo jak dziewczyna nie rozkłada nóg, to nie ma problemu". To było w 2014 r., może coś się zmieniło?

↦

↦ Są zmiany, ale to kropla w morzu. Niedawno zapytałam swoje obserwatorki i obserwatorów o ich wspomnienia z WDŻ. To jest nadal ta sama opowieść. Lekcje prowadzone wyłącznie według nauczania Kościoła. 10-latkom pokazuje się film „Niemy krzyk" [drastyczny i zmanipulowany dokument nt. aborcji – red.]. 15-latków straszy się seksem, który mogą zupełnie legalnie uprawiać. A przede wszystkim nie przekazuje się rzetelnej wiedzy. Na innych przedmiotach to jest niewyobrażalne. To tak jakby na chemii nauczyciel powiedział, że wzór chemiczny wody to np. „RT3".

W takich momentach często pada argument: przecież jest internet. I tam jest cała wiedza.

A chemii nie ma w internecie? A artykułów o biologii, fizyce, weryfikowaniu informacji? Są tysiące, a i tak mamy teorie spiskowe, antyszczepionkowców i płaskoziemców. To nie jest żaden argument. Co z tego, że mamy rzetelne źródła, skoro nie ufamy im albo patrzymy przez pryzmat polityki? Proszę spojrzeć, jak wyglądała w Polsce dyskusja o standardach WHO.

Zostały sprowadzone do „uczenia dzieci masturbacji".

Czytałam je cztery razy. One są głównie dla ekspertów i nauczycieli, żeby wiedzieli, jak i kiedy poruszać pewne tematy. Nie są atakiem na nic, opierają się na nauce i faktach. A fakt jest taki, że małe dzieci czasem same się masturbują. To jeden z etapów rozwoju. W standardach WHO jest przekaz: bądź świadomy, że to może wystąpić, i naucz się poprawnie reagować. A my robimy z tej informacji zagładę współczesnej cywilizacji. Tylko po to, żeby nie musieć zaakceptować faktu, że dzieci się masturbują. Zaklinamy rzeczywistość.

Konsekwencje?

Od najpoważniejszych zaczęliśmy rozmowę. Niechciane ciąże, wykorzystywanie seksualne, ale też po prostu gorszy seks. Nie umiemy stawiać granic, bardzo trudno jest nam mówić, czego w łóżku nie chcemy, a jeszcze trudniej – czego chcemy. Ja się z tym stykam na co dzień.

Jesteśmy krajem złego seksu?

Absolutnie nie. Polska w łóżku nie jest jakimś gorszym krewnym reszty świata. Polacy uprawiają fajny, różnorodny seks. O zgrozo, nie zawsze po ślubie. Jesteśmy w różnych związkach, także poliamorycznych, chodzimy do klubów swingerskich, mamy fetysze, robimy to samo, co na tym strasznym Zachodzie. Tylko jakoś nie wypada o tym mówić.

W Pani domu i szkole wypadało?

W domu nie miałam żadnej edukacji seksualnej. Temat fizjologii nie istniał. Jak dostałam okres, mama pokazała mi, jak używać podpasek. W panikę nie wpadłam, bo wcześniej słyszałam o tym w szkole na biologii. Na WDŻ rozmawialiśmy o narkotykach, przyjaźni i emocjach. Lekcje o miesiączce były tylko dla dziewczyn, bo przecież chłopcom nie wypada o tym słuchać. Na religii obejrzałam „Niemy krzyk".

Skąd brała Pani wiedzę?

Książki, gazeta „Bravo" i internet. Mam szczęście, że lubiłam czytać.

W przeciwieństwie do „Bravo", internet może być rewelacyjnym źródłem.

Poza rzetelną wiedzą jest tam mnóstwo bzdur. Ja wszędzie w sieci podaję swoje wykształcenie, nie po to, żeby się popisywać, tylko żeby samą siebie zweryfikować. Na internetowych forach często dzieci uczą dzieci.

Dla wielu pierwszy kontakt z seksem to pornografia.

Tutaj dostęp jest banalnie prosty, zwłaszcza do mainstreamowego porno. I sięgają po nie coraz młodsze dzieci. To bardzo ryzykowne.

Pornografia jest zła?

Może być wykorzystana dobrze albo źle. Jest narzędziem, ale na pewno nie edukacyjnym. To edukacja jest po to, żeby wiedzieć, że porno to fikcja. Że czasem jedna scena nagrywana jest dwa dni, robi się montaż, światło, make-up genitaliów. Kiedy oglądamy „Szklaną pułapkę", wiemy, że nie wyskoczymy z okna tak jak Bruce Willis.

Pornografię dużo częściej oglądają mężczyźni. Natomiast zdecydowana większość Pani odbiorców to kobiety.

93 procent. Jednym z powodów jest moja płeć. Patrzę z perspektywy kobiety i jej doświadczeń. Niestety edukatorów seksualnych-mężczyzn bardzo brakuje. Mam wrażenie, że dziewczyny mają większą potrzebę, żeby się nauczyć, albo przynajmniej mniej się jej wstydzą. Kobiecie wybacza się, że czegoś nie wie, że wprost pyta: „jak zrobić loda?". Facetom wydaje się, że to niemęskie nie wiedzieć czegoś o seksie.

A te 7 procent mężczyzn o co pyta?

O długość i obwód, bo z jakiegoś powodu przyjęliśmy rozmiar penisa za wyznacznik męskości. Często wstydzą się tego, że mają niższe libido niż partnerka, a to zupełnie normalne. O problemy ze wzwodem i zbyt szybkim wytryskiem. O to, jak sprawić przyjemność partnerce lub partnerowi. O zdrowie, bo profilaktyce mężczyzn nikt nie poświęca uwagi. I bardzo często pada pytanie: jak lepiej rozmawiać o seksie?

Pisze Pani bardzo wprost. Nie każdy tak umie. Łatwiej mówić szyfrem.

I to też jest w porządku. Te słowa warto powoli oswajać, osłuchiwać się, ale nic nie dzieje się natychmiast. Jeśli nie jesteście gotowi rozmawiać dosłownie – rozmawiajcie po swojemu. Trzeba się po prostu dogadać. Nawet jeśli powiesz po prostu: „dotknij mnie tutaj". Liczy się zrozumienie, a nie zasób słownictwa. Niektóre pary o seksie piszą, zamiast mówić. Inni rozmawiają tylko po angielsku albo stojąc tyłem do siebie.

Poprawne słownictwo jest najważniejsze w przypadku dzieci, w czasie zajęć edukacji seksualnej. Dorośli ludzie mogą tworzyć własne zasady, jeśli to im pomaga.

Pamięta Pani swoje pierwsze skojarzenie z seksualnością?

Grzech.

Była Pani mocno wierząca.

Odejście od Kościoła było najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu.

Byłam nastolatką, moje ciało i myśli zaczęły się zmieniać. Miałam 15 lat i mnóstwo pytań, a Kościół oferował tylko zakazy. Bądź czysta, nie myśl za dużo, wszystko odłóż na „po ślubie". Dla mnie ważna była nauka i to, co czuję, a na to Kościół nie miał żadnej odpowiedzi. Nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby mi to wytłumaczyć.

Co Pani słyszała?

Że swoje trudności, czyli normalne dojrzewanie, powinnam ofiarować Bogu. Ja walczyłam przez całe lata, żeby pozostać w Kościele. Byłam w oazie, znałam wielu księży, rozmawiałam z nimi i ze swoim kierownikiem duchowym. Pytałam: dlaczego moje ciało jest wrogiem? Ja chciałam być czysta, chciałam dorosnąć do tych ideałów. Potrafiłam się codziennie spowiadać, jeździć na rekolekcje i wykłady. I słyszałam, że przy podnieceniu mam się modlić, a zamiast myśleć o chłopcach – czytać Biblię. Biblię znam na pamięć.

Seksualność była wstępem do kwestionowania moich przekonań, potem naturalnie pojawiły się inne zarzuty. Ale traktowania własnego ciała jak wroga nie życzę nikomu. Może dzięki temu, co robię, inna lub inny nie będzie musiał przez to przechodzić.

Piszą do Pani osoby wierzące?

Tak. Mam dla nich dużo zrozumienia i ciepła. Nie narzucam swoich przekonań, nie operuję kategorią „grzech". Zresztą edukacja seksualna i abstynencja wcale się nie wykluczają. Wręcz przeciwnie – przemocą jest oczekiwanie, że cała wiedza o seksie spłynie na parę w noc poślubną. Dostaję wiele wiadomości od takich par. Ludzi, którym całe życie obrzydzano seks, straszono nim w szkole i przy konfesjonale, a potem zostawiono ich samych. Kościół ma w tym niestety sporą rolę.

Według raportu Pontonu 12 proc. prowadzących WDŻ to nauczyciele religii. W tym samym czasie pod skrzydłami Kościoła nadal działają grupy organizujące tzw. terapie konwersyjne, niepotwierdzone naukowo próby wyleczenia homoseksualizmu.

Wolałabym, żebyśmy słowo „terapia", nawet w cudzysłowie, zarezerwowali dla potwierdzonych działań, które pomagają ludziom. To nie spełnia żadnego z tych warunków. Spełnia za to definicję przemocy psychicznej.

Te problemy mogą się wydawać abstrakcyjne, ale ja czytam o nich codziennie. Dostaję historie przemocy, stygmy aborcyjnej i fatalnych zachowań niektórych lekarzy. O „mężowskich szwach", odmawianiu recepty na tabletkę dzień po, upokarzających komentarzach. O homofobii, transfobii, odbieraniu praw kobietom. Czasami jestem pierwszą osobą, która te historie słyszy. Czytam wszystkie wiadomości. Często odsyłam do specjalistów, bo Instagram nie jest miejscem na konsultacje, terapię, leczenie. Jestem wdzięczna za zaufanie, ale jednocześnie smutna. Bo okazuje się, że mamy promy kosmiczne, za chwilę zaczniemy produkować syntetyczne mięso i latamy na Marsa. A rozmawiać o seksie dalej nie umiemy.

KAROLINA JACKOWSKA

KASIA KOCZUŁAP jest psycholożką z wykształceniem seksuologicznym, edukatorką. Prowadzi kanał na Instagramie (@kasia_coztymseksem), a niedawno stworzyła również edukacyjną aplikację „Co z tym seksem?".

Możemy się tego nauczyć?

W nic na świecie nie wierzę tak, jak w edukację. Nieważne, czy chodzi o matematykę, czy seks.

Wracamy do punktu wyjścia, czyli szkoły.

I tu muszą zajść zmiany. Państwo nie może tej odpowiedzialności zrzucić ani na Kasię z Instagrama, ani tym bardziej na rodziców. Po pierwsze: nie wszystkie dzieci mają rodziców, niektóre żyją w przemocowych domach, gdzie nie ma bezpiecznej przestrzeni do rozmowy. Po drugie: nauka wymaga wiedzy. Który rodzic wymieni wszystkie choroby przenoszone drogą płciową razem z objawami?

Jaka jest rola rodzica?

Wspierać. Rozmawiać. Nie udawać przez 15 lat życia dziecka, że seks nie istnieje.

Wielu dorosłych boi się takich rozmów.

Rozumiem. Ale naprawdę wystarczy mówić prosto i bardzo dosłownie. Dzieci do pewnego wieku nie rozumieją metafor. Jeśli powiemy, że mama ma w brzuchu „domek dla dzidziusia", dziecko widzi domek. Z kominem, oknami, czerwonym dachem.

Jak by Pani zatem opowiedziała o zapłodnieniu?

Wprost. Że tata ma penisa i wkłada go do dziurki, którą ma mama. Że malutka komórka przechodzi od taty do mamy i łączy się z jej komórką. Niech pan zrozumie – dla dziecka to jest dokładnie to, co usłyszało. To my, dorośli, seksualizujemy tę wiedzę. Jeśli dziecko o coś pyta, to znaczy, że jest przygotowane na odpowiedź. Często nie doceniamy dzieci. Boimy się im nawet powiedzieć, jak nazywają się ich genitalia.

Moja znajoma słyszała w dzieciństwie podczas kąpieli, że ma umyć „pupę z przodu".

Ja zapytałam kiedyś o to swoją społeczność. Dostałam kilkadziesiąt przedziwnych określeń. Dziecko później nie potrafi powiedzieć, gdzie było dotykane. W Wielkiej Brytanii był przypadek, gdzie molestowana dziewczynka próbowała powiedzieć, że jest dotykana w „*cupcake*" przez kogoś z rodziny, i nikt jej nie rozumiał. Umiała nazwać wszystkie części swojego ciała poza jedną. To naprawdę może być kwestia bezpieczeństwa.

W listopadzie zeszłego roku złożono projekt ustawy zmieniającej definicję gwałtu.

Nowy zapis zakładał jedynie, że na seks trzeba uzyskać świadomą i wyraźną zgodę drugiej osoby. O tym zresztą mówi Konwencja Stambulska, której jeszcze nie wypowiedzieliśmy.

Wśród reakcji poza czerstwymi żartami o chodzeniu do łóżka z notariuszem padł argument, że nie jesteśmy na to gotowi.

I tego już mam dość. Polska nigdy nie jest na nic gotowa. Mamy tysiące postępowań o gwałt rocznie [2527 w 2019 r. – red.], wiele przypadków nigdy nie zostanie zgłoszonych. To są tragedie, traumy realnych ludzi. I nadal mamy śmiałość, żeby mówić, że nie jesteśmy gotowi. Skoro nie jesteśmy gotowi na mniej gwałtów, to ja pytam: kiedy wreszcie będziemy? Proszę mi podać datę.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

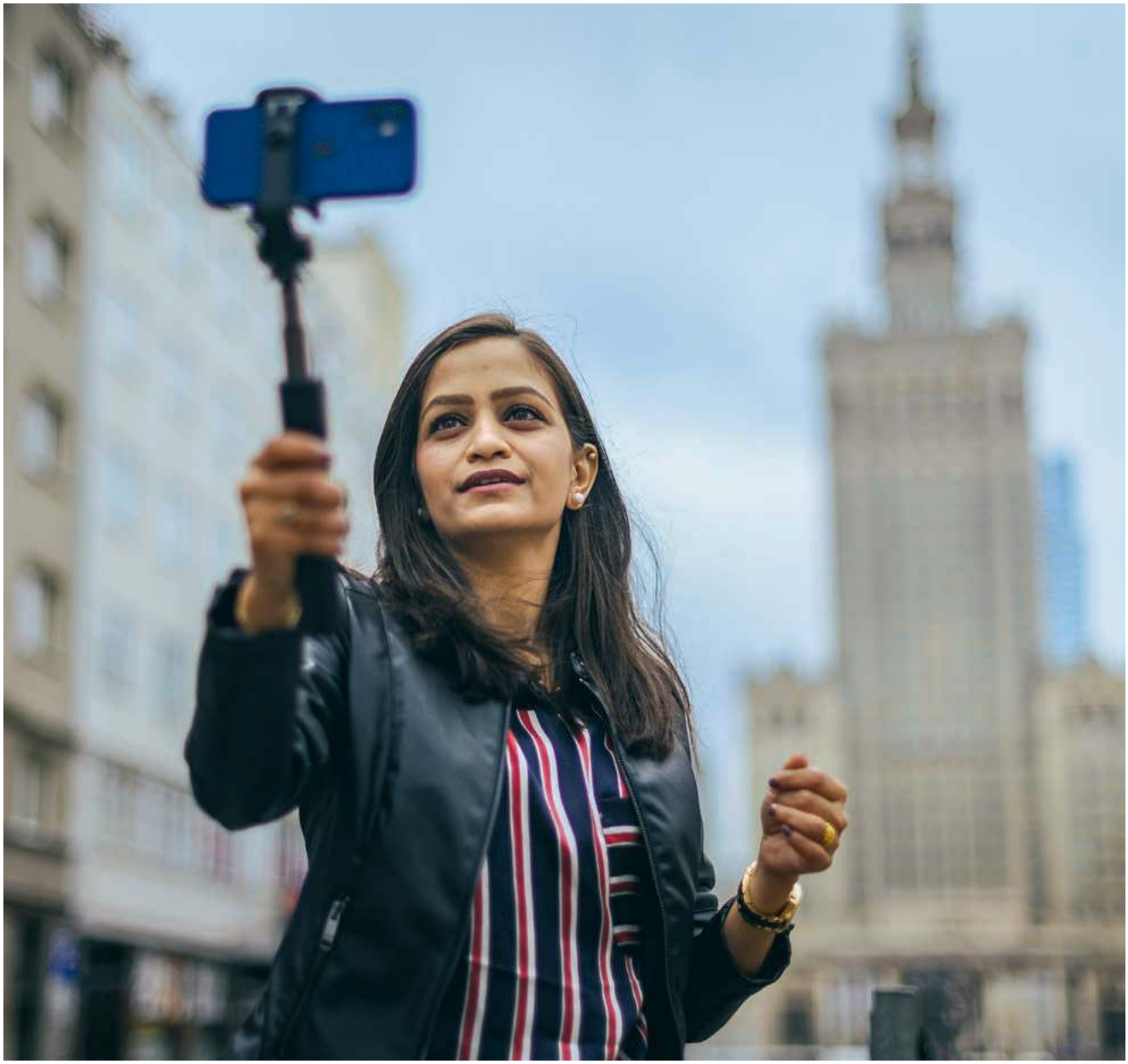

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

Sayali Rahati. Warszawa, marzec 2021 r.

Krakowiacy i hailendars

MAREK RABIJ

W podróż po Polsce – krainie brzydkiego lata, porządnych urzędników i doskonałej komunikacji miejskiej – wybrałem się z indyjską youtuberką nagrywającą poradniki dla rodaków, którzy chcą przenieść się nad Wisłę.

Wszyscy radzą, żeby nie zapomnieć adaptera, bo indyjskie wtyczki nie pasują do polskich gniazdek, ale przed wyjazdem myśli się przede wszystkim o jedzeniu. Trzy walizki, w które Sayali Rahate spakowała się na lot do Warszawy, wypchane głównie indyjskimi przyprawami i warzywami, pachniały więc jak stragan na bazarze.

– Praktycznie nie wzięłam ubrań, ale można je przecież kupić wszędzie. Poza tym nie miałam pewności, czy garderoba z Mumbaju przyda mi się w Warszawie – widoczna w okienku wideokonferencji Sayali poprawia słuchawkę, która znowu wysuwa się jej z ucha. – Przed wylotem sporo się naczytałam o pogodzie w tej części Europy, a prognozy mnie nie uspokajały. To był kwiecień, u nas temperatury już grubo powyżej 30 stopni, a tu zapowiadają siedemnaście – czyli tyle, ile termometry w Indiach pokazują zimą, i to raczej w nocy.

Ale wylądowaliśmy i okazało się, że nie jest tak źle.

Właściwie to jest całkiem dobrze. Za miesiąc Sayali świętować będzie drugą rocznicę pobytu w Polsce, do której przyjechała z mężem, awansowanym na stanowisko w warszawskim oddziale międzynarodowej korporacji. Inna rocznica właśnie minęła. Rok temu opublikowała pierwsze nagranie na swoim kanale YouTube, na którym pokazuje Polskę rodakom myślącym o pracy lub studiach nad Wisłą.

– Nie znajdziesz tam zabytków, parków narodowych czy opowieści o historii. Jestem tutaj zbyt krótko, żeby zrobić to lepiej od autorów przewodników, które można kupić choćby na lotnisku po przylocie. Nagrywam filmiki o tym, o czym sama chciałam wiedzieć, kiedy lecieliśmy tutaj dwa lata temu. Tylko że wtedy nic takiego nie było.

Sabskrajb karna

Z pewnością nie jest to ważny nurt na polskim YouTubie. Ale kto ma się do tego dogrzebać, ten się dogrzebie – zgodnie ze znaną teorią „długiego ogona" Chrisa Andersona, która mówi, że w internecie każda nisza tematyczna prędzej czy później gromadzi dostatecznie dużą widownię, aby funkcjonować. Wśród 457 tysięcy cudzoziemców, którzy 1 stycznia 2021 r. posiadali ważne dokumenty pobytowe, Indusi (9,9 tys. osób) nie stanowią licznej grupy, ale już wraz z Nepalczykami, obywatelami Bangladeszu, Pakistańczykami oraz Lankijczykami tworzą w Polsce blisko 30-tysięczną społeczność legalnych migrantów, liczniejszą od wietnamskiej, niemieckiej czy nawet białoruskiej diaspory.

Gdyby dodać do nich bliżej nieokreśloną grupę imigrantów, którzy tymczasowo pracują w Polsce nielegalnie, a do strefy Schengen wjechali z wizami innych krajów, liczba przybyszów z Azji Południowej może wzrosnąć, jak szacują eksperci od rynku pracy, nawet do 200-230 tysięcy. A to już spora potencjalna widownia dla kanałów takich jak prowadzony przez Sayali Rahate (nie wspominając o reszcie z blisko 1,7 mld mieszkańców Azji Południowej).

Wśród indyjskich youtuberów zaczyna rysować się nawet coś w rodzaju specjalizacji, bo o ile nagrania Sayali koncentrują się na sprawach, które mogą zainteresować pracujących w Polsce Indusów, o tyle np. studiujący we Wrocławiu Utkarsh Singh na swoim kanale opowiada głównie o tym, co może być istotne dla ludzi marzących o indeksie polskiej uczelni. Wszystkie z obowiązkową prośbą o „*subscribe karna*" – czyli subskrybcję kanału. Sayali zgromadziła blisko 5 tysięcy stałych widzów, a każdy z jej filmów ma co najmniej po kilkanaście tysięcy wyświetleń – głównie z Indii, Bangladeszu i Nepalu.

Dostrzeżenie tego trendu również przez polskich populistów było jedynie kwestią czasu. „Właśnie minął mnie kierowca Uber Eats – Hindus w turbanie pedałując na rowerze – pisał kilkanaście miesięcy temu na Twitterze Krzysztof Bosak. – Czy to, żeby pewna grupa ludzi miała zawiezione jedzenie zamiast pójść samodzielnie do baru lub sklepu jest tak istotną potrzebą gospodarczą, że chcemy iść w multikulti? Czy ta sprawa nie wymaga debaty?".

Sądząc po uspokajających opiniach samych Indusów wyrażanych w poradnikach dla potencjalnych imigrantów, większość Polaków nie podjęła jednak tematu, najwidoczniej uznając przybyszów z Azji Południowej za tak kulturowo odległych, że niegroźnych dla polskiej tożsamości.

– Uwierz mi, bo nie ma w tym grama kurtuazji, od przyjazdu nie zetknęłam się dosłownie z ani jedną wrogą czy chociażby niechętną reakcją ze strony Polaków – uśmiecha się Sayali. – Zdarzają się, owszem, nieporozumienia lub niezręczności wynikające choćby z bariery językowej. Najczęściej stykam się jednak z ogromną życzliwością. Ostatnio w cukierni nie umiałam wymówić nazwy polskiego ciastka. Natychmiast pojawiła się obok mnie Polka, która zaoferowała pomoc. A w Zakopanem, dokąd ostatnio pojechaliśmy z mężem, jakiś mężczyzna podszedł na ulicy upewnić się, czy nie potrzebujemy tłumacza. Chciał nam pomóc za darmo. Jak będzie po polsku *hailendars*?

– Górale.

– No to górale w Polsce też są w porządku.

Dlatego wątek uprzedzeń narodowościowych w ogóle nie pojawia się na kanale Sayali Rahate. – Nie ma o czym mówić, to po pierwsze – tłumaczy autorka. – Po drugie, ostatnio dostaję w mailach tyle zapytań o życie w Polsce, że postanowiłam koncentrować się na zagadnieniach, które interesują widzów.

Docenić domofony

Pytający twardo stąpają po ziemi. Chcą wiedzieć przede wszystkim, jak wygląda procedura uzyskania „TRC card", czyli tymczasowego pozwolenia na pobyt i pracę. Interesują ich widełki płacowe dla różnych stanowisk oraz stabilność rynku pracy. Wreszcie – koszty i warunki życia w Polsce. Sądząc po zauważalnej zmianie treści zadawanych pytań, Sayali odniosła ostatnio wrażenie, że jej widzowie coraz częściej nie tyle szukają informacji o Polsce, ile próbują weryfikować to, co przekazują im indyjskie firmy rekrutujące pracowników dla polskich kontrahentów.

– Wiele osób sprzedaje niemal cały majątek, albo nawet zadłuża się u rodziny, żeby opłacić formalności i wyjechać do pracy do Europy. Niektórzy nieuczciwi pośrednicy w Indiach obiecują złote góry, byle tylko wyciągnąć prowizję. Najczęściej przemilczają to, że w Polsce nie zarabia się w euro i dopiero przy pierwszej wypłacie ludzie dowiadują się, że obiecane dwa osiemset pensji to tylko 53 tysiące rupii, a nie 240 tysięcy – rozkłada ręce Sayali.

Na szczęście, jak podkreśla, na mapie indyjskich wyobrażeń o europejskim rynku pracy Polska zyskuje ostatnio wyraźną tożsamość jako miejsce z chyba najlepszą w Europie relacją kosztów do zarobków. Dlatego coraz częściej Indusi myślą o pracy właśnie tutaj. Z innych plusów Sayali wymienia przede wszystkim bezpieczeństwo. Jedno z nagrań poświęciła w całości polskim mieszkaniom. Prosty w gruncie rzeczy wynalazek, jakim jest domofon, jej zdaniem znacząco podnosi poczucie bezpieczeństwa i prywatności.

Przekleństwem indyjskich osiedli, zwłaszcza tych w mało reprezentatywnych dzielnicach, są rozmaici sprzedawcy i gapie zabijający czas spacerami bez celu. Bywa to kłopotliwe, a czasem wręcz niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnej kobiety. – W Polsce na klatce schodowej można czuć się niemal tak samo bezpiecznie jak w domu, zwłaszcza gdy ma się dobre relacje z sąsiadami – zauważa Sayali.

Na klatce schodowej jest jeszcze jedna rzecz, której Polacy zdają się nie doceniać, mianowicie kaloryfer. Dzięki temu nawet zimą, przy dużych mrozach, w mieszkaniach jest ciepło. Indyjska zima, zwłaszcza na północy kraju, potrafi tymczasem uprzykrzyć życie, bo wiele domów ↦

nie ma ogrzewania. Nocami robi się po prostu zimno.

Namaste, czyli dzień dobry

Lekceważyć surowego polskiego klimatu Sayali oczywiście nie radzi, choć sama nauczyła się już nie dostrzegać jego uciążliwości. Planującym przeprowadzkę zaleca na swoim kanale, żeby unikali w miarę możliwości okresu jesienno-zimowego, ze względu na temperatury, ale także z uwagi na brak światła słonecznego, który może utrudnić aklimatyzację.

– Poza tym uczulam, żeby nie zapomnieli kupić naprawdę ciepłych ubrań. Wiesz, ciepła odzież w Indiach może oznaczać np. czapkę na głowie, kurtkę, ale stopy w klapkach.

W pierwszych dniach w Polsce należy nie rozstawać się z telefonem. Komunikacja miejska w porównaniu z indyjską stanowi wzór zorganizowania i punktualności. Również państwowa poczta działa jak w zegarku i jeśli nadasz rodzinie pieniądze, możesz spać spokojnie. Polscy urzędnicy na tle azjatyckich kolegów mogą uchodzić za symbol kompetencji i wyrozumiałości, ale muszą rozumieć, co się do nich mówi. A z tym bywa różnie. W Warszawie i innych dużych miastach można bez trudu dogadać się po angielsku, który w Indiach jest jednym z 23 języków urzędowych (uczą go w każdej podstawówce, a wielu zwłaszcza młodych Indusów porozumiewa się slangiem, w którym angielskie słowa mieszają się z hindi czy bengali niemal w równych proporcjach).

W małych polskich miejscowościach szanse na dogadanie się po angielsku maleją jednak drastycznie i pod tym względem mieszkający w Polsce Indusi oceniają polską znajomość angielskiego zdecydowanie gorzej, niż gotowi byliby przyznać sami Polacy. Dlatego, jak mówi Sayali, każdy wypad w Polskę nie może się obyć bez naładowanego telefonu z dostępem do tłumacza Google.

> Na mapie indyjskich wyobrażeń o europejskim rynku pracy Polska zyskuje ostatnio wyraźną tożsamość jako miejsce z chyba **najlepszą w Europie relacją kosztów do zarobków.**

– Najlepiej jeszcze w Indiach nauczyć się podstawowych zwrotów, jak „dzień dobry", „dziękuję" czy „przepraszam". Wielu Indusom wydaje się, że opanują podstawy polskiego w kilka dni. Tłumaczę, że to jeden z najtrudniejszych języków do nauki, moim zdaniem o wiele trudniejszy od hindi. Wy macie siedem przypadków, my tylko dwa. Słowa, które brzmią podobnie, znaczą często co innego. Słyszałam anegdotkę o indyjskim kierowcy taksówki, który przez wiele miesięcy jeździł po Warszawie przekonany, że tabliczka z napisem „uwaga piesi" ostrzega przed psami, które w tym miejscu przebiegają przez ulicę.

Klimat umiarkowany

Kiedy mija pierwszy szok wywołany różnicami kulturowymi, zaczyna się dostrzegać polskie plusy. Tym, co zadomowionym Indusom podoba się w Polsce najbardziej, jest spokój. W porównaniu z Indiami czy Bangladeszem życie jest uporządkowane i przewidywalne. Pogoda nie płata figli w postaci cyklonów (chociaż tej zimy zaskoczyła ponoć nawet najstarszych polskich *hailanders*). Policja nie zatrzymuje na ulicy tylko po to, żeby wyciągnąć łapówkę. Idąc ulicą, człowiek nie trąca łokciami setek innych przechodniów. Nawet stołeczne korki, na które tak skarżą się warszawscy kierowcy, są niczym w porównaniu z tymi w Delhi czy Mumbaju.

– Naprawdę lubię to swoje polskie życie, choć oczywiście tęsknię za rodziną, a czasami brakuje mi nawet hałasu i bałaganu indyjskiej ulicy, dojrzałych owoców, aromatu przypraw rozgrzanych na straganach przez słońce – rozmarza się Sayali. – W takich chwilach pomaga bardzo polska otwartość, o której już mówiłam. I wiesz, co jeszcze lubię? Że tak lubicie świętować. To bardzo indyjskie, bo życie może być paskudne, ale święta są w kalendarzu tym, czym gwiazdy na niebie, warto je dostrzegać i doceniać.

Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, zauważa, polskie i indyjskie święta bywają czasem do siebie zaskakująco podobne. Kiedy na początku listopada na polskich cmentarzach dogasają ostatnie znicze zaświecone dla upamiętnienia zmarłych, hindusi zapalają w domach lampki z okazji święta diwali, podobnie jak Polacy spotykają się z rodziną i modlą się o szczęście i dobrobyt dla najbliższych. A wiosną ten sam triumf życia nad śmiercią, który stanowi sens świąt wielkanocnych, czci się w Indiach radosnym świętem holi, podczas którego ludzie na ulicach obsypują się kolorowym proszkiem, a czasem nawet polewają farbami.

Czym się to różni od polskiego śmigusa-dyngusa? W Indiach niektórzy też są wściekli, że zostali obsypani.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim zawiadamia, że pod sygn. I Ns 3/21 toczy się postępowanie z wniosku Janiny Walas i Anny Barbary Gadaj o zasiedzenie nieruchomości – działki nr 162, o powierzchni 1755 m^2, położonej w Cegłowie, powiecie mińskim, obręb 0001, właściciel nieustalony.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 41/21, toczy się postępowanie z wniosku Stanisławy Bystrek o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Bystrku, zm. 15 października 1990 r. w Zaklikowie, ostatnio stale zamieszkałym w Zaklikowie.

Wzywa się wszystkich, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JACEK

Podsiadło

Z „Tygodnika Totalnego”

Na Wyspach Troglodytach słowo „totalny” wyparło z języka tuziemców używane w zamierzchłej przeszłości słowa takie jak „powszechny”, „całkowity”, „zupełny” czy „ogólny”. Być może ta, nie bójmy się mocnych słów i śmiałych myśli, skaza językowa jest pochodną postrzegania świata naznaczonego właśnie totalnością. Rzeczona cecha myśli i języka wypływa na wierzch, kiedy ktoś posługuje się sofizmatami pewnego szczególnego rodzaju. Jeśliby je pogrupować według popularnych myślowych szlagwortów, pierwszym takim mógłby być „Co by było, gdyby każdy...”. „Dlaczego nie można wejść z psem?”. „Niech pan pomyśli, co by było, gdyby wszyscy przyszli z psami, mielibyśmy tu totalny burdel”. Pod hasłem „Albo wszystko, albo nic” zmieściłyby się słynne dylematy Gombrowicza nad żukami na plaży, tożsame zresztą z dylematami Tutsich i Troglów ratujących (lub nie) Dytów i Hutu, choć jakoś z nimi nie zestawiane: „Dlaczego tamtego uratowałeś, a tego nie?... Dlaczego tamten... gdy ten?... Uszczęśliwiłeś jednego, drugi ma się męczyć?”. Widziałbym tu też myśl złotą „Dać psu palec, to całego człowieka zeżre, pogryzie dzieci sołtysa i nasika pod krzyżem”, długo już goszczącą np. na wargach mizopedów niemogących przestać biadać i ujadać nad tytułem starej audycji telewizyjnej Jerzego Owsiaka „Róbta co chceta”.

Owsiak nie był pierwszy, hasło „Róbta co chceta” znane jest kulturze europejskiej co najmniej od czasów Rabelais’go, który kazał Gargantui wypisać je na sztandarach oo. telemitów. Zadomowiło się ono w naszej świadomości w brzmieniu nadanym mu przez przekład Tadeusza Żeleńskiego jako „Czyń, coć się podoba”. Ponieważ tak zwięzłe hasła – chyba przez swoją nośność – nie mieszczą się w głowach bezzębnych owsiakożerców, potrzebują oni uznać tytuł nieistniejącej od dawna audycji za „ideologię” i dopisać do niego własną interpretację, oczywiście troglodycko-mizopedyczną. „Rzecznik” „praw” dzieci Mikołaj Pawlak może więc wydukać: „Nie do przyjęcia jest dla mnie »wychowywanie« dzieci oparte na haśle »Róbta, co chceta«, w duchu pełnej dowolności, niestawiania dzieciom jakichkolwiek granic”. „Pełnej”, „jakichkolwiek” – te słowa niedorzecznika Pawlaka dowodzą obecnego w jego myśleniu, a u Owsiaka niewidzialnego, totalizmu. Troglopoeta Marek Czuku wierszyk „Róbta co chceta” mógł zacząć słowami „Nie liczta się z innymi, hałasujta / Urządzajta parady techno / Pijta, palta, ćpajta”, bo jak Pawlak nie zauważa, że nikt jeszcze nie oparł wychowania na haśle Owsiaka, tak on nie jest świadomy, że podnietę i instynkt do takiego a nie innego przedłużania tego hasła czerpie z własnej, nie zaś Owsiaka Jerzego natury. Nie wiem, czego trzeba się naćpać, chyba kartofli ze smalcem, żeby hasło „Róbta co chceta” rozumieć jako wezwanie do picia, palenia i ćpania. W oczywisty sposób mówi ono co innego, to samo, co ostrzeżenia na opakowaniach używek: rób co chcesz, ćpaj albo nie ćpaj, picie albo niepicie, palenie albo zdrowie, wybór należy do ciebie.

Fiksacje te przypominają mi toksyczną więź między antysemitami a niewidzianymi przez nich na oczy Żydami, albo między mizopedami a zwalczanym przez nich zawzięcie modelem „bezstresowego wychowania”, który to model sami w swojej modelarni próbowali sklecić, ale im gumek w majtkach nie starczyło. Biadanie i ujadanie odbywa się nad pustą miską. Im bardziej Puchatek zagląda do słoika, tym bardziej miodku tam nie ma. Im głośniej patridiota krzyczy „Bij Żyda”, tym bardziej nie ma kogo bić. Nie istnieje żadna szkoła pedagogiczna propagująca „bezstresowe wychowanie”, nie lansuje takiego nawet żaden pojedynczy ośrodek czy chociaż naukowiec, a im bardziej nie ma bezstresowego wychowania, tym bardziej zawzięcie usiłują je wyrugować miłośnicy wychowania w stresie bojący się nazwać własną fobię. Jedyne znane mi rozwinięcia imperatywu „Róbta co chceta” pochodzące od Owsiaka to zawarte w tytule dawnej audycji „czyli rokendrolowa jazda bez trzymanki” oraz zawarte w tytule nie tak dawnej książki „czyli z sercem jak na dłoni”. Co innego Rabelais, ten wziął pod uwagę i zawiść, i lęk, i nierozum, i dokładnie wyłożył swym czytelnikom, jak się ma rzecz z człowieczą wolnością: „Wstawali z łoża, kiedy im się zdało; pili, jedli, pracowali, spali, kiedy im przyszła ochota. Nikt ich nie budził, nikt ich nie niewolił do picia ani jedzenia, ani do jakiejkolwiek innej rzeczy. Tak postanowił Gargantua. W ich regule była tylko jedna zasada:

CZYŃ, COĆ SIĘ PODOBA,

albowiem ludzie wolni, zacnej przyrody, dobrze wykształceni, przestając w uczciwej kompanii, z własnej natury już czerpią podnietę i instynkt, który ich zawsze popycha do godnych uczynków, a odciąga od złego; który to instynkt nazywają honorem. Zasię gdy kto ich ujarzmi i przygniecie szpetną niewolą i musem, wówczas ową szlachetną żądzę, mocą której dążyli wprost do cnoty, obracają ku zrzuceniu i przełamaniu tego jarzma niewoli. Zawsze bowiem dążymy do rzeczy zabronionych i pragniemy tego, czego nam odmówiono”. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 457/19 postępowanie z wniosku wierzyciela spadkodawcy – Wielkopolskiego Banku Spółdzielczego – o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Kubiaku, zm. 14 października 2019 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Góra Zbawienia w Kalifornii – instalacja artystyczna, jedna z największych atrakcji turystycznych w hrabstwie Imperial. USA, 2015 r.

DUSZA NONA

Ich doświadczenie duchowe bywa w Kościele marginalizowane, ponieważ zbyt szybko zakłada się, że nie ma duchowości bez religijności.

JACEK PRUSAK SJ

SANDY HUFFAKER / GETTY IMAGES

Widzę Kościół jako szpital polowy po bitwie" – stwierdził w jednym z wywiadów Franciszek i można powiedzieć, że za pomocą tego obrazu streścił katolicką eklezjologię. Przywołana analogia odbiła się szerokim echem w Kościele i świecie. Co jednak znaczy, że „szpital polowy jest otwarty"? Podjął to pytanie ks. prof. Tomáš Halík. „Jestem przekonany – pisze w książce „Odkrywanie wspólnoty" – że Kościół przyszłości obok duszpasterstwa wierzących, zadomowionych w swoich wspólnotach parafialnych i kościelnych, oraz obok klasycznych misji, zorientowanych na pozyskanie nowych członków, będzie musiał rozwinąć trzeci rodzaj posługi: duchowe towarzyszenie poszukującym". Kim są ci poszukujący?

Zróżnicowani i barwni

W badaniach identyfikują się albo są identyfikowani jako „noni", ponieważ w odpowiedzi na pytanie: „jaka jest twoja religia, jeśli jakakolwiek?", odpowiadają: „none" – żadna. To ludzie, którzy nie przyznają się do żadnej religii, nie są to jednak „typowi" ateiści. W badaniach amerykańskich 68 proc. nonów stwierdziło, że wierzy w Boga. Więcej niż jedna trzecia (37 proc.) określiła się jako osoby „duchowe", a ponad połowa (58 proc.) stwierdziła, że często odczuwa głęboką więź z naturą i ziemią. Co ciekawe, 41 proc. nonów zadeklarowało, że komunikuje się z Siłą Wyższą: 41 proc. powiedziało, że modli się przynajmniej raz w miesiącu, a połowa z tej grupy, że modli się każdego dnia.

Noni stanowią więc grupę zróżnicowaną i barwną, począwszy od apateistów (ludzi obojętnych religijnie), agnostyków, antyklerykałów, „niezależnych entuzjastów religijnych", poprzez zwolenników alternatywnych duchowości, synkretystów, aż po ludzi rozczarowanych lub zranionych przez instytucje religijne i osoby szczerze poszukujące rzeczywistości duchowej. Jako zranieni przez „zorganizowaną religię", sytuują się na marginesie świata dogmatów i obrzędów religijnych, bez zakotwiczenia, pewników i oczywistości, a mimo to – jak podkreśla ks. Halík – osoby te są „otwarte i szczerze poszukujące, często także łaknące i pragnące prawdy i sprawiedliwości".

Noni w odróżnieniu od zorganizowanych grup religijnych nie mają wspólnej kultury i zasobów oraz wewnętrznej komunikacji – mówiąc najkrócej: nie mają wspólnej tożsamości. Próba podzielenia ich na dwie odmienne i rozłączne kategorie – uduchowionych, ale niepraktykujących („wierzących") *versus* uduchowionych, ale niereligijnych („sekularystów") – nie sprawdziła się w badaniach. Równocześnie okazało się, że najbardziej złożonym typem w tej populacji są osoby określające się jako „duchowe, ale niereligijne".

Jest wiele powodów, dla których ludzie zostają nonami. Wbrew stereotypom brak identyfikacji z jakąś religią nie opiera się wyłącznie, ani nawet przede wszystkim, na świadomym wyborze czy decyzji. Noni jako populacja nie są ruchem czy zorganizowaną rewolucją przeciwko religii. Za ich wzrastającą liczbą, zwłaszcza na Zachodzie, nie stoi wyłącznie narastająca sekularyzacja społeczeństwa. Badania pokazują jednak, że znaczenie ma prywatyzacja religii, upadek tradycyjnych autorytetów, a w ich miejsce pojawienie się „myślenia za siebie" oraz prawa wyboru „swojej duchowości" jako imperatywów autentyczności. Nie bez znaczenia są takie zmiany społeczne jak późne małżeństwa, późne rodzicielstwo bądź brak potomstwa, większe oczekiwania związane z osiągnięciami edukacyjnymi, pochodzenie z rodzin mieszanych, bycie współmałżonkiem osoby niereligijnej i/bądź zawieranie przyjaźni z osobami, które uważają się za nonów.

Istotne znaczenie może mieć też polaryzacja polityczna społeczeństwa, ponieważ religijne preferencje – co widać np. w USA i Polsce – są obecnie skutkiem politycznej identyfikacji w takim stopniu, w jakim do niedawna polityczna identyfikacja była ekspresją religijnej tradycji oraz politycznej mobilizacji. Noni uważają, że religia i polityczny konserwatyzm są zbyt blisko siebie, są rozczarowani hipokryzją liderów oraz brakiem wrażliwości społecznej na kwestie wykluczenia oraz ludzkiej seksualności. Uważają również, że instytucje religijne koncentrują się przede wszystkim na normach i utrzymaniu władzy, a nie na duchowości i jej rozwoju.

Wielu nonów pochodzących z rodzin religijnych dokonało dekonwersji czy apostazji od religii swego dzieciństwa, bądź „wewnętrznej emigracji" w ramach religii, z którą się wciąż luźno identyfikują. Z badań wynika, że noni pochodzący z niereligijnych domów są mniej wrogo nastawieni do instytucjonalnej religii i wykazują się większą lojalnością w stosunku do rodzinnej „tradycji". Istotne znaczenie mają przemiany pokoleniowe, powiązane z brakiem adekwatnej katechizacji dorosłych. W Wielkiej Brytanii zaobserwowano, że osoby wychowywane w rodzinach chrześcijańskich w 45 proc. przypadków zostawały nonami, ale owo prawdopodobieństwo wzrastało dwukrotnie (95 proc.) ↦

↦ w przypadku osób wychowywanych w domach niereligijnych.

Duchowy, ale niereligijny

Według Pew Research Center noni są najszybciej powiększającą się grupą wśród innych afiliacji religijnych. W USA pomiędzy rokiem 1971 a 1989 było ich ok. 7 proc. Jednak pomiędzy rokiem 1990 a 2012 liczba ta znacząco wzrosła do 19,6 proc. Wśród osób poniżej 30. roku życia już ponad 30 proc. deklaruje brak związku z jakąś religią. Równocześnie maleją szeregi chrześcijan, a w innych religiach przyrost jest umiarkowany. Ze statystyk wynika, że osoby identyfikujące się jako „duchowe, ale niereligijne" stanowią przynajmniej 30 proc. populacji nonów. Zazwyczaj nie są ani zagorzałymi ateistami, ani gorliwymi wierzącymi – sytuują się więc „gdzieś" między nimi. Na Zachodzie obserwuje się nie tylko ich regularny wzrost (0,5 proc. rocznie), ale i coraz większy ich wpływ na kształtowanie się „mapy religijnej" społeczeństw oraz „granice" Kościoła.

Zazwyczaj osoby z tej grupy nonów zachowują jakieś praktyki uważane za religijne, jak modlitwa, czytanie Biblii, okazjonalne uczestnictwo w nabożeństwach, czy też korzystają z praktyk duchowych i rytuałów innych religii, najczęściej wschodnich (np. medytacja, joga itp.). Niektórzy z nich uważają się za „duchowo dwujęzycznych". Mogą wierzyć, nie przynależąc do żadnej grupy czy instytucji, albo traktować granice przynależności wyznaniowej płynnie. Zdaniem pionierki badań nad nonami Lindy Mercadante umacnia się wśród nich tendencja do odrzucania chrześcijańskich elementów doktryny skupionych na kwestiach dotyczących grzechu, życia wiecznego (nieba/piekła), ekskluzywizmu chrześcijaństwa, osobowej natury Boga i indywidualnego zbawienia. Badani przez nią noni odrzucali bowiem te zagadnienia bez względu na to, czy wcześniej mieli, czy nie mieli osobistej znajomości tych kwestii. Większość z nich nie czuje się dobrze ze słowem „Bóg", a roszczenia do ekskluzywizmu dotyczącego wyłączności na prawdę i/lub zbawienie traktują jako odpychające i ofensywne.

Noni nie są ateistami,
choć nie identyfikują się
z żadną religią.
Mają potrzeby duchowe,
a nawet religijne,
które starają się zaspokajać.

Według badaczy znaczący odsetek nonów pochodzi z odwykowych grup wsparcia, w których programie działania odwołanie się do Siły Wyższej należy do procesu osobistej przemiany. Takie doświadczenie zmienia ateistów w osoby uduchowione, a nawet wierzące na sposób religijny, osobom religijnym zaś daje możliwość uwolnienia się od prześladowczych wyobrażeń (obrazów) Boga osądzającego i karzącego pochodzących z religii, w jakiej wyrośli, oraz negatywnych doświadczeń z instytucją religijną. Identyfikacja z nonami staje się dla nich „drogą środka" pomiędzy wspomnianym doświadczeniem a brakiem duchowości w przeszłości bądź dotychczasową wiarą, która już na nich „nie działa".

Szpital polowy jest otwarty

Badania pokazują jednak, że noni nie przestają zmagać się z problemami tylko dlatego, że uwolnili się od opresyjnej religijności (wiary) czy przyjęli nową i pozainstytucjonalną tożsamość duchową. Wielu nadal towarzyszą zmagania, które koncentrują się zwłaszcza wokół rozumienia siebie i bycia w relacji, a więc odkrycia „prawdziwego ja" i autentycznego życia, czyli „bycia sobą". O wiele rzadziej doświadczają natomiast napięć dotyczących grzechu, zła i śmierci. Szukając „boskości" w sobie, zamieniają chrześcijańskie pojęcia Boga na wszechświat, grzechu (grzechu pierworodnego) na karmę, życia wiecznego na reinkarnację, równocześnie dostosowując je do własnych oczekiwań. Np. reinkarnacja dla wielu z nich to idea nieustającego rozwoju do lepszego życia bądź żyć, bez możliwości powrotu do niższych form życia czy osiągnięcia jakiegoś ostatecznego „miejsca" przeznaczenia, a jedyne znaczenie w tej „wędrówce do przodu" mają osobiste zasługi – „bycie porządnym człowiekiem". Poczucie nowo zdobytej „niezależności" nie jest jednak tożsame z pogłębieniem doświadczenia duchowego ani z koniecznością z nim samym.

Z powodu takiego synkretyzmu doświadczenie duchowe nonów bywa w Kościele marginalizowane, ponieważ krytycznie nastawieni do nich ludzie uważają, że nie ma duchowości bez religijności, a duchowość nonów jest eklektyczna, płytka, egocentryczna i „kana-

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 77/20, toczy się sprawa z wniosku Egona Schützhoff i Sonji Schlee o stwierdzenie nabycia spadku po Elmarze Dietrichu Schützhoff, zm. 9 marca 1998 r. w Loßburgu, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Loßburg (Niemcy). W skład spadku znajdującego się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej wchodzą udziały w nieruchomościach, dla których Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Tychach prowadzi księgi wieczyste o numerach: KA1T/00076428/9, KA1T/00076427/2, KA1T/00076426/5, KA1T/00076425/8 oraz KA1T/00076424/1.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 542/19, na skutek wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Siedlcach, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Michale Żdanko, zm. 21 lipca 2016 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

powa", i służy wyłącznie trosce o siebie. Jest „religią ja" i „duchowością dobrego samopoczucia". Postrzega się ich bowiem – jak ujął to jeden z biskupów amerykańskich – jako „duchowo poważnie zranionych", a więc oddzielonych od Boga, ponieważ „tkwiących w ziemi niczyjej moralnego relatywizmu", „dryfujących w nieznanym kierunku, z każdej strony doświadczających pokus i błędnych pragnień w rozmaitych formach".

Zdaniem ks. Halíka takie uogólnienia są niesprawiedliwe. Czeski duchowny sugeruje, aby towarzyszenie duchowe nonom wzorowało się w Kościele na duszpasterstwie szpitalno-więziennym, ponieważ jest ono skierowane do wszystkich potrzebujących, a nie tylko do „wierzących", i nie zmierza do „nawracania" w tradycyjnym, kościelno-religijnym sensie. Halík zastrzega jednak, że również w centrum tej posługi „musi znaleźć się nawrócenie w sensie *metanoi* – egzystencjalnego zwrotu od życia na powierzchni ku życiu w głębi".

Nowa ekumena

Żeby tak się działo, trzeba jednak po „obu stronach" nowego typu otwartości, który ks. Halík nazywa „dialogiem pogłębionej ekumeny". Dla Kościoła oznacza to nie tylko dostrzeżenie, ale i uznanie istnienia większości ludzi, którzy formalnie nie należą do niego, traktując ich nie tylko jako partnerów w dyskusji, lecz również jako „mieszkańców wspólnego domu, z którego mamy uczynić wspólne domostwo". Jest to postulat idący dalej niż utworzenie w Kościele „dziedzińca pogan", o czym pod koniec swojego pontyfikatu mówił Benedykt XVI. Biorąc pod uwagę zachodzące w naszym świecie radykalne przemiany, w tym te generowane przez pandemię COVID-19, przed nową ekumeną stoją nowe i trudniejsze wyzwania. Zdaniem Halíka przyznanie „niewierzącym" w Kościele przestrzeni podobnej do tej, jaką oferowali Żydzi „nieobrzezanym" w świątyni jerozolimskiej, dziś już nie wystarcza.

Aby do takiego ekumenicznego otwarcia doszło, „obie strony" muszą zweryfikować swoje domyślne założenia, że (1) duchowość to synonim religijności, (2) celem duchowości chrześcijańskiej jest „powrót" do Boga, albo (3) że duchowość to wyłącznie kwestia rozwoju psychologicznego dobrostanu, w którym „Ostateczna Rzeczywistość" to „ostateczna autokreacja". Skuteczne towarzyszenie nonom, a zwłaszcza osobom duchowym, ale niereligijnym, musi bowiem uwzględniać właściwe podejście do kwestii zmagań duchowych, które nie są zarezerwowane dla osób religijnych.

> Chcąc wejść w dialog, Kościół musi umieć pokazać, **że Bóg nie jest dla człowieka zagrożeniem,** tylko wyzwaniem i podstawą do duchowego rozwoju.

Biorąc pod uwagę ogólnoświatowe trendy, wydaje się mało prawdopodobne, aby nowy typ duchowości nonów stał się „globalną religią". Czym innym jest pytanie o to, czy taka duchowość w ostateczności nie stanie się świeckim humanizmem. Z drugiej strony badania psychologiczne sugerują, że w pełni niereligijna duchowość nie ma aż tylu psychologicznych korzyści, jak twierdzą jej zwolennicy. W badaniach epidemiologicznych okazuje się bowiem, że bez względu na grupę etniczną autodeklaracja „uduchowiony, ale niereligijny" jest silnym predyktorem problemów psychicznych. Tak definiujący się respondenci wypadali najgorzej we wskaźnikach zdrowia psychicznego, mieli mniejszą stabilność emocjonalną mierzoną za pomocą skal oceniających osobowość oraz mieli częściej epizody depresyjne w przeciągu roku niż osoby identyfikujące się jako religijne oraz osoby uważające się za niewierzące.

Otwartość Kościoła jako szpitala polowego dla duchowo poszukujących, ale równocześnie krytycznie czy nieufnie nastawionych do zorganizowanej religii, będzie więc wiarygodna pod warunkiem, że samo określenie „noni" nie będzie miało w postawie Kościoła charakteru negatywnego i stygmatyzującego, służącego wyłącznie do podkreślania czyjegoś braku w zakresie wiary czy identyfikacji religijnej. Podstawą owej ekumeny musi być odnowiona chrześcijańska duchowość, łącząca w Kościele „katolickość" z chrześcijaństwem, niesprowadzająca katolickości do „katolicyzmu" (czy innego ideologicznego „izmu") i nieodchodząca od swego rdzenia jako „religii Wcielenia". Tylko taka duchowość jest bowiem zdolna uchronić się przed dwiema niebezpiecznymi skrajnościami, na które wskazuje Halík: „duchowym imperializmem, prozelityzmem i tryumfalizmem z jednej strony, a utratą tożsamości, rozpuszczeniem soli wiary w bezbrzeżnym i bezkształtnym »unitaryzmie« albo w abstrakcyjnym i mętnym, wszechobejmującym humanizmie z drugiej".

Tak więc przed Kościołem stoi wielkie zadanie, polegające na tym, by głębiej wniknąć w duchowe doświadczenie ludzi, którzy nie przyznają się do żadnej religii, by je pojąć i zinterpretować. Kapelani „nowej ekumeny" muszą w tym celu umieć pokazać, że Bóg nie jest dla człowieka zagrożeniem, tylko wyzwaniem i podstawą do duchowego rozwoju, że teologia to nie tylko mówienie o Bogu, ale także milczenie o Bogu, że Kościół nie jest religijnym przedszkolem dla infantylnych dorosłych, którzy boją się pytać i szukać, że bycie uczniem Jezusa nie ogranicza, tylko wyzwala. W finalnym bowiem rozrachunku celem każdej duchowości, która nie jest celebracją własnego ego, a więc z konieczności autoprojekcją i iluzją, jest odkrycie, że naszą prawdziwą tożsamością jest jedność z Ostateczną Rzeczywistością.

Aby temu zadaniu podołać, Kościół nie tylko musi stać się duchowym „szpitalem polowym", o którym mówi Franciszek, ale również szkołą w sensie pierwotnego ideału uniwersytetu jako wspólnoty nauczycieli i uczniów, wspólnoty życia, nauczania i modlitwy – o czym od wielu lat pisze ks. Halík. Tak czy inaczej, jak powiedział tuż przed swoim wyborem na papieża kard. Bergoglio: „Chrystus stoi u drzwi i kołacze. Dziś jednak Jezus kołacze do drzwi Kościoła od wewnątrz i chce wyjść – a my musimy iść za nim". Także po ścieżkach nowej ekumeny.

© JACEK PRUSAK SJ

Korzystałem z: Kard. W. Kasper, G. Augustin (red.), „Odkrywanie wspólnoty. Wiara w czasach pandemii koronawirusa. Z przedmową papieża Franciszka" (WAM 2020); L. Mercadante, „Spiritual Struggles of Nones and Spiritual but Not Religious" („Religions", 11/2020); R. Barron, „Żywe paradoksy. Zasada katolickiego i/i" (W drodze 2019); V. Saroglou, „The Psychology of Religion" (Routledge 2021).

Zapasy teologiczne

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Trwa ważny dla przyszłości ekumenizmu spór niemieckich teologów z Watykanem o interkomunię. Ostatnia jego odsłona omal nie doprowadziła do zawieszenia dialogu ekumenicznego.

CHRISTIAN DITSCH / AFP / EAST NEWS

Nabożeństwo ekumeniczne z okazji Dnia Jedności Niemiec w kościele pw. św. św. Piotra i Pawła w Poczdamie. 3 października 2020 r.

Opublikowany we wrześniu 2019 r. przez teologów katolickich i ewangelickich z Ekumenicznej Grupy Roboczej (ÖAK) dokument „Wspólnie przy Stole Pana" (WpSP) postulował wzajemne umożliwienie przez oba Kościoły dostępu swoim członkom do Stołu Pańskiego. Wówczas to zaświtała nadzieja, że na III Kongresie Ekumenicznym we Frankfurcie planowanym na 12-16 maja 2021 r. możliwy będzie przełom i wspólne celebrowanie Eucharystii/Wieczerzy Pańskiej, przynajmniej na poziomie „eucharystycznej gościnności".

Choć te plany i tak pokrzyżowała pandemia, o wiele ważniejszym utrudnieniem okazała się ostra reakcja Kongregacji Nauki Wiary na publikację WpSP. Watykańska dykasteria przesłała 18 września 2020 r. na ręce przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec bp. Georga Bätzinga swoje „Doktrynalne zastrzeżenia", które w istocie przypominały wyłącznie nauczanie Kościoła katolickiego i tym samym cofały dyskusję do punktu wyjścia. Wydawało się, że ten ekumeniczny poligon zostanie zamknięty, a problem interkomunii na długo pozostanie nierozstrzygnięty.

Z powrotem do fundamentów

Okazało się jednak, że wspierani przez większość niemieckich biskupów teologowie nie rezygnowali z promowania porozumienia. ÖAK 24 stycznia przedstawiła nowe, obszerne „Stanowisko" odnoszące się do „Doktrynalnych zastrzeżeń".

Dokument ten wykazuje konieczność zmiany dotychczasowego paradygmatu w myśleniu o doktrynie, powracając do spraw jak najbardziej fundamentalnych. Tą w pierwszym rzędzie jest pogłębienie wiary w samouobecnianie się Jezusa Chrystusa w tradycjach ewangelickich i rzymskokatolickiej. Afirmacja tej prawdy ma służyć pomocą w podjęciu – przede wszystkim osobistej – decyzji o pełnym udziale w ewangelickiej Wieczerzy Pańskiej czy katolickiej Eucharystii. Do takiego kroku potrzeba jednak nie tyle rozstrzygnięć prawno-administracyjnych, ile pogłębionej i konsekwentnie odważnej refleksji teologicznej, poważnie traktującej argumenty drugiej strony dialogu.

Trudno pozbyć się wrażenia, że w tej debacie strona katolicka występuje z pozycji silniejszego partnera, którego trzeba przekonywać do innego spojrzenia na wspólną tradycję i możliwe ścieżki jej rozwoju. A przecież chodzi o to, by „zaproszenia Jezusa Chrystusa na Jego ucztę nie postrzegać jako ograniczonego jedynie do członków własnego wyznania". On sam swoją obecność obiecał wszystkim, którzy „zbierają się w Jego imię, słuchają Jego Słowa i w Wieczerzy obchodzą Jego pamiątkę". Tego rodzaju świadomość musi być punktem wyjścia do koniecznych obustronnych wyjaśnień. Jak czytamy w przyjętym „Stanowisku": „Staranne badanie fundamentów nauczania prowadzi ÖAK do zmiany paradygmatu (...), do hermeneutycznego zwrotu, co pomoże w przezwyciężeniu konfesyjnej zapiekłości".

Żaden chrześcijanin nie ma chyba wątpliwości, że „Jezus Chrystus obiecał po wsze czasy swoją obecność mocą Bożego Ducha w tej wspólnocie, w której ludzie wierzący w Chrystusa gromadzą się, by upamiętniać Jego śmierć za nas i Jego zmartwychwstanie, i oczekują Jego ponownego przyjścia". Owa obecność w sposób szczególny wydarza się w czasie świętowania Eucharystii/Wieczerzy Pańskiej. Wiara w tę rzeczywistość stała

się punktem wyjścia dla kształtowania się różnorodnych form liturgicznych.

Rachunek sumienia

W tym kontekście pojawia się pytanie, „czy wobec osiągniętych ekumenicznych uzgodnień możemy jeszcze usprawiedliwiać rozłam przy Stole Pana. Żałujemy – piszą autorzy „Stanowiska" – że tego rodzaju krytyczny rachunek sumienia w »Doktrynalnych zastrzeżeniach« KNW został zbyt słabo uwzględniony". „W obu tradycjach panuje przekonanie, że udział w świętowaniu Wieczerzy Pańskiej i Eucharystii pojedynczych członków innych konfesji jest drogą do pogłębienia poszukiwań powszechnej jedności". Jest to droga wytyczona już przez Sobór Watykański II, który mówił o Eucharystii jako świadectwie jedności i udziale w środkach zbawienia (por. Dekret o ekumenizmie, 8), ograniczając co prawda udział w sakramentach do członków własnej wspólnoty, ale uznając jednocześnie możliwość wyjątków. Z takich przesłanek wyrosło przekonanie – wyrażone w WpSP – że „chrześcijanki i chrześcijanie, którzy złączeni są ze sobą sakramentalnym węzłem chrztu, mogą, zwłaszcza w szczególnych sytuacjach, wziąć udział w Wieczerzy Pańskiej czy Eucharystii innego wyznania, ufając w obecność Jezusa Chrystusa". Taka postawa zakłada wiarę, że obietnica Jego obecności ma zastosowanie także do innych niż „nasza" form liturgicznych.

W dokumencie WpSP – wyjaśniają autorzy „Stanowiska" – istotną perspektywą była pneumatologia, niedostrzeżona niestety przez watykańskich krytyków. A przecież w nauczaniu Kościoła katolickiego to Duch Święty jest zasadą jedności. Dzięki Niemu także w innych wspólnotach ujawniają się owoce eklezjalnej rzeczywistości (por. soborowa konstytucja „Lumen gentium", 8). Pneumatologiczny wymiar kościelnej wspólnoty ujawnia się również w Wieczerzy Pańskiej/Eucharystii, gdzie Chrystus uobecnia się mocą Ducha Świętego w różnorodnych formach liturgicznej rzeczywistości. Już Sobór Watykański II jasno wskazał, że w dążeniach ekumenicznych najważniejsza jest „jedność w rzeczach koniecznych" i troska o „należną wolność (...) w rozmaitości obrzędów liturgicznych, owszem, nawet w teologicznym opracowaniu objawionej prawdy" (Dekret o ekumenizmie, 4). Postrzeganie różnorodności jako zagrożenia sprzeciwia się fundamentalnemu zamysłowi Eucharystii (por. 1 Kor 10, 17).

W „Doktrynalnych zastrzeżeniach" watykańskiej kongregacji pojawia się zarzut dominującego wpływu egzegezy protestanckiej. Zarzut – wedle autorów „Stanowiska" – o tyle chybiony, że współczesna egzegeza nie zajmuje się konfesyjną apologetyką, lecz pyta o biblijne fundamenty Kościoła. „Ponieważ rzymskokatolicki Urząd Nauczycielski uznaje badania historyczno-krytyczne, nie może więc ich wyników dyskwalifikować twierdzeniem, że mamy w nich do czynienia z konfesyjnie uwarunkowanymi hipotezami". Z prowadzonych badań wynika, że od samego początku chrześcijaństwa aż po okres patrystyczny istniała w nim wielość liturgicznych rytów, co świadczy o pluralistycznej tożsamości Kościoła. Dlatego w dyskusji na temat wzajemnej relacji pomiędzy wspólnotą kościelną a Eucharystią/Wieczerzą Pańską nie można zbyt pochopnie powoływać się na rzekomą uniformizację wczesnego Kościoła.

Odkryciem XX-wiecznej teologii Wschodu i Zachodu było to, że Kościół tworzy Eucharystię, a Eucharystia tworzy Kościół. Ofiarniczy charakter Eucharystii nie może, zdaniem strony protestanckiej, stwarzać wrażenia, że to wspólnota ofiarowuje Bogu Jezusa Chrystusa, lecz że sama ma udział w owym ofiarowaniu.

Filozoficzny balast

Watykan zarzuca także niemieckiemu dokumentowi (tj. WpSP) brak jednoznacznego wyznania wiary w rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa w Eucharystii. Ten aspekt sporu wydaje się fundamentalny, gdyż nie uwzględnia innych wariantów mówienia o Eucharystii. Wygląda na to, że według urzędników kurii rzymskiej niezbędna jest „filozoficzna wiara" w Arystotelesowsko-Tomaszowy opis ziemskich rzeczy, które „składają się" z substancji i przypadłości. Tylko z taką „wiarą" można mówić o eucharystycznej zmianie substancji/istoty (stąd przeistoczenie) i niezmienności przypadłości (fizykalnych cech chleba i wina).

Konieczna jest więc zmiana eucharystycznego paradygmatu, która otworzy drogę do osiągnięcia eucharystycznej gościnności, a z czasem także i jedności celebracyjnej. Upieranie się przez stronę katolicką przy wyjątkowości własnych koncepcji obecności Pana w Eucharystii i domaganie się dla nich sankcji wręcz boskiej jest niepokonywalną przeszkodą w jakimkolwiek realnym uzgodnieniu i postępie w prowadzonych negocjacjach. Głównym kryterium bowiem – ze strony katolickiej – jest wyznanie wiary w rzeczywistą obecność całego Chrystusa w Chlebie i Winie.

Klasyczna kontrowersja może zostać przezwyciężona wówczas, kiedy uzna się, że to właśnie w liturgii, na którą zaprasza Jezus Chrystus, On sam obdarza sobą jako Osoba w jedności Bóstwa i człowieczeństwa. „To pełne wiary zaufanie w obecność Jezusa Chrystusa musi stanąć przed postawieniem pytania o konkretne »jak« sakramentalnego uobecnienia. Różne odpowiedzi na to »jak« nie mają charakteru dzielącego Kościół".

Z intuicji wyrażonych przez ÖAK wynika, że Kościół katolicki musi na nowo przemyśleć ową realną obecność, która jest jednocześnie sakramentalna, a więc nie „fizykalna". Sakramenty, łącznie z Eucharystią, są środkami zbawienia, a nie zbawieniem samym. Można powiedzieć, że mieszkańcy Nieba nie uczestniczą w Eucharystii. Stąd też słuszna jest opinia ÖAK, że w całym „procesie ekumenicznego uczenia się bardzo ważne jest nie tyle ciągłe odwoływanie się do wielowiekowych modeli myślenia zapożyczonych z filozofii, ile poszukiwanie (z zachowaniem istoty rzeczy) nowych sposobów rozumienia obecności Jezusa Chrystusa w wydarzeniu Wieczerzy Pańskiej". Trzeba szukać nowych sformułowań opisujących realną obecność Pana, możliwych do zaakceptowania przez wszystkie konfesje.

Punktem wyjścia musi być jednak przekonanie, że wiara w fakt obecności Chrystusa w eucharystycznej Wieczerzy jest ważniejsza od jej zdefiniowania. Bo przecież chrześcijańskie Kościoły zgadzają się „co do tego, że samouobecnianie się Jezusa Chrystusa znajduje swój najpełniejszy i najgłębszy wyraz we wspólnocie zebranej przy Stole Pańskim i że spotkanie z Nim wydarza się w niedoścignionej – jak na ziemskie warunki – wyrazistości i intensywności w świętowaniu Wieczerzy Pańskiej i Eucharystii".

Obie strony dialogu mają świadomość możliwych konfliktów sumienia swoich wiernych, zwłaszcza w kontekście ewangelickiego (nie)rozumienia i (nie)afirmacji pełnej wspólnoty z Kościołem katolickim. W takiej sytuacji udział w liturgii innego ↦

↦ wyznania nie musi łączyć się z przyjmowaniem komunii. „Wzajemny udział w świętowaniu Wieczerzy Pańskiej czy Eucharystii według dzisiejszego stanu rzeczy można uzasadnić wyłącznie jako wyraz indywidualnej decyzji sumienia. Takie jednak rozstrzygnięcie sumienia (bez względu na kierunek podjętej decyzji) – już z samych powodów duszpasterskich – powinno być traktowane z respektem i szacunkiem. Jeśliby ze strony katolickiej proklamowano wolę przywrócenia pełnej wspólnoty, nie byłoby potrzeby martwienia się o sumienia ewangelickich chrześcijan". Jest to o tyle istotne w całym kontekście ekumenicznym, że chrześcijanin prawosławny, mimo braku wspólnoty z papieżem i katolickim biskupem miejsca, nie wspominając już o różnicach doktrynalnych, może być zasadniczo dopuszczony do komunii eucharystycznej w Kościele rzymskokatolickim.

Znaczenie chrztu

Dokument ÖAK wskazuje na niedocenianie przez watykańskie „Doktrynalne zastrzeżenia" fundamentalnego znaczenia chrztu jako włączenia w jedno ciało Chrystusa na pierwszym miejscu, a dopiero na drugim w biograficznie uwarunkowany kształt konkretnej kościelnej wspólnoty, do której przystępuje nowo ochrzczony. Co prawda, *communicatio in sacris* (udział w świętych obrzędach) nie może być traktowana jako środek do osiągnięcia jedności, jednak pozostaje ona narzędziem łaski. Stąd też, zgodnie z dzisiejszymi zasadami ekumenicznymi (por. Dekret o ekumenizmie, 8), w zależności od czasu i miejsca lokalny biskup może wyrazić zgodę na wyjątkową interkomunię.

Obawy Watykanu mówią o niebezpieczeństwie zatarcia różnic w wierze, których usunięcie jest warunkiem wstępnym do udziału w uczcie przy Stole Pana. Dotychczasowe uzgodnienia ekumeniczne ukazują jednak jasno, że wspólnoty chrześcijańskie więcej łączy niż dzieli, a różnice nie mają charakteru rozłamowego. Dlatego też – konkludują autorzy „Stanowiska" – „wzajemne, gościnne otwarcie Wieczerzy Pańskiej dla chrześcijanek i chrześcijan innych konfesji jest małym, pierwszym i pokornym krokiem, który nie ma zastąpić wysiłków na rzecz pełnego przywrócenia jedności, lecz posłużyć ich uskrzydleniu".

Krytyka kard. Kocha

Argumenty ÖAK zawarte w WpSP i w „Stanowisku" skrytykował niedawno kard. Kurt Koch, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan. Ten watykański hierarcha, odpowiedzialny za postęp ekumenizmu, wypowiedział się krytycznie na ich temat już 26 stycznia br. w wywiadzie dla CNA Deutsch. Z kolei 3 lutego opublikował „List otwarty". I uczynił to w dość specyficzny sposób, wskazując na akademicką trafność wielu stwierdzeń zawartych w dokumentach ÖAK, które jednak – jego zdaniem – nie mają żadnego związku z konkretną rzeczywistością kościelną. Ilustracją owego rozziewu są przytoczone przez Kocha – i odwołujące się do praktyki – przykłady, wskazujące na brak recepcji i zakorzenienia ekumenicznych uzgodnień w parafiach protestanckich – chodzi tu m.in. o zaproszenie przez ewangelicki Kościół w Hessen-Nassau wszystkich uczestników liturgii, również tych nieochrzczonych, do udziału w Wieczerzy Pańskiej.

Kard. Koch ukazuje braki po stronie protestanckiej, co mogłoby sugerować, że ich usunięcie spowoduje afirmację osiągniętych porozumień. Jednak nic takiego nie następuje. Zamiast tego po raz kolejny manifestuje on katolickie przekonanie, które w żaden sposób nie zapowiada zmiany paradygmatu, a bez tego nie można oczekiwać rzeczywistego zbliżenia Kościołów chrześcijańskich. „Dla Kościoła katolickiego wspólnota eucharystyczna zakłada wspólnotę eklezjalną, a wspólnota eklezjalna zakłada wspólnotę wyznania. Przede wszystkim wspólnota w Eucharystii z katolickiej perspektywy możliwa jest tylko wówczas, kiedy wyznawana jest wspólna eucharystyczna wiara" – pisze Koch.

Trzeba więc zapytać, czy chodzi tu jeszcze o dialog ekumeniczny (z przynajmniej zarysowaną perspektywą postępu), czy też o teologiczny spór, prowadzony z głębokim przekonaniem o braku jakichkolwiek uprawnionych teologicznych ujęć, ekwiwalentnych wobec naszych własnych. Szukającym odpowiedzi na to pytanie dopowiem, że zdaniem watykańskiego ministra ds. ekumenizmu z osiągniętymi uzgodnieniami ÖAK niewiele można zrobić, gdyż nie rozstrzygają one kwestii najistotniejszych.

Na dokładkę kard. Koch zarzuca bp. Bätzingowi, przewodniczącemu Konferencji Episkopatu Niemiec i współprzewodniczącemu ÖAK, niezrozumienie treści i charakteru watykańskich „Doktrynalnych zastrzeżeń" i podniesienie ekumenicznego dokumentu WpSP do rangi nauczania biskupiego. Jednocześnie sam zapewnia, że kieruje się poważną ekumeniczną troską, choć nie można pozbyć się wrażenia, że pozostaje forpocztą prefekta Kongregacji Nauki Wiary.

Niestety, sama dobra wola tu już nie wystarcza. Potrzebne są czyny i odważne decyzje. Bóg tego za nas nie załatwi.

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Jacek Łukasiewicz

poeta, eseista, historyk literatury,
profesor Uniwersytetu Wrocławskiego,
niezrównany znawca polskiej literatury współczesnej,
krytyk wrażliwy i niepodległy w swoich sądach,
mądry, skromny i dobry człowiek

zmarł 7 marca 2021 roku w wieku 86 lat.

Publikował na naszych łamach od 1958 roku.

Łączymy się z Jego Bliskimi w żalu i modlitwie

Tygodnik Powszechny

ALEX MCBRIDE / GETTY IMAGES

Na mocy porozumienia pokojowego z Azerbejdżanem Ormianie opuszczają dystrykt Karwaczar, na terenie którego leży klasztor Dadivank z IX w. 12 listopada 2020 r.

Dziedzictwo Karabachu

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Armenia, która zwróciła Azerbejdżanowi sporne tereny, obawia się o los tamtejszych chrześcijan. Ale Azerowie przypominają, że prócz Kościoła ormiańskiego mają na odzyskanych ziemiach „własnych" chrześcijan.

Gdy jesienią ubiegłego roku w Górskim Karabachu wybuchły walki, nie było do końca wiadomo ani kto zaczął, ani jak skończy się potyczka o tereny, które Armenia zajęła na początku lat 90., doprowadzając do potężnego exodusu zamieszkujących Karabach Azerów. Obozy dla uchodźców wewnętrznych przez lata pękały w szwach, bo ormiańscy partyzanci dali azerskiej ludności niespełna dwie doby na opuszczenie swoich domów. Po niemal 30 latach zajęte tereny zostały zwrócone Azerbejdżanowi, w tamtejszych wiadomościach i gazetach pokazywano pozostawione zgliszcza, ale też szczęśliwych mieszkańców, przez wszystkie te lata wciąż mających klucze do domów, które musieli w pośpiechu opuszczać. Sytuacja odwróciła się w październiku. Gdy podpisano porozumienie o zwrocie terenów, zamieszkujący Karabach Ormianie dosłownie zrywali dachy z domów i palili za sobą dobytek, byle tylko nie dostał się w „muzułmańskie ręce". Z klasztoru Dadivank, należącego do Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego, jeszcze dzień przed przejęciem terenów przez Azerbejdżan wynoszono i wywożono figury oraz obiekty sakralne.

Prezydent Ilham Alijew w rozmowie z Władimirem Putinem obiecał, że kościoły chrześcijańskie w Górskim Karabachu nie tylko nie zostaną przez muzułmanów tknięte, ale też będą chronione, chrześcijanie zaś będą mieli do nich dostęp. Azerscy politycy zwrócili też uwagę na fakt, że w ich kraju, choć zamieszkałym w 95 proc. przez muzułmanów, chrześcijaninie to nie tylko członkowie Kościoła ormiańskiego.

W IV wieku przed naszą erą na terenach dzisiejszego Azerbejdżanu rozciągało się królestwo zwane Albanią Kaukaską (z dzisiejszą Albanią łączy je tylko pochodząca z greki i łaciny nazwa, oznaczająca po prostu górzysty kraj). Jego opisy znajdziemy u Pliniusza i Strabona, Rzymianie zresztą bezskutecznie próbowali podbić te tereny. Chrześcijaństwo dotarło tu już w I wieku po Chrystusie, niedługo zaś po przyjęciu go przez Armenię Urnayr, król Albanii Kaukaskiej, przyjął chrzest z rąk św. Grzegorza Oświeciciela. Jego wnuk został wyświęcony na biskupa. W V wieku inny miejscowy biskup dokonał, najpewniej z języka ormiańskiego, tłumaczenia Biblii na język Albańczyków Kaukaskich.

Choć po podbojach w VII wieku nowi władcy zjednoczyli kraj z Armenią, Albański Kościół Apostolski zachował swoją odrębność, a jego przedstawiciele do dziś żyją i czczą Chrystusa na terenie Azerbejdżanu, w kraju znajduje się też wiele chrześcijańskich artefaktów. Chrześcijanie azerbejdżańscy, czujący się spadkobiercami Kościoła albańskiego, twierdzą, że klasztor Dadivank jest własnością ich, nie Armenii.

„Kompleks Dadivank to perła Albańskiego Kościoła Apostolskiego. Pochowano tam trzech naszych patriarchów" – mówi w rozmowie z dziennikarzami „Azerbaijan Focus" Robert Mobili, przedstawiciel społeczności chrześcijan Udi, rdzennego ludu zamieszkującego niegdyś Albanię Kaukaską. Nie podoba mu się, że w ostatnich latach dziedzictwo kaukaskich chrześcijan było poddane systematycznej „armenizacji". Nie obawia się też „zemsty" muzułmanów na chrześcijańskich obiektach sakralnych w Górskim Karabachu, zapewnia, że państwo, choć w większości zamieszkałe przez muzułmanów, wspiera – również finansowo – także przedstawicieli innych reprezentowanych w Azerbejdżanie religii.

„Pierwsze słowa prezydenta Ilhama Alijewa po wyzwoleniu Karabachu dotyczyły przywrócenia i ochrony dziedzictwa chrześcijan albańskich na tych terenach. To nas bardzo cieszy" – twierdzi Robert Mobili, podkreślając odrębność Kościoła albańskiego od ormiańskiego. Jego zdaniem, odkąd przed dwustu laty Kościół albański przeszedł pod zwierzchnictwo armeńskie, chrześcijanie Udi robili wszystko, by zachować własny charakter. „Było to trudne, bo nabożeństwa w języku udi się nie odbywały. Modliliśmy się więc w domach. Teraz pragniemy przywrócić nasze dziedzictwo". ©

Pomarańcza od pątnika

RENATA GRZEGORCZYKOWA
ELŻBIETA JANUS

Na długo zanim Bergoglio został papieżem, ks. January Budzisz realizował program jego pontyfikatu.

PARAFIA MIŁOSIERDZIA BOŻEGO W CHŁAPOWIE / MATERIAŁY PRASOWE

Ks. January Budzisz w kościele w Chłapowie koło Władysławowa, 9 sierpnia 2015 r.

Chodził w wytartym swetrze i w zniszczonych butach. Nie używał na ogół stroju księżowskiego, uważając, że w ten sposób uniknie dystansu, jaki stwarza klerykalizm. Nosił ciężką teczkę, a w niej książki i to wszystko, co potrzebne do sprawowania sakramentów. Był człowiekiem pokornym w sensie najgłębiej chrześcijańskim, całkowicie skupionym na innych. Obce mu były względy tego świata: zaszczyty, kariera, stanowiska, sukcesy zewnętrzne. Miał łaskę otwierania serc, którą Bóg daje ludziom pokornym.

Urodzony w 1938 r. we Władysławowie w rodzinie kaszubskiej i wyświęcony na kapłana w diecezji pelplińskiej, do Warszawy przyjechał pod koniec lat 60. ubiegłego wieku. Odbył studia filozoficzne na ATK, a po ich ukończeniu wykładał przez długie lata filozofię na tej uczelni. Jednocześnie rozpoczął działania duszpasterskie indywidualne, poza wszelkimi strukturami, których adresatami byli spotkani ludzie, często dalecy od Kościoła. Mieszkał głównie prywatnie, najczęściej u przyjaciół, co dawało mu niezależność, a miejsca kościelne wykorzystywał jako lokum dla spotkań z indywidualnymi osobami.

Dzięki przyjaciołom zatrudnionym na warszawskiej polonistyce uniwersyteckiej przyczynił się do powstania w tym środowisku grupy modlitewnej, której patronował przez długi czas, aż do połowy lat 90. Spotykaliśmy się po domach na wieczornej liturgii eucharystycznej, trwającej czasem kilka godzin. Potem zwykle była agapa. To było święto tego domu, który nas przyjmował. Spotkania te zbliżały nas między sobą i pozwalały spojrzeć innymi oczami na kolegów z pracy. Pozwalały też patrzeć „po bożemu" na wydarzenia społeczne i polityczne tamtych czasów.

Do rozmowy z księdzem Jarkiem – jak go nazywaliśmy – ustawiały się kolejki. Miał określony „dzień przyjęć" każdego tygodnia – początkowo u sióstr zmartwychwstanek na Żoliborzu. To „duszpasterzowanie" trwało najczęściej do późnych godzin wieczornych, co zakłócało rytm życia klasztornego. Z czasem konieczne stawało się szukanie innego miejsca. Ale najczęściej w nowym miejscu sytuacja się powtarzała.

Całkowite oddanie innym ludziom z zapomnieniem o sobie sprawiało, że potrafił ks. Jarek cały dzień spędzić z kimś, kto dawno nie był u spowiedzi, albo jechał daleko do osoby, która potrzebowała jego pomocy. Bywało też, że przyjeżdżał niespodziewanie z Pomorza do Warszawy, gdy się dowiedział, że umiera ktoś ze znajomych. Zaskakiwał również drobnymi oznakami przyjaźni. Jedna z naszych przyjaciółek wspominała ze wzruszeniem, jak po tym, gdy urodziła kolejne dziecko, odwiedził ją ks. Jarek wręczając bukiet kwiatów – gest nieczęsto spotykany u księży.

To „duszpasterzowanie na peryferiach" przejawiało się też w tym, że był gotów chrzcić dzieci osób, które miały jakieś trudności z własnym proboszczem. W takich sytuacjach prowadził jednak z tymi osobami rozmowy „katechizujące" o wadze wychowania chrześcijańskiego. Kiedyś okazało się, że matka dziecka, które miał ochrzcić, sama nie była chrzczona. W tej sytuacji ks. Jarek, zanim ochrzcił dziecko, poprzez indywidualną kilkumiesięczną katechizację doprowadził najpierw do chrztu jego matkę.

Bywało, że ktoś znajdujący się dosyć daleko od Kościoła, zetknąwszy się przypadkiem z ks. Jarkiem, był pod silnym wrażeniem jego niezwykłej modlitwy. Po jednej z mszy przez niego sprawowanej prof. Maria Renata Mayenowa, znany teoretyk literatury, powiedziała: „Chcę, żeby mnie chował ks. Budzisz". I tak się stało w roku 1988.

Był ks. Jarek człowiekiem głęboko wrażliwym i współczującym. Przeżywał zło i niesprawiedliwość dziejące się w świecie. „Niósł w sobie" to cierpienie świata. Bolał nad krzywdzącymi osądami, które dotykały innych ludzi, ale także i jego samego. Z powodu niestandardowego sposobu życia i bezkompromisowości spotykał się często z niezrozumieniem, a swoją zapalczywością nieraz powodował konflikty. I chyba ciężko mu było z tym, że nigdzie nie mógł znaleźć swojego stałego miejsca. Zmarł 20 lutego.

Teraz, kiedy patrzymy na całe jego życie, postrzegamy go jako pielgrzyma, „Bożego Człowieka dobrze czyniącego", niemającego Domu, niemającego w tym świecie stałego miejsca zamieszkania. Takim go zapamiętali przyjaciele, spotkani we Francji: wówczas przemierzał ulice Paryża, w plecaku mając tylko książki, Biblię, kromkę chleba i pomarańcze, którymi obdarowywał spotkanych.

Gdy pod koniec życia wskutek choroby zaczął odczuwać dotkliwe ograniczenia – przestał chodzić, czytać, mówił z trudem – powiedział w ostatniej rozmowie telefonicznej: „Wszystko zostało odjęte, pozostała modlitwa. I to jest wielka radość!". ©

WOJCIECH

Bonowicz:
Niech skończy się gra

„Co musi się stać, żeby doszło do przesilenia?”, pyta mnie Czytelniczka. Pytanie dotyczy obecnego kryzysu moralnego w Kościele. Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź.

Po moim poprzednim felietonie, zatytułowanym „Reset”, odezwało się wiele osób. Część z nich dzieliła się swoim podziwem dla tego, co robi Zbyszek Nosowski i ludzie mu podobni, część – chyba nawet większość – swoim rozgoryczeniem, związanym z działalnością naszego sąsiada (już niedługo, już się pakujemy, ale wciąż jeszcze...). Jakiś czas temu postanowiłem, że nie będę w moich felietonach podejmował tematyki kościelnej, ale widzę, że dla wielu z Was jest ona ważna i czekacie na moje zdanie w różnych kwestiach. No więc raz jeszcze zrobię wyjątek.

Rozmowy i korespondencje, jakie prowadziłem w ostatnich tygodniach, uświadomiły mi przede wszystkim, jak wiele emocji budzi nasz sąsiad. Co ciekawe, nie tylko w środowisku „tygodnikowo-znakowym”, ale szerzej, także wśród ludzi, którzy niekoniecznie do „Tygodnika” zaglądają. Także wśród księży, którzy „Tygodnika” do rąk nie biorą. Zacytuję znamienne zdanie jednego z nich: „Z Franciszkańskiej wieje dziś chłodem”. Tak widzi naszego sąsiada ktoś, kto skądinąd zgadza się z nim w niejednej kwestii i kto bez zastrzeżeń odczytuje z ambony jego listy pasterskie. Księża opowiadają, że ich kontakty z własnym biskupem są sporadyczne, i to bynajmniej nie z powodu pandemii. Nie wiem, nie pójdę przecież i nie poproszę na bramie o księgę wejść i wyjść, żeby sprawdzić, czy tak jest w rzeczywistości. Zresztą z uwagi na miejsce, w którym pisuję, prawdopodobnie żadnej informacji bym się nie doprosił. Ale zdanie to dało mi do myślenia. Zaraz mi się przypomniał papież stojący w tym oknie, co to je teraz zamurowano, mówiący osłabłym, ale jednak wyraźnym głosem: „Jakby się kto pytał: Franciszkańska 3”. A dziś? Dziś z Franciszkańskiej „wieje chłodem”.

Coś tu jest nie tak. Coś tu jest bardzo nie tak... „Panie Wojtku – pisze Czytelnik – przyłączam się do Pańskiej modlitwy o reset”.

No ale wróćmy do wyjściowego pytania. Co musiałoby się stać? Otóż moim zdaniem musiałoby się wydarzyć coś takiego, co dałoby nam poczucie, że biskupi – ale nie pojedynczy, tylko episkopat jako całość – traktują nas, wierne i wiernych, poważnie, podmiotowo. Bez paternalizmu, jak ludzi dorosłych, z którymi się rozmawia, a nie tylko do nich przemawia. Bo dziś duża część z nas ma takie poczucie, że biskupi grają z nami w jakąś grę, której reguły w dodatku sami ustalili. Musi się wydarzyć coś takiego, co pozwoli nam zobaczyć, że ta gra się skończyła, że nie ma już chowania się, udawania, słowem – że chodzi o wiarę i o prawdę, a nie o taki czy inny partykularny interes.

W konkretnej sprawie kryzysu moralnego, z którym mamy do czynienia, musi być jasne i widoczne, że nasi biskupi stają po stronie ofiar. Że jeśli nawet nie stanęli kiedyś – to stają dziś, nie zasłaniając się już więcej opacznie rozumianym dobrem Kościoła. Że ci, którzy czegoś zaniedbali, gotowi są ponieść konsekwencje swoich zaniedbań. I że nie będzie tolerancji dla tłumaczenia przestępstw „słabością”, tak jak robi to chociażby dyrektor Radia Maryja. Potrzebny jest klarowny, czytelny znak, że to się skończyło i że biskupi – jak to niedawno zadeklarował jeden z nich – od tej pory zrobią wszystko, „by przypadki skrzywdzenia przez kapłanów nigdy nie miały już miejsca”.

Ale co by to miał być za znak? – spytacie. Co by to miało być za wydarzenie? Nie oczekujcie ode mnie zbyt wiele. Nie wiem. Może kiedyś wiedziałem, ale dziś... Dziś wyobraźnia trochę mnie zawodzi. Stąd moja – może bezsilna, ale uparta – modlitwa. Dziękuję wszystkim, którzy zadeklarowali, że się do niej przyłączą. ©

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabo widzących!

Rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto”** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WTRĄCANIE SIĘ JEST JEDYNYM SPOSOBEM NA POZOSTANIE REALISTĄ

– Działamy na rzecz ekologii, demokracji i praw człowieka. Uważamy, że ekologia i demokracja są nierozdzielne. Dlatego tam, gdzie jesteśmy obecni, wspieramy osoby i projekty zaangażowane w te obszary – mówi Joanna Maria Stolarek, dyrektorka biura Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie.

Fundacja im. Heinricha Bölla główną siedzibę ma w Niemczech i jest częścią tamtejszego ruchu politycznego Zielonych. A co robi w Polsce?

JOANNA MARIA STOLAREK: Jesteśmy zielonym, niezależnym think tankiem, rzeczywiście politycznie bliskim niemieckiej Partii Zielonych. Działamy jednak w 60 krajach na wszystkich kontynentach, w tym w Polsce.

Przede wszystkim wspieramy społeczeństwo obywatelskie, wzmacniając tym samym demokrację, oraz poszukujemy w każdym z tych krajów partnerów podzielających nasze wartości i wspólnie z nimi tworzymy przestrzeń dla otwartej debaty pomiędzy polityką, gospodarką, środowiskami akademickimi, organizacjami pozarządowymi i społeczeństwem.

Wspólnie z partnerami organizujemy dyskusje, konferencje, wydajemy publikacje, wspieramy niezależne dziennikarstwo – wszystko to wokół naszych pól działania, czyli demokracji i praw człowieka, ekologii, klimatu i energii, polityki europejskiej i międzynarodowej oraz rolnej.

Jakimi zasadami kieruje się fundacja?

Nasz patron, pisarz i laureat Nagrody Nobla Heinrich Böll, uosabia wartości, które reprezentujemy: obronę wolności, odwagę cywilną, tolerancję, otwartość w debatach oraz cenienie sztuki i kultury, jako niezależnych obszarów myśli i działania. Zgodnie z jego słowami: „Wtrącanie się jest jedynym sposobem na pozostanie realistą" – jednym z naszych głównych priorytetów jest wsparcie aktywności obywatelskiej i działania na rzecz społeczeństwa obywatelskiego. I to w ujęciu globalnym.

Czy podążanie takimi ścieżkami w Polsce jest trudniejsze niż w Niemczech?

Rzeczywiście, różnica pomiędzy naszymi działaniami w Niemczech i za granicą jest zasadnicza. W Niemczech jesteśmy aktywnym uczestnikiem życia politycznego, kształtujemy je, dajemy impulsy do dyskusji w oparciu o nasze zasady. Natomiast za granicą jesteśmy obserwatorami życia polityczno-społecznego, towarzyszymy przemianom społecznym, promując nasze zasady. Koncentrujemy się na wymianie idei, wsparciu światopoglądowo bliskich nam podmiotów.

Czy ta różnica nie jest też spowodowana modelem finansowania? Czy środki pochodzące z rządu niemieckiego mogą powodować, że rządy innych krajów patrzą na fundację nieufnie?

Niemiecki system fundacji politycznych jest unikatowy. Fundacje stanowią niezwykle ważną część kultury politycznej Niemiec. Można powiedzieć nawet, że są dźwignią społecznej i demokratycznej pracy edukacyjnej. Istnienie fundacji politycznych jest nawet zapisane w Konstytucji i są finansowane ze środków publicznych. Niezwykle ważnym aspektem relacji pomiędzy partią polityczną a bliską jej fundacją jest zasada zachowania dystansu i transparentności. Panuje np. absolutny zakaz łączenia stanowisk w partii i fundacji.

Mimo tak jasnego systemu, czasami nie da się uniknąć nieufności w stosunku do naszej działalności w krajach przyjmujących. Związane jest to głównie z niewiedzą, jak funkcjonujemy i co jest naszym celem. W Polsce jesteśmy już prawie od 20 lat i łączy nas bliska relacja oparta na wzajemnym zaufaniu.

Co jest celem fundacji? Czy w każdym kraju jest on inny? A może jest jakiś cel wspólny dla wszystkich?

Nasza fundacja jest częścią ruchu politycznego Zielonych, który rozwinął się na całym świecie w odpowiedzi na tradycyjny trójpodział sceny politycznej: na lewicę, centrum i prawicę. Mówi się, że ruch Zielonych nie jest ani na lewo, ani na prawo, lecz do przodu! Reprezentuje politykę progresywną. Działamy na rzecz ekologii, demokracji i praw człowieka. Uważamy, że ekologia i demokracja są nierozdzielne. Dlatego tam, gdzie jesteśmy obecni, wspieramy osoby i projekty zaangażowane w te obszary.

Kładziemy szczególny nacisk na demokrację płci, rozumianą jako społeczna emancypacja i równe prawa kobiet i mężczyzn. Szczególnie ważne jest dla nas przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu ze względu na płeć, pochodzenie, orientację seksualną czy wyznanie. Popieramy też równe prawa mniejszości kulturowych i etnicznych oraz uczestnictwo imigrantów w życiu społecznym i politycznym. W zależności od miejsca na świecie, w którym pracujemy, od tematów prowadzonej tam aktualnie dyskusji publicznej i warunków panujących na miejscu, dobieramy odpowiednio priorytety naszego działania.

JOANNA MARIA STOLAREK – *niemiecka dziennikarka i publicystka, ekspertka ds. relacji polsko-niemieckich i polityk obu krajów. Warszawskim biurem Fundacji im. Heinricha Bölla kieruje od lutego 2020 r. Studiowała literaturę niemiecką, filologię słowiańską i iberystykę na Karls-Eberhard-Universität w Tybindze, a dziennikarstwo w Katolickiej Szkole Dziennikarstwa w Monachium.*

HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA
Polska

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 12/2021

Małgorzata Chmielewska

SIOSTRA-MATKA-CÓRKA

Siostra M.

KS. ADAM BONIECKI

Są ludzie, których irytuje. Może dlatego, że jest wyrzutem sumienia dla tych, którzy obnoszą się ze swoim katolicyzmem bardziej deklaratywnym niż praktykowanym w życiu.

Siostra M. jest prapotomkinią Kozaka i dlatego fascynuje ją otwarta przestrzeń. Studiowała („żeby więcej wiedzieć") hydrobiologię. Czy poważnie myślała o pozostaniu całe życie hydrobiologiem, nie wiemy, choć do dziś z czułością mówi o niesporczakach, wodnych niedźwiadkach (kolorowych, maksimum 0,8 mm wzrostu), żyjących wśród ziarenek piasku na plaży albo w wodzie.

Pewnego letniego dnia M., jeszcze tylko studentka Uniwersytetu Warszawskiego, zostawiła niesporczaki i praktykę w Mikołajkach. Uciekła. Bo M. przeżyła nawrócenie i zaczęła szukać przestrzeni otwartej na spotkanie z Bogiem. Mizerną formację religijną zaczęła uzupełniać lekturą książek. Pierwszą była książka ks. Andrzeja Zuberbiera, podarunek siostry Michaliny, niepokalanki. Zapomniała tytułu, ale pamięta, że książka była świetnie napisana i przypominała katechizm.

Potem, po lekturze Thomasa Mertona, M., bawiąca w (odpracowywanej) gościnie u niepokalanek, postanowiła zostać trapistką. W Polsce nie ma trapistek, więc M. zdecydowała, że wstąpi do benedyktynek, i pojechała do klasztoru w Żarnowcu. W Żarnowcu zamiast do klasztoru poszła na plażę nad jeziorem. Tam ogarnęło ją przerażenie na myśl o życiu zakonnym bez możliwości kąpieli i plaży, więc uciekła do Drohiczyna i tam została nauczycielką. W Drohiczynie też były benedyktynki i może M. by do nich wstąpiła, gdyby się nie napatoczyła Małgosia, dziecko wymagające natychmiastowej pomocy. Ponieważ nawrócona M. chciała naprawdę żyć ewangelicznie, wzięła Małgosię jako rodzina zastępcza.

Były potem dalsze perypetie. M. przeniosła się do Warszawy i zatrudniła w prowadzonym przez Franciszkanki od Krzyża zakładzie dla ociemniałych. Tam ks. Tadeusz Fedorowicz zetknął ją z działającymi wtedy nielegalnie Małymi Siostrami Jezusa. I M. wstąpiła do Małych Sióstr Jezusa. Nowicjat odbyła w Rzymie, gdzie poznała założycielkę zakonu, małą siostrę Madeleine, i najbliższą współpracownicę założycielki, wspaniałą siostrę Jeanne. Warto dodać, że M. od nawrócenia poznała mnóstwo wspaniałych ludzi, m.in. uczestnicząc w działalności warszawskiego KIK-u. Jako mała siostra pracowała w Szewnej.

Ale Małe Siostry nie były kresem poszukiwań panny M. Kiedy roczne śluby zakonne wygasły, opuściła zgromadzenie. Dziś jeszcze mówi o nich z wdzięcznością, a z dawnymi współsiostrami zachowuje więzi przyjaźni. Odeszła, bo to wciąż nie było to.

Aż wreszcie... Siostra M. w książce „Wszystko, co uczyniliście..." opowiada Michałowi Okońskiemu:

„Miałyśmy (...) konferencję dla pracowników socjalnych na Pradze o naszej pracy wśród kobiet w zakładzie karnym. Po tej konferencji podszedł do mnie młody chłopak i powiedział: »a wiecie co, tutaj mam coś, co może was zainteresować«, i podał mi adres Wspólnoty Chleb Życia.

Okoński: Czy był to anioł?

ARCHIWUM SIOSTRY MAŁGORZATY CHMIELEWSKIEJ

Małgorzata Chmielewska, indeks Uniwersytetu Warszawskiego, połowa lat 70.

Być może. W każdym razie napisałam do wspólnoty...".

W 1998 r. siostra M. złożyła śluby we wspólnocie. Dziś jest przełożoną jej polskiego oddziału i prezeską Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia. Wspólnota w Polsce prowadzi 11 domów dla ludzi bezdomnych, starych, chorych i matek z dziećmi. Starają się tym, których przyjmują, stworzyć miejsce do godnego życia i umożliwić im powrót do społeczeństwa. Walczą z barierami edukacyjnymi, na jakie napotykają dzieci i młodzież z ubogich rodzin, z bezrobociem i wykluczeniem osób niepełnosprawnych.

Przedstawiłem tu tylko fragmentarycznie i pobieżnie prehistorię panny i siostry M. Kto chce więcej, tego odsyłam do jej opowieści w rozmowie z Michałem Okońskim, do jej książek, do bloga, do tego, co mówi na spotkaniach. Warto się przekonać, że tacy ludzie są wciąż z nami, warto zapytać, skąd się biorą. Z katolickich rodzin? Nie w tym przypadku.

Rodzice M. to dawni AK-owcy, ludzie odważni i prawi. Ojciec – lekarz Ludowego Wojska Polskiego bez znacznych awansów, bo nie kryje odrazy do panującego w Polsce systemu; mama – niezwykłej dobroci i mądrości, zapracowana. Żeby dorobić do pensji męża, pracuje w kasynie wojskowym, potem robi na sprzedaż swetry, jeszcze potem jest nauczycielką. Rodzice M. czują się odsunięci od praktyk religijnych, nie mają sakramentalnego małżeństwa. Do kościoła chodzą w największe święta, dzieci wysyłają do komunii i bierzmowania, ale rosną one w środowisku niezbyt religijnym.

Kilkunastoletnia M. przypadkiem spotyka legendarnego duszpasterza akademickiego z kościoła św. Jakuba w Warszawie, ks. Józefa Gniewniaka, który przyjmie ją do środowiska duszpasterstwa studenckiego. Spotkanie ważne w jej życiu, ale nie decydujące. Opowieść siostry M. o poszukiwaniach własnej drogi i o nawróceniu nie pozostawia wątpliwości. Po prostu wie, że to Jezus ją powołał i prowadził. Cała konstrukcja jej życia opiera się na wierze. Przyznaje, że inaczej nie byłaby w stanie tego wytrzymać ani fizycznie, ani psychicznie.

Że jest skuteczna, przebojowa, gdy chodzi o dobro podopiecznych, że potrafi o tym publicznie mówić – wiemy wszyscy. Czy jednak wiemy, że stała się w Polsce twarzą Kościoła na peryferiach? I to jeszcze zanim papież Franciszek powiedział: „wyjdźcie ze swoich ograniczeń i udajcie się na peryferie, a znajdziecie tam Jezusa. Jest On bowiem obecny w życiu brata, który cierpi i jest odrzucony". Za to ją podziwiamy i kochamy.

Ale są ludzie, których siostra M. irytuje. Może dlatego, że jest wyrzutem sumienia dla tych, którzy obnoszą się ze swoim katolicyzmem bardziej deklaratywnym niż praktykowanym w życiu. Ci, słysząc o niej, z jakąś dziwną satysfakcją, jakby ujawniali straszliwą tajemnicę, powtarzają to, co wyczytali w Wikipedii: „Małgorzata Chmielewska często jest błędnie nazywana siostrą lub siostrą zakonną. Tymczasem Wspólnota Chleb Życia nie była zgromadzeniem zakonnym. Polski oddział wspólnoty posiada prawną formę świeckiego stowarzyszenia". Zgroza! W habicie, „błędnie nazywana siostrą" – wiedzieliście o tym? Ona sama na stronie bankier.pl tak o tym mówi: „Nie jestem w zgromadzeniu zakonnym w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale we wspólnocie, w której są zarówno osoby, tak jak ja, wybierające życie w celibacie, ale także małżeństwa".

I dalej jeszcze o siostrze (?) M.: „Biolog z wykształcenia i szefowa szeroko zakrojonego »biznesu«, który ma na celu pomoc bezrobotnym z województwa świętokrzyskiego". Informacja dość skrótowa, bo, po pierwsze, nie tylko świętokrzyskiego. Po drugie, bo pominięto różnorakie formy działalności wspólnoty i rozmaite kategorie podopiecznych, np. ludzi chorych; i najważniejsze: bo w tej prezentacji zabrakło choćby krótkiej wzmianki o tym, że sprawczą siłą tej nieprawdopodobnej wspólnoty jest Ewangelia. A bez Ewangelii Pana Jezusa Chrystusa nie da się zrozumieć ani siostry M., ani wspólnoty i jej niebywałego sukcesu: ratowania honoru Kościoła. ©℗

Z urodzenia poznanianka

PROBOSZCZ FARY w Poznaniu jest zaskoczony, gdy pytam, czy wie, że w jego kościele była chrzczona siostra Chmielewska. Sprawdził w parafialnych księgach: zgadza się. Małgorzata Chmielewska swojego rodzinnego miasta też nie pamięta. 20 marca 1951 r. przyszła w Poznaniu na świat, ale rodzice (warszawiacy, w stolicy Wielkopolski znaleźli się z powodu powojennej zawieruchy) często zmieniali adresy: Grupa, Toruń, wreszcie Warszawa.

RODZINNE MIASTO i region postanowiło uhonorować siostrę Chmielewską. Marszałek Marek Woźniak przyznał jej Wielkopolską Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego „za czynienie dobra".

Z NAGRODĄ było tak. Jesień roku 2006. Kapuściński jest w Poznaniu. Na Dworcu Głównym odsłania tablicę upamiętniającą Kazimierza Nowaka – podróżnika i reportera, który przed wojną przemierzył pieszo, rowerem, konno, na wielbłądzie, koleją i czółnem całą Afrykę. Pochodził z Kresów, ale połowę życia spędził w Poznaniu. Wciąż mało znany.

KAPUŚCIŃSKI wypomniał Wielkopolanom, że nie umieją pochwalić się swoimi wybitnymi postaciami, które stały się znane w Polsce, a nawet w świecie. Kilka miesięcy później reporter umiera. Ale jego pomysł podchwycił marszałek województwa wielkopolskiego. Marek Woźniak wspólnie z rodziną autora „Cesarza" wymyślił, że Ryszard Kapuściński będzie patronem nagrody dla Wielkopolan, którzy „czynią dobro".

PIERWSZĄ DOSTAŁA Wanda Błeńska: pochodząca z Poznania lekarka i misjonarka niemal pół wieku leczyła w Ugandzie chorych na trąd. Niedawno rozpoczął się jej proces beatyfikacyjny. Co ciekawe: Kapuściński spotkał Błeńską w Afryce podczas jednej ze swych reporterskich podróży.

CO ŁĄCZY Kapuścińskiego z siostrą Chmielewską? Kapituła przyznająca nagrodę uzasadnia to tak: „Twórczość Ryszarda Kapuścińskiego i działalność siostry Małgorzaty łączy człowiek. Jest on najważniejszy dla pisarza – człowiek, którego należy wysłuchać i zrozumieć. W działalności siostry Małgorzaty Chmielewskiej też najważniejszy jest człowiek – bezdomny, skrzywdzony, chory, ubogi; człowiek, któremu trzeba pomóc".

© STANISŁAW ZASADA

Siostra, matka, córka

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA:

To nie jest tak, że ja latałam po świecie i szukałam dzieci. Wręcz przeciwnie, wybierając życie w celibacie raczej nie spodziewałam się, że będę miała ich pięcioro.

Katarzyna Kubisiowska: Do jakiego wspomnienia Siostra chętnie wraca?

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Cała książka mogłaby z takich wspomnień powstać.

A to najmilsze sercu?

Związane z rodzicami. Choć oni sami mieli trudne życie, w tym ciężką wojenną przeszłość. Naszej rozmowy nie zaczniemy więc od przyjemności.

Mimo to proszę opowiedzieć.

Tata wspominał sytuację z września 1939 r. Jako siedemnastolatek wrócił z obozu młodzieżowego, a tu początek wojny. Nie wiem, czy do wojska został wcielony, czy poszedł na ochotnika, ale wiem, że w starciu stanął twarzą w twarz z młodym Niemcem. I teraz kwestia: kto strzeli pierwszy? Wnioskując z tego, że się poczęłam, pierwszy zrobił to ojciec. Proszę sobie wyobrazić dwóch młodych ludzi, rówieśników, prawie dzieciaków, stojących naprzeciwko siebie.

Emocjonalnie nie do wyobrażenia.

Jako żołnierz AK ojciec brał udział w powstaniu warszawskim. Na samym początku, pod Politechniką, został ranny, przewieziono go do lazaretu, zwiał stamtąd, wrócił do walki, za co dostał pierwszy Krzyż Walecznych. Drugi odebrał nie wiem w którym dniu powstania. Mało opowiadał. Dopiero w '56 r., na fali odwilży, wydano dwa albumy o powstaniu warszawskim z czarno-białymi fotografiami. Znalazł tam zdjęcie powstańców pod Politechniką, wśród nich siebie. To było dla niego ważne.

A mama?

Była sanitariuszką na Woli. Na kamienicę spadła bomba i mamę zasypały gruzy. Koledzy ją odgarnęli i przenieśli do szpitala powstańczego, znajdującego się w kościele dominikanów przy ulicy Długiej. Tam rzucono ją na stertę trupów – wszyscy sądzili, że nie żyje. Przechodził kapelan udzielający pośmiertnego błogosławieństwa, zdaje się, że to był ojciec Rostworowski, jezuita, i zobaczył, że mama się rusza. Wyciągnięto ją i przeniesiono kanałami do innego punktu powstańczego. Dalej, już podleczona, przedostała się do swoich ciotek mieszkających na Mokotowie. Po upadku powstania trafiła do obozu w Pruszkowie, skąd rannych wywożono do Oświęcimia. I uciekła z transportu w czasie nocnego postoju pociągu. Dalej jakiś kolejarz pomógł jej przedostać się do Makowa Podhalańskiego, w którym mieszkali dziadkowie wysiedleni z Warszawy.

Później te przeżycia skutkowały tym, że mama w nocy wyła jak wilk – śniło jej się, że jest przysypana.

Wojna nigdy chyba nie opuszcza.

Zdarzały się też zabawne sytuacje. Już jako dorosła mieszkałam z moją przyjaciółką Tamarą w trzypokojowym mieszkaniu mamy. Mama już była mocno starszą osobą. Naprzeciwko naszych okien stał blok, a w nim mieszkał zawodowy żołnierz. Kiedyś dostał szału i zaczął strzelać w okna i na podwórko. Działo się to między 8 a 9 rano, huk był niesamowity, a w tym czasie mama słodko spała. Gdy obudziła się, opowiedziałyśmy jej, co się stało. Ona roześmiała się, rzuciła: „Nie takie strzały słyszałam".

Ta scena mogłaby być epilogiem „Pamiętnika z powstania warszawskiego".

Mamie zdarzyło się opowiedzieć o wojennych przeżyciach, natomiast ojcu – prawie nigdy. Wiem, że w majątku swojego ojca, naszego dziadka, ukrywał Żydówkę. Ale nie mam pojęcia, czy przeżyła wojnę, tego ojciec też nie powiedział. Pewnych spraw nie poruszał – za komuny w piśmie do jakiegoś urzędu nie mógł napisać, że walczył w titowskiej partyzantce.

Jak do niej trafił?

Najpierw trafił do obozu jenieckiego Klagenfurt. Z tego obozu przenieśli go do drugiego, ponieważ w czasie wojny ojciec zaczął studia medyczne w Szkole Zaorskiego. Oficjalnie to była szkoła zawodowa, a w rzeczywistości realizowano w niej program konspiracyjnego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Więc przenieśli go jako sanitariusza do drugiego obozu, z którego uciekł. W lesie trafił na oddział jugosłowiańskiej partyzantki i się przyłączył. Potem w akcji partyzanci wpadli w zasadzkę, jako jeńców zaprowadzono ich do esesmana, a ten właśnie grał Chopina. I ojciec, świetnie władający niemieckim, spontanicznie zareagował: „O, Chopin".

Wzruszył się esesman, chyba to był Austriak. Powiedział, że zbliża się koniec wojny, która skończy się dla nich źle, dlatego ich nie rozwali na miejscu, tylko da im szansę i odeśle do obozu koncentracyjnego. W ten sposób ojciec wylądował w Dachau. A stamtąd wyzwolili go Amerykanie.

Co potem?

Skończył medycynę w Poznaniu. Mało kto o tym wie, że za stalinizmu absolwentów studiów medycznych przymusowo brano do wojska. Dla byłego żołnierza AK to nie była łatwa sprawa.

Tata, jako człowiek wykształcony, był w stopniu kapitana. I nigdy nie awansował, bo nie należał do partii. Jako zagorzały antykomunista cały PRL przebywał na wewnętrznej emigracji. I właśnie z ojca bytnością w wojsku wiążą się moje pierwsze wspomnienia, na dodatek bardzo przyjemne.

Lata 50. spędzałam w obozach wojskowych – najpierw na Pomorzu, a później w Toruniu, gdzie ojciec był skoszarowany. Z dwójką braci ganialiśmy po jednostce – pełna swoboda, dla nas raj. Żołnierze nas lubili, może dlatego, że byliśmy dziećmi, może bardziej dlatego, że byliśmy dziećmi kadry. Gdy nikt nie widział, przewozili nas w kabinie ciężarówki – co za zabawa!

Kiedy w 1956 r. ojcu udało się wyjść z wojska, przenieśliśmy się do Warszawy. I to już było miejskie życie – oglądaliśmy kreskówki w kinie, w którym teraz mieści się Och-Teatr. Cudownie wspominam wyjazdy z matką na wakacje. Nie da się tego porównać do dzisiejszych wczasów. Mama była nauczycielką i z tej racji

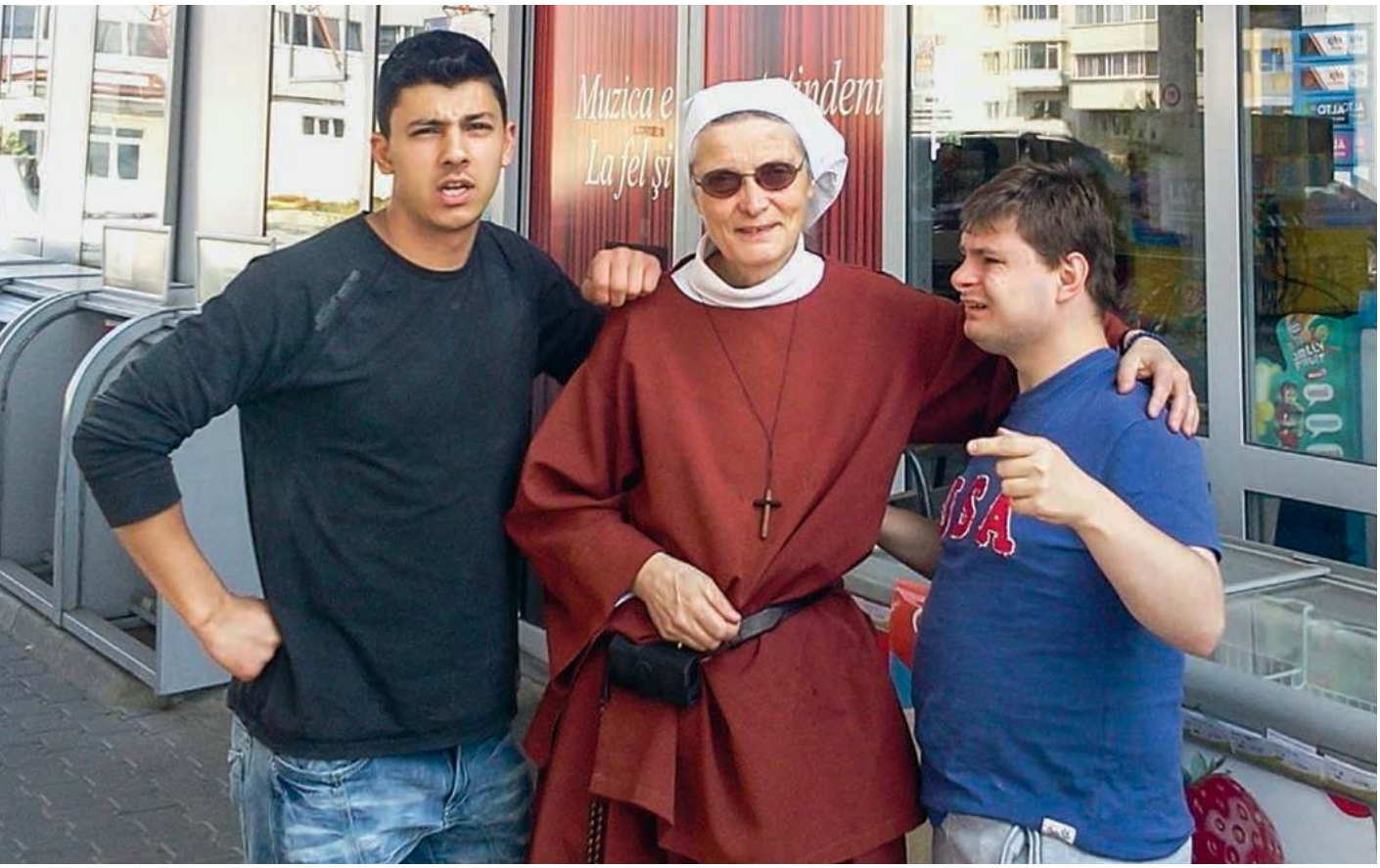

ARCHIWUM SIOSTRY MAŁGORZATY CHMIELEWSKIEJ

S. Chmielewska z synami Jankiem i Arturem, wyjazd z dziećmi z woj. świętokrzyskiego do zaprzyjaźnionej wspólnoty w Rumunii, wrzesień 2011 r.

w miesiącach letnich szkoły wiejskie za grosze udostępniały sale, a w nich składane łóżka. Chodziłam z mamą po górach, głównie Tatrach i Beskidach.

A bracia?

Mieliśmy wspólnego psa, owczarka niemieckiego. Kaja była genialna! Chroniła nas: kiedy bałaganiliśmy, a mama wracała z pracy i otwierała drzwi klatki schodowej, to Kaja szczekała i wtedy mieliśmy parę minut – bo mieszkaliśmy na czwartym piętrze – na sprzątanie. Kaja interweniowała też wtedy, gdy w kłótniach dochodziło między nami do ostrzejszej gestykulacji.

Do nas należało gotowanie obiadu – mama przygotowywała wieczorem składniki, a my po powrocie ze szkoły zajmowaliśmy się resztą. Mieliśmy też inne obowiązki – nie wiem, czy ktoś jeszcze wie, co to znaczy „wiórkować parkiet". W każdym razie 64 metry naszego mieszkania co jakiś czas trzeba było wywiórkować i zapastować.

I froterować.

Czasem nawet młodszym bratem, oczywiście za jego zgodą.

No i podwórko. Mój starszy brat był molem książkowym, więc specjalnie się w życie podwórkowe nie angażował. Lecz kiedy tylko usłyszał przez otwarte drzwi balkonu, że ktoś nam dokucza, to lekturę odkładał na bok, schodził powoli i robił porządek – było tak, jak powinno być.

Kiedyś jeden z naszych kolegów nas pobił, więc brat, w ramach tego porządku, zaciągnął go na czwarte piętro, związał mu nogi linką żeglarską i kazał schodzić. I chłopak musiał zjeżdżać na tyłku z czwartego piętra. Nie było to bolesne w sensie uszczerbków na ciele, lecz bardzo wychowawcze. Choć tego rodzaju incydenty zdarzały się rzadko, z dziećmi zazwyczaj żyliśmy w zgodzie. A jak ktoś miał piłkę, to było wielkie szczęście.

Mieliście?

Nie mieliśmy nawet gumowej, bo skórzana to był luksus. Nasza rodzina żyła bardzo skromnie, mimo że tata, jako lekarz, pracował na kilku etatach. A mama, by dorobić, zatrudniała się w szkole dziennej i wieczorowej. Ale i tak przed pierwszym jadło się chleb smażony na smalcu.

Pamiętam, jak dostałam taki pierwszy porządny zimowy płaszcz, który mama kupiła na raty. I jedną czy dwie zimy przechodziliśmy w czarnych kaloszach, wkładając na stopy kilka par skarpetek. Nikt się z nas nie skarżył i co ważne – nie mieliśmy poczucia biedy. A dzisiaj mówi się, że w ten sposób żyją ubodzy. Istotne jest i to, jak dużą wagę rodzice kładli na nasze wykształcenie. M.in. opłacali braciom i mnie prywatne lekcje angielskiego, co wtedy było rzadkością. Kupowało się też książki, ma się rozumieć, wyłącznie porządne.

Porządne to jakie?

Pamiętam w 1961 r. kolejkę do księgarni po pierwsze wydanie „Buszującego w zbożu". A siedem lat później zdawałam maturę w liceum Dembowskiego przy Szczęśliwickiej.

W 1968 r., kiedy Gomułka rozpętał w Polsce antysemicką nagonkę.

Byłam wtedy w KIK-u. I na znak solidarności z osobami pochodzenia ↦

↦ żydowskiego brałam udział w akcji sprzątania potwornie zaniedbanego cmentarza żydowskiego.

Jak wspomina Siostra studia?

Wspaniały czas pod względem naukowym i towarzyskim. Ale jeśli chodzi o karierę naukową, to możliwości były ograniczone: zaczynała się od pracy laboranta za nędzne grosze, a ja musiałam się samodzielnie utrzymywać. W tym czasie myślałam też na serio o życiu zakonnym. Dlatego zatrudniłam się jako nauczycielka w Drohiczynie nad Bugiem. Chciałam pracować na wsi.

Bo?

Bo wieś lubię. Tam też w zrujnowanym klasztorze były siostry benedyktynki, z którymi się przyjaźniłam. Uczyłam rok. Odeszłam z dwóch powodów. Po pierwsze i tak by mnie wyrzucili, ponieważ jako nauczycielka nie brałam udziału w pochodzie pierwszomajowym. A po drugie tam właśnie spotkałam moje pierwsze przybrane dziecko. Więc nawet gdyby mnie nie wyrzucili, to i tak bym wyjechała, zabierając ze sobą córkę.

Do Siostry dzieci wrócimy za moment, ale teraz próbuję sobie jeszcze wyobrazić Siostrę w roli nauczycielki.

Starałam się szanować uczniów. I uczyć myślenia, co kończyło się różnie.

Uczyłam też w szkole specjalnej dla dzieci niepełnosprawnych intelektualnie w Laskach, w Zakładzie dla Niewidomych. Kiedyś odgrywaliśmy scenki z Ewangelii, m.in. wskrzeszenie Łazarza. Ustawiało się grób – stół, ktoś tam był Łazarzem, któryś z chłopców był Panem Jezusem i mówił: „Łaaaazarzuuuu wstań". Wylatywał Łazarz i ryczał wyjątkowo radośnie.

A kiedyś byliśmy w kaplicy z IV klasą podstawówki i Romeczek, jeden z moich przybranych synków, w pewnym momencie podszedł do ołtarza i zaczął jeść świecę. Nie było to specjalnie trujące, ale niemniej niepotrzebne. Mówię: „Romeczku, nie można jeść świecy, świece są Pana Jezusa". Na to Romeczek przytomnie: „Pan Jezus by się ze mną podzielił".

Romek ma głowę na karku.

Innym razem opowiadałam, jak to wspaniale jest w niebie. Na końcu katechezy modlimy się, a dzieci proszą: „Módlmy się, żeby pani Małgosia poszła jak najszybciej do nieba".

Nasza rodzina żyła bardzo skromnie. Nikt się z nas nie skarżył i nie mieliśmy poczucia biedy. **A dzisiaj mówi się, że w ten sposób żyją ubodzy.**

Siostra mnie specjalnie rozśmiesza!

Ale też mówię o tym, że ciągnie mnie do działania. A przecież w pewnym momencie myślałam o życiu kontemplacyjnym w Zgromadzeniu Małych Sióstr Jezusa Karola de Foucauld. Siostry żyją i pracują wśród najbiedniejszych ludzi. Przy tym nie robią nic, by pomóc im wyjść z trudnej sytuacji – ich powołaniem jest modlitwa.

W zetknięciu z biedą brakowało elementu czynnego poprawiania losu ludzi, z którymi żyłam. I kiedy wystąpiłam od Małych Sióstr, to zaczęłam z Tamarą pracę w duszpasterstwie niewidomych w Warszawie przy Piwnej.

W naszej rozmowie po raz drugi pojawia się Tamara.

Spotkałam ją, będąc u Małych Sióstr w Ostrowcu Świętokrzyskim, z którego pochodzi i Tamara. Zaprzyjaźniłyśmy się. I kiedy ja wyjeżdżałam z Ostrowca, to powiedziała: „Jadę z tobą, zaszalejemy, zrobimy coś fajnego". I tak szalejemy do dzisiaj, aczkolwiek już jako dwie emerytki.

A w Warszawie, w latach 80., z Tamarą wspierałyśmy opuszczonych niewidomych żyjących w nędzy. Wtedy pomoc społeczna praktycznie nie istniała – ludzie czasami leżeli dwa, trzy dni głodni, trzeba było ich przewinąć. To był też czas, w którym zaczęłyśmy chodzić do aresztu śledczego przy Rakowieckiej. Zadecydował przypadek: spotkałyśmy wychowawcę więziennego, który nam to umożliwił, zresztą pod przykrywką, że jesteśmy członkiniami Ligi Kobiet, inaczej nie mógłby nas wpuścić za bramę więzienia. A było w nim kilkadziesiąt kobiet, wśród nich sporo młodych. Po wyjściu na wolność nie miały się gdzie podziać – zabierałyśmy je wówczas do mieszkania mojej mamy. Co nie było najlepszym pomysłem, ale też nie było innego wyjścia. Mama miała serce na dłoni, dziewczyny – niekoniecznie.

A w 1989 r. z Tamarą otworzyłyśmy dom w Bulowicach – pierwszy dla osób bezdomnych.

Ten rok był w ogóle otwarciem Polski na świat.

Jesienią '89 r. pojechałyśmy z Tamarą do Lisieux we Francji – spałyśmy z bezdomnymi w schronisku znajdującym się w domu św. Teresy. Nie miałyśmy przy sobie grosza – wtedy na Zachód wyjeżdżało się z pięcioma dolarami w kieszeni. Przy grobie św. Teresy modliłyśmy się o kartkę pocztową i o dom. Po co nam była kartka pocztowa? Chciałyśmy ją wysłać do naszego przyjaciela Adama, którym opiekowałyśmy się w Polsce. Przed wyjazdem zapewniłyśmy mu zastępstwo – to był człowiek i niewidomy, i sparaliżowany, całkowicie zależny od innych – do nakarmienia, do przewrócenia na drugi bok.

A dom?

Chciałyśmy go otworzyć dla bezdomnych kobiet. Kiedyś z Tamarą byłyśmy w kościele jezuitów na Starym Mieście, gdzie ostatnia msza w dzień powszedni odbywa się o dwudziestej. Czyli był to ostatni otwarty kościół w Warszawie, w którym zimą mogli się ogrzać bezdomni. Tamara zwróciła uwagę, że my idziemy do ciepłych łóżek, a bezdomne kobiety na dworzec albo do śmietników, bo zakrystianin, któremu spieszy się do domu, dzwoni kluczami i wygania wszystkich na zewnątrz. Pomyślałyśmy, że i one powinny mieć dach nad głową.

Więc my byłyśmy w Lisieux, a w tym czasie Maciej Rayzacher – nasz przyjaciel i znakomity aktor – w Polsce uporczywie szukał domu dla bezdomnych kobiet.

W noclegowni zaczyna się obiad, a w pewnym momencie podchodzi do nas jeden z mieszkańców i mówi: „Nie mam wam co dać, więc dam wam tylko kartkę pocztową z Lisieux". Jeszcze nie skończyliśmy obiadu, kiedy Maciej się dodzwonił do schroniska z wieścią: „Słuchajcie, siostry zmartwychwstanki chcą

nam udostępnić nieduży dom w Bulowicach nieopodal Kęt".

W ciągu kilku godzin i kartkę, i dom św. Teresa załatwiła.

Św. Teresa załatwiła też i to, że wstąpiła Siostra do Wspólnoty Chleb Życia?

We Francji miałyśmy kontakt ze wspólnotą Pain de Vie, bo szukałyśmy na Zachodzie modelu pomocy wykluczonym. Adres dostałam w Polsce i razem z Tamarą pojechałyśmy do Belgii, aby zobaczyć, jak funkcjonują takie domy dla bezdomnych kobiet. Tam spotkałyśmy żonę Pascala Pingault i pojechałyśmy do nich, do Francji. Stopniowo kontakty zaczęły być coraz bliższe. Pascal przyjechał do Polski, w Krakowie u dominikanów miał konferencję, to było w listopadzie '89 r. Na pewno dostałyśmy ten adres opatrznościowo.

Kiedy następuje moment decyzji, że Siostra zostaje mamą? Wtedy, kiedy po raz pierwszy widzi zaniedbaną dziewczynkę w Drohiczynie?

To jest bardzo proste.

Chyba nie jest.

Jest – jeżeli bierzemy na serio Ewangelię. Wspominałam, że początkowo myślałam o życiu kontemplacyjnym, ale w pewnym momencie stanęło przede mną dziecko.

Proszę to wytłumaczyć.

Kiedy Pan Bóg stawia przed nami dziecko, które wymaga pomocy, Pan Jezus pyta: co ty na to? Później, kiedy już żyłam wśród ludzi bezdomnych we Wspólnocie Chleb Życia w Bulowicach, stanął przede mną trzyletni Artur, który jest ze mną do dzisiaj. Stawały kolejne dzieci, które można było odesłać do bidula, a można było też powiedzieć: dobra, ja spróbuję być twoją matką, a ty spróbujesz być moim synem, córką i potem kolejną córką... To nie jest tak, że latałam po świecie i szukałam dzieci. Wręcz przeciwnie – wybierając życie w celibacie raczej nie spodziewałam się, że będę miała ich pięcioro.

I Siostra kocha dzieci tak od razu, na zawołanie?

Nie no, nie... Miłość przychodzi z czasem. Jeżeli to jest dziecko, którego ja nie urodziłam, a na dodatek jest po przejściach i nie jest malutkie – to tej miłości trzeba się wzajemnie uczyć.

Stawały przede mną kolejne dzieci, które można było odesłać do bidula, a można było powiedzieć: **dobra, spróbuję być twoją matką.**

I?

Jeden z moich synów powiedział, że jako mama zdałam na czwórkę.

Ba!

A dzieci nie tylko moje, ale i Tamary śmieją się, że gdyby nie ja, toby nie umiały czytać i pisać, bo takim jestem rodzinnym postrachem.

Aż tak?

W sprawach kształcenia dzieciom nie odpuszczam.

Dzieci mówią do Siostry: „mamo"?

Tylko jedna z córek. Reszta zwraca się „ciociu" lub po imieniu. Nie bardzo chciałam, by dzieci mówiły „mamo". Dzieci rosną, idą do szkół, a rówieśnicy mogą im dokuczać: „Twoja matka jest zakonnicą".

Ale zdarzały się też niezłe numery.

Kiedyś z Jankiem, jako kierowcą, musieliśmy późnym popołudniem jechać do Krakowa, bo jego siostra, a moja przybrana córka nagle wylądowała w szpitalu. Znajomy ksiądz załatwił nam nocleg u sióstr zakonnych, niezwykle uprzejmych i serdecznych. Zajechaliśmy tam koło dziewiątej wieczór. Młodziutka siostra przynosi kolację, siedzimy, rozmawiamy. W pewnym momencie siostra pyta zupełnie niewinnie: „A pan to jest kierowcą?". A Janek bezczelnie: „Nie, nie, jestem synem siostry". Dodam, że Janek z urody to południowy typ.

Wyobrażam sobie minę tej siostry.

Albo taka sytuacja: przez Nowy Świat idzie Tamara i jej mąż ze swoimi rodzonymi i przybranymi dziećmi oraz ja ze swoją przybraną piątką. Czyli jest nas spora gromadka. W pewnym momencie dzieci umawiają się między sobą, na trzy-cztery odwracają i do kobiety w habicie, czyli do mnie, krzyczą: „ma-mo!".

To teraz sobie proszę wyobrazić miny przechodniów.

Kusi mnie jeszcze, by zapytać Siostrę o przyjemności.

Chodzi pani o palenie...?

Również.

Szkoda gadać. Zaczęłam palić po studiach, potem rzuciłam, potem wróciłam. Teraz staram się ograniczać, bo to jednak kwestia zdrowia. No nie ma usprawiedliwienia na ten nałóg, choć zwalam to na zmęczenie... Czasem mówię: gdybyś przeżył trzy miesiące z Arturem, tobyś nie tylko palił, ale i pił, i ćpał. A ja nie piję i nie ćpam. Oczywiście kocham Artura nad życie, ale jest to czasami jazda bez trzymanki. Mówiąc w największym skrócie: Artur ma autyzm i padaczkę, jest bardzo wymagający w opiece i trzeba go cały czas mieć na oku, spać przy nim. Więc Radio Maryja, którego Artur namiętnie słucha, stanowi tu najmniejszy problem.

Natomiast jeśli chodzi o przyjemności niewywołujące wyrzutów sumienia, to uwielbiam pływanie. W Zochcinie mamy nawet basen. Pływają w nim osoby niepełnosprawne, które wstydzą się iść na publiczny basen. Pływają współpracownicy, którzy nigdzie nie wyjeżdżają, bo nie ma kiedy. I pływam ja.

A najbardziej co Siostra lubi?

Ciszę i spokój. Zabrzmi to może pretensjonalnie, ale przede wszystkim modlitwę – bycie z Panem Bogiem w sobie. No i lubię zwierzęta. Artur ma cztery psy, dwa koty, papugę i rybki. Sporo jak na jedno gospodarstwo domowe.

I lubię ludzi, choć to też brzmi pretensjonalnie.

Nie ma ich Siostra dość?

Czasem, jak każdy. Dlatego uciekam w ciszę i spokój. I jednocześnie spotkałam wspaniałych ludzi na drodze życia z ubogimi. Gdybym miała w osobistych znajomościach wymienić ludzi niedobrych, to wystarczyłoby pięć palców. Natomiast tych fantastycznych są tysiące.

©℗ Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

To ona powinna być kardynałem

KARD. KONRAD KRAJEWSKI

Z okazji urodzin siostry Małgorzaty złożę życzenia samemu sobie. Chciałbym być taki jak ona. Choć po części tak szalony, choć trochę tak stuknięty.

Pierwszy raz spotkałem ją w Watykanie. Było to może pięć lat temu. Wcześniej dużo o niej słyszałem, ale nie znaliśmy się osobiście. Przyszła razem z byłym ambasadorem Polski przy Stolicy Apostolskiej na mszę przy grobie Jana Pawła II. Potem poszliśmy na cappuccino, wymieniliśmy się numerami telefonów. Już to pierwsze spotkanie było elektryzujące: zauważyłem, że mam do czynienia z nieprzeciętną kobietą, od której wiele mogę się nauczyć.

Dużo mówiła. Dziś już wiem, że więcej robi, niż mówi. Ale kiedy świadectwo czynów jest niemożliwe, albo gdy nie wystarcza, wtedy zaczyna mówić – i to jak! Nie przebiera w słowach, jest konkretna, stawia wszystkich na nogi.

Może to pierwsza rzecz, jakiej się od niej nauczyłem: że czasem trzeba użyć słów, których nie ma w słowniku. Kiedyś na stacji Termini, gdzie rozdajemy posiłki, zrobiło się jakieś zamieszanie. Trudno było zapanować nad ludźmi. Pomyślałem sobie: co zrobiłaby w takiej sytuacji siostra Małgorzata? I powiedziałem kilka takich słów, że od razu zrobiło się cicho. Nie mogli uwierzyć, że biskup potrafi. W konkretnej sytuacji potrzebny jest konkretny język.

Potem poznaliśmy się lepiej, odwiedziłem większość domów Wspólnoty Chleb Życia w Polsce. Siostra nigdy nie prosi mnie o pomoc, choć często opowiada o swoich dziełach, planach, czasem o jakimś problemie. A ja wtedy wiem, co robić. Pamiętam, gdy raz w pewnym sanktuarium w Polsce otrzymałem pieniądze dla biednych. To była duża kwota. Zadzwoniłem do papieża i powiedziałem: „Ojcze Święty, jaki jest sens przewozić te pieniądze do Watykanu? Wiem, komu je dać w Polsce. Jest tu taka szalona kobieta, czysta Ewangelia. Czy mogę jej zostawić?”. Papież powiedział: „Zrób, jak uważasz”. Nie pytał, ile jest pieniędzy ani na co dokładnie zostaną przeznaczone. Zresztą przyznam się, że gdy do niego dzwoniłem, to już byłem w drodze do siostry Małgorzaty. Wiedziałem, że papież nie odmówi.

REKLAMA

FUNDACJA DOMY WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA

27-530 Ożarów, Jankowice 38
tel. +48 882 84 77 39
fundacja@chlebzycia.org.pl

1%

KRS
0000132424

Bank Polska Kasa Opieki SA, Opatów:
14 1240 2773 1111 0010 1234 0775

Razem dajemy szansę

1% Ponad **500 stypendystów** zdobywa wiedzę
1% Rocznie ponad **1000 podopiecznych** domów Wspólnoty Chleb Życia
1% Ponad **50 osób pracuje** i zdobywa doświadczenie
1% **Setki rodzin** objętych pomocą

Dziękujemy

www.chlebzycia.org.pl www.skarbyprababuni.pl

Siostra budowała wtedy jeden z domów dla swoich podopiecznych pod Krakowem. Jeśli się nie mylę, za te pieniądze zrobiono dach, przynajmniej w części, a reszta poszła na remont drugiego domu.

Innym razem opowiedziała mi historię kobiety, która mieszkała w jakimś kurniku. Siostra mówiła, że chce jej znaleźć mieszkanie i dlatego myśli o kupnie kawalerki. Nie prosiła mnie o nic, ale ja zebrałem wszystkie pieniądze, które w tym momencie miałem do dyspozycji, i jej zawiozłem. Wzięła kopertę i odeszła, nawet bez słowa „dziękuję".

Nie, nie obraziłem się. Mówiła mi potem, że modliła się o te pieniądze i wiedziała, że przyjdą, choć nie wiedziała, skąd. I że było dokładnie tyle, ile jej brakowało, aby kupić mieszkanie. A skoro prosiła Boga, to poszła podziękować Bogu, nie mnie. Bóg dał jej to, co jej się należało. To była dla mnie druga lekcja: modlitwa. Jeśli się modlisz o deszcz, nie wychodź z domu bez parasola. Inaczej twoja modlitwa będzie słaba, tak jak i twoja wiara. Gdy siostra Małgorzata coś mówi Panu Bogu, to nie na żarty, nie na niby. Nie zawraca Mu głowy błahostkami. Gdy Go o coś prosi, to znaczy, że naprawdę tego potrzebuje.

Częściej to ja proszę ją o pomoc. Są czasem w Rzymie beznadziejne przypadki bezdomnych Polaków, dla których ona jest jedynym ratunkiem. Choćby i dzisiaj. Ze szpitala wypisano sparaliżowanego bezdomnego Polaka. Wspólnota św. Idziego umieściła go w hotelu, żeby nie umarł na ulicy. Nie można go było wziąć do noclegowni, którą w ciągu dnia wszyscy muszą opuszczać, bo potrzebuje całodobowej opieki. Zadzwoniłem do siostry Małgorzaty i jeszcze dobrze nie skończyłem zdania, gdy powiedziała: „Proszę go przywieźć".

Zawsze mogę na nią liczyć. Takich sytuacji od czasu, gdy jestem papieskim jałmużnikiem, czyli od ośmiu lat, było może z dziesięć. Gdy trzeba kogoś przetransportować z Włoch do Polski, a wszystkie instytucje mówią: za miesiąc, za dwa, jak się zwolni miejsce – telefon do siostry Małgorzaty zawsze kończy się tak samo: „Kiedy mam wyjechać na lotnisko?". Bo ona wie, że skoro dzwonię, to muszę być w wielkiej potrzebie. I że ratuje komuś życie.

Tego też się od niej nauczyłem: reagowania natychmiast. Jeśli ktoś w potrzebie staje przede mną, to staje tu tylko dla mnie. Nie mogę go odsyłać do innych, zbywać, mówić: przyjdź za jakiś czas, zobaczymy, co się da zrobić. Trzeba, tak jak ona, działać natychmiast.

Jest uparta i konsekwentna. Boją się jej wojewodowie, burmistrzowie, urzędnicy. Gdy jest przekonana, że robi dobrze, i że to jedyna droga w tym momencie – nie ustąpi. Dlatego i ja, gdy mam coś załatwić w urzędzie, a chodzi o życie drugiego człowieka, nie ruszam się stamtąd, dopóki nie dostanę tego, po co przyszedłem. Mówią mi, że paszport będzie za miesiąc? Ale ja wiem, że wtedy już nikomu do niczego nie będzie potrzebny, bo jeśli ten człowiek nie wyjedzie od razu, to umrze. Więc odpowiadam, że nie wyjdę, dopóki nie załatwię sprawy. Nauczyłem się tego od niej.

Właściwie to ona powinna być kardynałem. Naraża życie dla Ewangelii. Gdy otrzymywałem kardynalski biret, przyrzekałem wierność Chrystusowi aż do przelania krwi. Przyrzekałem, że będę dbać o Kościół – a to znaczy: o drugiego człowieka. Ona właśnie to robi, narażając się na wyśmianie i drwiny, nawet ze strony ludzi Kościoła. Wiele osób jej nie rozumie. Mówią: co to za zgromadzenie, skoro jest sama? Co to za zakonnica, skoro adoptowała dziecko? Argumenty bezsensowne. Czasem, by ratować drugiego człowieka, trzeba go adoptować.

W obozach dla uchodźców na Lesbos jest blisko 800 dzieci bez rodziców. Nieraz myślę, że jedynym sposobem, by je stamtąd ściągnąć, byłaby adopcja. Każdy może adoptować nawet 15 dzieci, także biskup. Może to jest sposób, gdy państwo nie pozwala im wjechać do Europy? Siostra Małgorzata adoptowała dziecko, bo nie było innej możliwości, aby mu pomóc. Trafiłoby do zamkniętego zakładu, jako dziecko niepełnosprawne. Ona stworzyła mu dom. To jest konkret.

Niełatwo ją pokochać, bo jest despotyczna, rubaszna, pali jak parowóz, jest ciągle w kłębach papierosowego dymu. Ale nie można jej nie pokochać, bo żyje czystą Ewangelią i przez to jest piękna. Przyjmuje do ośrodka ludzi poobijanych przez życie, choć dobrze wie, że uciekną, gdy tylko lekko się podniosą. Woła ich nałóg, przyzwyczajenie, choroba bezdomności. Ale ona znowu ich przyjmie, potem kolejny raz i kolejny. Nie obraża się. Ktoś inny powiedziałby, że szkoda zachodu i miejsca. Ale nie ona.

Mówi o sobie, że jest stuknięta. Bo taka właśnie jest miłość i taka jest Ewangelia. Szalona, stuknięta, wszystko stawia na głowie. Jezus każe nam ciągle przebaczać. To najpiękniejsze. Logika Ewangelii jest przeciwnością logiki naszego myślenia. Dlatego mówię, że siostra Małgorzata, która realizuje czystą Ewangelię, też jest – jak Ewangelia – szalona, stuknięta, bezkompromisowa. Czasem działa na krawędzi prawa, czasem wręcz poza prawem. Żeby pomóc drugiemu człowiekowi, trzeba nieraz narazić się na mandat czy sprawę sądową. Taka jest miłość. I taka jest siostra Małgorzata. Tego też się od niej nauczyłem.

Czy mamy ją naśladować? Nie staniemy się drugą Małgorzatą Chmielewską, podobnie jak nie będziemy drugą Matką Teresą, Maksymilianem Kolbem czy księdzem Jerzym Popiełuszką. Każdy ma swoją drogę. Siostra Małgorzata jest jak drogowskaz. Pokazuje, jak żyć Ewangelią. Nie zmiękcza jej, nie rozwadnia. Jeśli Ewangelia mówi, że trzeba być ubogim, to siostra wie, co to znaczy. Nie potrzebuje rekolekcji ignacjańskich, by przez osiem dni próbować to zrozumieć. Po prostu jest uboga.

W dniu urodzin składa się życzenia solenizantowi, ale ja – wyjątkowo – złożę z tej okazji życzenia samemu sobie. Chciałbym być taki jak ona. Choć po części tak szalony, choć trochę tak stuknięty. Zupełnie tak samo nie dam rady. Żyję w innej rzeczywistości, mam do zrealizowania inne zadania. Ale łączy nas Ewangelia, a wiem, że siostra Małgorzata właśnie w Ewangelii znalazła sposób na szczęśliwe życie. Cholernie szczęśliwe – jak sama mówi. Chciałbym się od niej jak najwięcej czystej Ewangelii nauczyć.

A jej życzę, by na tej drodze mogła jak najdłużej być dla mnie przewodnikiem.

©℗ Wysłuchał EA

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 12/2021
REDAKCJA: Maciej Müller | PROJ. GRAF: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
NA OKŁADCE: s. Małgorzata Chmielewska / FOT. GRAŻYNA MAKARA
PARTNERZY:
POZnań
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Ludzki odruch

MARIUSZ SEPIOŁO

Dzieła siostry Chmielewskiej rozsiały się po całej Polsce. Tylko w 2020 r. domy dla bezdomnych pomogły blisko sześciuset potrzebującym.

Słowo „dom" składa się z trzech liter. Dom jako budynek składa się z fundamentów, cegieł, zaprawy i dachu. Domy Wspólnoty Chleb Życia mają to wszystko i jeszcze coś: potrafią słuchać.

Kierownicy i pracownicy schronisk prowadzonych przez fundację siostry Małgorzaty Chmielewskiej właśnie tę umiejętność wymieniają jako najcenniejszą w swojej pracy.

Bo każdy do domu wchodzi z historią. Najczęściej trudną, bolesną. Pokiereszowani fizycznie i psychicznie w domach będą leczyć trudno gojące się rany. Żeby znaleźć najlepszy sposób na fizyczną i psychiczną rekonwalescencję, trzeba te historie poznać. Rozmawiać, słuchać, dostrzec potrzeby, wady, słabości. Wtedy można zacząć leczyć.

Najważniejszą rolę w procesie leczenia – oprócz wolontariuszy, terapeutów, lekarzy, ratowników – odgrywają sami leczeni. To oni muszą postanowić, że odtąd ich życie będzie inne. To oni muszą znaleźć siłę, żeby zerwać z nałogiem, wziąć się za pracę (w domach pracuje każdy, kto ma do tego siły), wrócić do społeczeństwa. W domach wspólnoty nic samo się nie robi. To nie wakacje, nie sanatorium. Bitwy o życie odbywają się tu codziennie.

Na froncie jest obecnie 11 domów dla osób bezdomnych, dwa warsztaty pracy (i jeden sklep wysyłkowy), przedszkole, świetlica i fundusz stypendialny dla młodzieży i niepełnosprawnych. W pandemicznym roku 2020 z ich pomocy skorzystało 587 osób, w tym 31 dzieci. Stypendia otrzymywało co miesiąc 441 uczniów i studentów. Pomoc socjoterapeutyczną w świetlicy i w środowisku lokalnym otrzymało od pracowników fundacji 40 młodych i 80 starszych osób. W organizowanej przez ludzi fundacji Zupie na Monciaku ciepły posiłek, spotkanie i rozmowę otrzymały setki potrzebujących.

W jednym z domów koronawirusem zaraziło się 50 osób, w innym 10. Chorowali również pracownicy. W końcu ogniska infekcyjne udało się okiełznać, najgorzej znoszący chorobę trafili do szpitali. No i święta były skromniejsze. Były kolędy i prezenty, ale nastroje raczej minorowe.

Początek tym dziełom dały dwie przyjaciółki: Małgorzata Chmielewska i Tamara Kwarcińska-Smajkiewicz. W schyłkowym PRL-u, w którym bezdomność oficjalnie nie istniała, widziały bezdomnych ogrzewających się w kościołach. Pierwszy dom powstał pod Bielskiem-Białą, potem kolejne. Jak sobie radzą?

Dom pierwszy: plan pomocy

Pani Teresa, pracownik socjalny w Betanii przy ul. Łopuszańskiej w Warszawie, mówi, że skutecznym narzędziem zmiany stały się ostatnio lokale socjalne. Osoby, które przeszły przez schronisko, będące w terapii uzależnień, zdrowe fizycznie i gotowe do pracy uczą się w mieszkaniu dbania o siebie i najbliższe otoczenie. Dawniej musiały dbać o przetrwanie na mrozie, bez dachu i bez jedzenia, teraz pracują nad tym, by nie zawieść pracodawcy, współlokatorów i przede wszystkim siebie.

Betania to schronisko dla osób zdrowych (chore trafiają do większego, na ul. Gniewkowskiej), gotowych do podjęcia na nowo dawnych ról społecznych. – W maju miną trzy lata, od kiedy tu pracuję – opowiada Teresa. – Zajmuję się organizacją pomocy. Kiedy trafia do nas dana osoba, ustalam przyczyny bezdomności i całą jej historię: jak długo trwa, czy to pierwszy epizod, czy kolejny. Potem opracowuję przy udziale podopiecznego plan pomocy.

Co jest potrzebne w pierwszej kolejności? Często sprawy podstawowe: dokumenty. – Trzeba złożyć wniosek o dowód osobisty. Jeśli osoba nie ma źródła dochodu, to żeby miała ubezpieczenie, trzeba ją zarejestrować w urzędzie pracy, złożyć wniosek o ustalenie stopnia niepełnosprawności. Jest to więc wędrówka po kolejnych urzędach i instytucjach.

Ale i te podstawowe czynności nie należą do łatwych. Do Betanii trafiają także osoby młode, uzależnione od alkoholu i innych środków psychoaktywnych. Wymagają kontaktu z poradniami, rozeznania, jak długo trwa uzależnienie, czy korzystały z pomocy, terapii. Wszystko po to, by jak najbardziej ograniczyć możliwość ponownego wejścia w nałóg i trafienia na ulicę.

– Schronisko powinno być miejscem tymczasowym. Miejscem odbicia się od tzw. dna. Ochroną przed tym, czym grozi ulica – mówi pani Teresa. – Mamy historie sukcesu. Udaje nam się dość często wyprowadzić osoby na prostą. Zwłaszcza jeśli nie jest to bezdomność utrwalona, trwająca od lat; w takim przypadku problem jest większy. Niestety, zdarzają się bezdomni traktujący schronisko jako miejsce chwilowego odpoczynku, ponieważ są tak bardzo już wyniszczeni życiem na ulicy. Zdarzają się ucieczki, bywa, że uzależnieni po prostu idą pić.

Pandemia przyniosła nowe, niespotykane dotąd problemy. Szczególnie w jej początkach zablokowano dostęp do poradni czy grupowych terapii AA. Nawet wyrobienie dowodu osobistego wymaga specjalnego umówienia się na wizyty. To wydłuża czas oczekiwania, a ten w przypadku niektórych jest niezwykle cenny.

Bezdomność się zmienia, a wraz z nią sposoby walki o przetrwanie na ulicy. Pani Teresa zna przypadki osób, które symulowały zaburzenia psychiczne, by spędzić choćby miesiąc na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. Taki pobyt nie służył leczeniu, ale dawał kilka tygodni ciepła, świeżej pościeli, posiłków trzy razy dziennie.

– Co jest ważne w mojej pracy? Uważne słuchanie i empatia – mówi pani Teresa. – Nie mogę wyciągać przykrych wspomnień, powodować niepotrzebnego bólu. To wymaga delikatności. Ważne jest też takie zidentyfikowanie problemu, by pobyt w schronisku nie był przedłużany w nieskończoność. Najbardziej cieszę się, kiedy widzę, że ktoś nie wychodzi z Betanii, żeby pić, ale dlatego, że znalazł pracę i wynajął pokój. Tak, wtedy jest radość.

Dom drugi: bez schematu

Tomasz Urbaniec to syn Tamary Kwarcińskiej-Smajkiewicz, kierownik domu Matki Bożej Ubogich w małym Zochcinie i ratownik medyczny w schronisku w Jankowicach. Prywatnie mąż i tata oraz autor bloga o życiu we wspólnocie. Mówi, że się w niej urodził, ale na umowie pracuje w niej od dekady.

– Przez pandemię przeszliśmy w miarę suchą nogą. Mieliśmy zakażonych dziesięć osób, ale bardzo szybko udało nam się ulokować podopiecznych w oddzielnych budynkach i uniknąć rozprzestrzenienia się choroby – opowiada. – Nasz dom ewoluuje. Na początku do Zochcina przenoszeni byli „nadmiarowi" mieszkańcy domów w Warszawie. Po mniej więcej sześciu latach zaczęli tu mieszkać wychowankowie domów dziecka. Dziś większość stanowią osoby starsze, bezdomne.

Skąd taka zmiana? Z przyczyn naturalnych: bezdomność, jak mówi Tomasz, dynamicznie się starzeje. Coraz więcej osób dotkniętych tym kryzysem to osoby starsze, a dodatkowo – z chorobami psychicznymi. Sami podopieczni domu w Zochcinie po prostu się zestarzeli i pochorowali.

– Jak sobie radzimy? Większość z nas pracuje na zmianę w Zochcinie i w innych schroniskach. Staramy się więc dzielić i uzupełniać obowiązkami. Pomagamy sobie i jakoś ten trudny czas przetrwaliśmy – mówi Urbaniec.

Każdy z domów funkcjonuje w ramach ustalonych przez fundację zasad. Ale każdy ma też własną specyfikę. W Zochcinie również są stałe punkty programu dnia. Jeden z najważniejszych to wspólne posiłki: uczestniczą w nich mieszkańcy i pracownicy. Punkt drugi: spotkania w kaplicy, raz lub kilka razy w tygodniu. – Mieszkańcy nie muszą się modlić, wystarczy, że spędzą wspólnie czas – tłumaczy Tomasz Urbaniec. – Ważny jest także zakaz spożywania alkoholu i innych używek czy zakaz stosowania przemocy fizycznej i psychicznej.

Jest wspólna praca w domu i w jego otoczeniu. A ci, którzy uzyskują jakiś dochód (z pracy, zasiłku, emerytury, renty), są zobowiązani do pokrycia 70 proc. kosztów swojego pobytu (nie więcej niż 1000 zł): to wyraz odpowiedzialności za siebie i za wspólnotę. – Inne obowiązki? Dyżury sprzątania korytarza czy sprzątania po posiłkach. Czasem pomaganie w kuchni, gdzie pracuje kucharka – mówi Tomasz.

Co jest dla niego najtrudniejsze w kierowaniu domem? Biurokracja, papierologia, wspólne doświadczenie chyba wszystkich działaczy społecznych. – Zdarzają się urzędnicze absurdy – mówi Tomasz. – Poza ratownictwem studiowałem politykę społeczną, żeby móc prowadzić dom. Ale wtedy okazało się, że muszę jeszcze zrobić kurs z „organizacji podmiotów pomocy społecznej". Nikogo nie interesowało, że ja ten materiał znam i zdawałem z niego egzaminy.

Trudne jest coś jeszcze: – Oczekiwania podopiecznych są nieraz wygórowane w stosunku do tego, co możemy im zaoferować. Przykład? Jedna z osób ostatnie piętnaście lat spędziła na ulicy. Doprowadziła się do stanu skrajnego wyczerpania organizmu, jej wątroba przestała się regenerować. Przez piętnaście lat stan zdrowia nie bardzo ją obchodził. A kiedy przyszła do nas, zażądała skierowań do dwudziestu różnych specjalistów, ↦

ŻYCZENIA I GRATULACJE

Droga Siostro Małgorzato,

to dla mnie prawdziwy zaszczyt i największa przyjemność móc złożyć Siostrze serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia z okazji 70. urodzin.

Służba Siostry jest przejawem pięknego świadectwa humanitaryzmu i pełnej poświęcenia miłości bliźniego. Podziwiam w Siostrze tę niezwykłą energię dobra, która – jak sama Siostra mówi – każe „działać z zyskiem, nie dla zysku". Stanowi ona inspirację, skłaniając nas do refleksji nad naszymi wartościami, życiowymi priorytetami i do analizy własnego zaangażowania na rzecz tych członków naszej społeczności, którzy wymagają szczególnej pomocy, troski i wsparcia. Swoją pełną skromności oraz szacunku dla drugiego człowieka postawą, przypomina nam Siostra o moralnym obowiązku wspierania słabszych obywateli i zwraca uwagę, że potrzebne jest działanie długofalowe a nie doraźne.

W dniu wyjątkowego jubileuszu chciałbym wyrazić szacunek i uznanie za prowadzoną przez Siostrę w wielu obszarach aktywność społeczną, za pomoc tym najsłabszym i najbardziej potrzebującym. Jestem pełen podziwu dla przedsięwzięć Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia, która zajmuje się poprawą sytuacji życiowej osób zagrożonych wykluczeniem społecznym i niesie realną pomoc odrzuconym. Szczególnie doceniam działania związane z przeciwdziałaniem barierom edukacyjnym, jakie dotykają dzieci z ubogich rodzin.

Chciałbym raz jeszcze podziękować za świadectwo głębokiego człowieczeństwa i szlachetnej dobroci. Niech będzie ono źródłem radości i duchowego szczęścia. Gratulując pięknego jubileuszu, dołączam również życzenia dobrego zdrowia, energii, wszelkiej pomyślności oraz zewsząd napływającej inspiracji i życzliwości.

Z wyrazami szacunku

Jacek Jaśkowiak

↦ umówienia wizyt w tym samym tygodniu oraz zawiezienia pod drzwi gabinetów.

W schronisku są określone godziny na dane czynności: posiłki, odpoczynek, oglądanie telewizji. Zdarzają się bunty, telewizor ma działać, kiedy chce dany mieszkaniec, bo jak nie, to zadzwoni do siostry Chmielewskiej. – Takie nieporozumienia mamy dość często – przyznaje Tomasz Urbaniec. Czy zdążył wypracować model postępowania, który pozwala je gasić?

– Do każdego przypadku trzeba podchodzić indywidualnie. Każdego ukształtowało co innego. Jednego trzeba „pogłaskać po głowie", spokojnie wszystko wytłumaczyć. A na innego huknąć. Schematu nie ma, bo nie ma go na bezdomność.

Co decyduje o sukcesie i powrocie bezdomnego do normalnego życia? Według Tomasza jest to przede wszystkim silna wola, chęć do zmiany. – Niestety w przypadku osób starszych często jest to bierne oczekiwanie na dostanie się do DPS-u – mówi. – Wówczas żadne starania nie pomogą.

Dom trzeci, główny: kolejne szanse

Małgorzata Waniurska jest dyrektorką biura Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia, która m.in. prowadzi fundusz stypendialny „Podaruj mi szkołę" dla ubogiej młodzieży. Pracuje w domu w Jankowicach.

Przyznaje, że od siostry Chmielewskiej nauczyła się praktycznie wszystkiego. Bo w fundacji zaczynała od prac biurowych, rozwijała się, awansowała, aż została dyrektorką. – Siostra mi chyba ufa – głośno myśli pani Małgorzata. – Okres szesnastu lat mówi sam za siebie.

– Czy siostra ma wady? Chyba jak każdy. Nie wiem, czy można to nazwać wadą, ale jest po prostu wymagająca. Dużo wymaga od siebie, dlatego może wymagać od innych – mówi Waniurska. – Siostra powierza dziś coraz więcej zadań innym. Ale ciągle nad wszystkim czuwa. Jeśli pojawiają się problemy, stara się je rozwiązywać. Współpracuję z nią od szesnastu lat i wiem, że ma do nas duże zaufanie. Jeśli wie, że damy radę, pozwala nam działać.

A jeśli pojawia się problem? „Metodą jankowicką" jest zawsze spotkanie i rozmowa. Uczestniczy w nich także siostra Małgorzata. Z tych rozmów biorą się kluczowe decyzje. Choć od czasu do czasu decyzje przychodzą: siostra Chmielewska ogłasza, że ma być tak i już.

W Jankowicach do „ogarnięcia" jest chyba najwięcej. Są tu nie tylko dwa domy dla bezdomnych. To stąd zarządzany jest fundusz stypendialny, tu załatwia się wszelkie formalności. A tych w życiu tak rozgałęzionej organizacji pozarządowej jest mnóstwo.

– Największa trudność w tej pracy? Biurokracja, papierologia – wskazuje Małgorzata Waniurska. – Dawniej przepisy nie były tak skomplikowane. Dużo więcej czasu i energii mogliśmy poświęcić na konkretną pomoc. Dzisiaj siedzimy w gąszczu przepisów, które śledzimy na bieżąco. Kiedyś sama mogłam zająć się bezpośrednią opieką nad podopiecznymi czy stypendystami. Dziś zatrudniamy do tego pracowników.

Dom w Jankowicach zorganizowany jest tak, że część obowiązków biorą na siebie sami mieszkańcy. Jeśli tylko pozwala im na to zdrowie, pracują przy starszych i chorych.

– We wszystkich domach mieszkają ludzie z różnymi stopniami niepełnosprawności. Osoby sprawniejsze mogą pomóc w higienie osobistej czy nakarmieniu tym, które leżą. To nawet nie jest sztywna zasada, to po prostu ludzki odruch, który każdy z nas powinien w sobie mieć – mówi Małgorzata Waniurska.

Czego po szesnastu latach pracy się nauczyła? – Że nigdy nie można potępiać. Bo wiem, że życie danego człowieka potoczyło się tak, a nie inaczej z bardzo różnych przyczyn. Każdemu człowiekowi należy się szacunek – mówi dyrektorka biura. I dodaje: – Zdarza się, że ludzie do schroniska wracają po raz kolejny. Raz jest górka, raz jest dołek. Powroty do nałogów i powroty na ulicę. Wtedy zaczynamy wszystko od początku. Ale wie pan co? Po tylu latach wiem, że szansę trzeba dawać po raz drugi, trzeci, a czasem czwarty.

WSPÓLNOTA CHLEB ŻYCIA

© MARIUSZ SEPIOŁO

Wspomóż dzieła siostry Małgorzaty Chmielewskiej

Działalność Wspólnoty Chleb Życia (pomoc ludziom bezdomnym, chorym, starym, ubogim rodzinom) można wesprzeć wpłatami na konto:

73 8004 0002 2001 0000 1270 0001

Fundusz stypendialny Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia można wesprzeć wpłatami na konto:

14 1240 2773 1111 0010 1234 0775

Wspólna praca przy zakładaniu sadu, Dom w Jankowicach, wrzesień 2019 r.

Czy siostra Chmielewska jest zakonnicą

STANISŁAW ZASADA

Kiedy powstał pierwszy dom, miejscowi myśleli, że to sekta. Zobaczyli kobietę w dziwnym habicie, ludzi z dzieciakami. Raz nawet policję nasłali.

Jakiś czas temu prominentny dziennikarz zaczepił na Twitterze siostrę Chmielewską. Chciał wiedzieć, czy jej wspólnota aby na pewno ma kościelny status. Siostra zaprosiła go do siebie. Obiecała „objaśnić sprawę".

Dziennikarz nie ustępował: „Widziałem przełożoną wielokrotnie z Owsiakiem i w »Wyborczej«, ale nigdy z jakimś biskupem". Siostra pozostała niewzruszona: „Zapraszam do siebie raz jeszcze. Jeśli miarą katolickości są zdjęcia z biskupami, to łatwy egzamin. Przejrzymy wspólnie albumy. Ten zdam celująco".

Dziennikarz do siostry Chmielewskiej się nie pofatygował.

Kim właściwie jestem

Nosi chyba najbardziej rozpoznawalny habit w Polsce: rudobrązowy. W chłodniejsze dni lubi nakładać na niego ocieplany bezrękawnik. Na głowie obowiązkowo biała chustka.

– Nie jestem w zgromadzeniu zakonnym w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale w katolickiej wspólnocie – tłumaczy siostra Chmielewska. – Stąd czasem tyle ambarasu, kim właściwie jestem.

Wspólnota Chleb Życia to stowarzyszenie świeckich, którzy chcą pomagać ludziom znajdującym się w potrzebie. Oprócz osób takich jak siostra Chmielewska, które ślubują celibat i noszą habit, do wspólnoty należą też małżeństwa, które składają przyrzeczenia.

Mimo że Chleb Życia to nie zgromadzenie zakonne, do Małgorzaty Chmielewskiej wszyscy i tak mówią: siostra. ↦

↦ Jakby była zakonnicą. Na pewno utwierdza w tym habit, który nosi (chociaż kiedyś wolała dżinsy i flanelowe koszule).

– W prawie kanonicznym nie ma kogoś takiego, jak siostra zakonna – prostuje Chmielewska. – Są mniszki, ale ta nazwa zarezerwowana jest dla osób należących do zakonów, np. klarysek albo karmelitanek. Zakonów mamy jednak niewiele, przeważają zgromadzenia zakonne.

– Jak to nie ma sióstr zakonnych? – dziwię się.

– W Polsce używa się tego terminu, ale to określenie potoczne. Zwracamy się tak zwyczajowo do osób, które złożyły śluby i należą do zgromadzeń zakonnych.

– To jak powinno się określać osobę, która jest w zgromadzeniu?

– Siostrą w zgromadzeniu takim a takim.

– A siostra kim w takim razie jest?

– Siostrą we Wspólnocie Chleb Życia.

Michał Okoński w wywiadzie rzece „Wszystko, co uczyniliście..." zapytał ją wprost, czy jest zakonnicą. Odpowiedziała, że czuje się „osobą świecką, która w sposób szczególny poświęciła się Panu Bogu poprzez śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa".

Małgorzata Chmielewska to jedyna Polka, która złożyła takie śluby. Druga miała złożyć je rok temu. Z powodu koronawirusa uroczystość wciąż jest odkładana.

Wszystko mieli

Ona zaangażowana katoliczka. Udziela się w Chrześcijańskiej Młodzieży Robotniczej. On artysta, hipis, sięga po narkotyki i alkohol, śpi na ulicy. Politycznie – lewak, anarchista. Ochrzczony, ale zerwał z Kościołem.

Poznali się w 1968 r. Trwała studencka rewolta. Trzy lata później Marie-Annick i Pascal Pingault biorą ślub. Katolicki, w kościele – Pascal zrobił to dla żony. Z czasem się nawróci. Teraz oboje są zapatrzeni w pierwszych chrześcijan. Tych z Dziejów Apostolskich, gdzie „wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne". Wkrótce zamieszkają pod jednym dachem z ubogimi, bezdomnymi, chorymi, byłymi prostytutkami.

Tak w 1976 r. powstała Wspólnota Chleb Życia. Nazwa ma głęboki, religijny sens. Chleb Życia to Eucharystia – z niej biorą motywację do pomagania innym. Wspólnotę zatwierdza biskup miejscowej diecezji Bayeux-Lisieux w Normandii. Zakładają tam swój pierwszy dom. Gdy okaże się za ciasny, biskup podaruje im byłe seminarium w Sommervieu.

Chleb Życia przekracza granice Francji. Od trzydziestu lat jest w Polsce.

Stół nakryty obrusem

Upadł komunizm. Małgorzata Chmielewska dobiega czterdziestki. Wciąż szuka miejsca w życiu.

Skończyła biologię, była nauczycielką, katechetką, przymierzała się, żeby wstąpić do benedyktynek, w końcu wybiera zgromadzenie Małych Sióstr Karola de Foucauld. Po kilku latach odejdzie (po wypełnieniu ślubów czasowych) – Małe Siostry to zgromadzenie kontemplacyjne, a ona chce pomagać ludziom wychodzić z ubóstwa.

Ktoś podpowiada jej, że we Francji jest wspólnota, której szuka. Pisze do nich list, Marie-Annick i Pascal zapraszają ją do Normandii. Czuje, że znalazła swoje miejsce w życiu.

24 grudnia 1989 r. na Dworcu Centralnym w Warszawie organizuje z przyjaciółką Tamarą Smajkiewicz i aktorem Maciejem Rayzacherem wigilię dla bezdomnych. Stoły nakryte białymi obrusami. Barszcz, śledzie, kapusta z grzybami. Starszy mężczyzna płacze. Wyjaśni potem, że dawno nie siedział przy stole z obrusem.

Zaraz po kolacji Małgorzata i Tamara łapią nocny pociąg do Bielska-Białej. Muszą dostać się do Bulowic koło Kęt. W starej drewnianej chałupie przyjmują pierwszych bezdomnych.

Tak na początku 1990 r. powstała w Polsce Wspólnota Chleb Życia.

Za zgodą biskupów

Ten sam rok 1990. Poseminaryjny kościół z białego kamienia w Sommervieu.

Małgorzata Chmielewska założyła rudobrązowy habit (dała jej go siostra Klara z francuskiej wspólnoty). Na ręce Pascala Pingault złoży zaraz śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Świadkiem będzie miejscowy biskup. Osiem lat później w ten sam sposób złoży śluby wieczyste.

Chmielewska nie kryje, że ze ślubami we Wspólnocie Chleb Życia jest problem. Jak je traktować? Jej członkowie nie są przecież zakonnikami. Ale siostra Małgorzata składała śluby za zgodą biskupa, więc Kościół je uznaje.

Swoje domy Wspólnota Chleb Życia zakłada zawsze za zgodą miejscowych biskupów. W Polsce działa w archidiecezji warszawskiej i krakowskiej oraz w diecezjach rzeszowskiej, sandomierskiej i włocławskiej.

We francuskiej wspólnocie kilka lat temu pojawiły się kłopoty: nie wszyscy członkowie okazali się odpowiedzialni. W 2015 r. biskup rozwiązał stowarzyszenie w diecezji Bayeux-Lisieux.

Władze międzynarodowej Wspólnoty Chleb Życia (tworzą je przedstawiciele lokalnych wspólnot) przeniesiono do Berlina. Oczywiście za zgodą miejscowego ordynariusza.

Siostra się dogadała

Domu w Bulowicach już nie ma. Za macierzysty dom Wspólnoty Chleb Życia uchodzi ten w Zochcinie. To mała wieś koło Opatowa, wprowadzili się tam prawie ćwierć wieku temu. Miejscowi nie ucieszyli się z ich towarzystwa. Zobaczyli kobietę w dziwnym habicie, ludzi z dzieciakami. Pomyśleli: jakaś sekta. Raz nawet policję nasłali. Siostra szybko dogadała się z wsią. Pierwsze polubiły ją kobiety: zaczęła robić z nimi przetwory ze śliwek, które rosły w starym ogrodzie.

W Świętokrzyskiem mają jeszcze trzy domy: jeden w Nagorzycach, dwa w Jankowicach. W Warszawie też trzy: na Łopuszańskiej dla mężczyzn i kobiet, na Stawkach dla kobiet i na Gniewkowskiej dla schorowanych kobiet i mężczyzn. W Brwinowie pod Warszawą dla matek z dziećmi. W Medyni Głogowskiej na Podkarpaciu dla kobiet i mężczyzn. Niedawno otworzyli dom dla kobiet i mężczyzn w krakowskich Bronowicach. Rok temu – w Zduńskiej Woli.

Za Matką Teresą

Na swoim blogu siostra Chmielewska zamieściła kiedyś dowcip:

„Jaki nas może spotkać pech po śmierci? Taki, że stojąc w kolejce do Świętego Piotra za Matką Teresą z Kalkuty, usłyszymy, jak Piotr mówi do niej: »Oj, moja córko, można było zrobić jeszcze więcej«".

Siostra dodała od siebie: „Postaram się uważać, za kim stanę w kolejce, bo mogę nie mieć szans". © STANISŁAW ZASADA

Droga Siostro Małgorzato,

TO ZASZCZYT I PRZYJEMNOŚĆ SKŁADAĆ SIOSTRZE ŻYCZENIA URODZINOWE! Wszyscy bowiem podziwiamy Siostry kolejne inicjatywy, śmiałe, a nierzadko wręcz rewolucyjne w naszej rzeczywistości, publicznie głoszone poglądy i opinie. I ta siła oraz konsekwencja w niesieniu i czynieniu dobra! Budzi Siostra podziw i zwyczajną ludzką serdeczność. Nie sposób wątpić, słuchając i czytając wywiady z Siostrą, relacje z konferencji i spotkań, książki czy fejsbukowe posty, że jest Siostra osobą na wskroś uczciwą – wobec siebie i otaczających ją ludzi. Widać harmonię między tym, co Siostra mówi i robi.

Z Wielkopolski pochodzi sporo osób, które całe życie poświęciły drugiemu człowiekowi. Przywracając godność każdemu – zwłaszcza najsłabszemu, odrzuconemu, cierpiącemu, żyjącemu w szczególnym getcie, stworzonym przez naszą cywilizację – getcie ludzi „trędowatych": niekochanych i niepotrzebnych. I cieszę się, że to właśnie Siostra, poznanianka z urodzenia, udowadniając, że można skutecznie przeciwstawić się „cywilizacji obojętności", pracując ze wszystkimi, którym zależy na człowieku, stała się autorytetem moralnym naszych czasów. Choć – jak Siostra mówi – chrześcijanie nie mają monopolu na czynienie dobra, tak większość z nas wyobraża sobie ludzi naprawdę żyjących Ewangelią – taka religijność jest bardzo przekonująca. Przykład? Jeden z ostatnich wpisów Siostry na blogu: „Podobnie sprawa się ma w Kościele. Zamiast walki z… może by tak walka o… człowieka. Tego z problemami, tego słabego, tego pełnego wątpliwości, bólu. Nieznośnego, niegrzecznego, głupiego i co tam jeszcze".

Trudno się więc dziwić, że przed Siostrą otwiera się coraz więcej drzwi, za którymi można otrzymać pomoc dla tych „słabych, obolałych, nieznośnych…", którzy znajdują rodzinne ciepło w stopniowo powstających Domach Wspólnoty Chleb Życia. Bo Siostra przyciąga ludzi do siebie jak magnes – prostotą i zwyczajnością, używając języka zrozumiałego dla każdego. A jak trzeba, to i mocniejszego słowa. Dla wyrazistości przekazu, rzecz jasna. I co w tym najbardziej optymistyczne, wszem wobec obwieszcza Siostra, że walka z biurokratycznymi, bezdusznymi instytucjami, walka o każdego człowieka to „sposób na (cholernie) szczęśliwe życie". I jak tu nie wierzyć?

W tym roku Kapituła Wielkopolskiej Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego „za czynienie dobra" wskazała

właśnie Siostrę jako Laureatkę. Tym samym chcemy podziękować za dobro i mądrość, które Siostra hojnie rozdaje, i uhonorować „za wychodzące poza codzienność działania na rzecz społeczeństwa oraz promowanie ponadczasowych, nieprzemijających wartości".

DROGA SIOSTRO MAŁGORZATO, DZIĘKUJĘ! I życzę z okazji urodzin niewyczerpanych sił i miłości, która wciąż kieruje Siostrę na poszukiwanie ludzi potrzebujących, niesienie im pomocy i zwykłego serdecznego przytulenia. Życzę, aby Siostry życie zarażało jak najwięcej z nas, aby przybywało tych, którzy uczą się od Siostry i ją naśladują w czynieniu dobra, z takim zapałem, jak Siostra swego Mistrza.

Po prostu – życzę dalszego (cholernie) szczęśliwego życia!

Marek Woźniak

Marszałek Województwa Wielkopolskiego

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

BERLIŃSKI RAJ

Epidemia przepędziła z niemieckiej stolicy turystów i biznesmenów. Na ulicach zostali bezdomni, w tym rzesze Polaków. Nie garną się, aby wracać do kraju.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Zygfryd ponownie wybrał w komórce numer pośrednika. Znów głucho. Żadnego sygnału. Rozglądnął się wokół. Na niebieskiej tablicy obok widniał napis: Berlin Hauptbahnhof. Dworzec główny w stolicy Niemiec w niczym nie przypominał stacji w Strzelcach Opolskich, gdzie wcześnie rano tego dnia wsiadł do pociągu. Nad Zygfrydem rozpościerały się wielkie łuki szklanego zadaszenia, kryjącego halę z peronami. Poniżej plotły się wiązki ruchomych schodów, łączące różne poziomy wielopiętrowego gmachu.

Zygfryd, niepozorny mężczyzna o dziecinnej twarzy i siwych włosach, był tylko ledwie widoczną kropką w gąszczu tysięcy podróżnych, pociągów, a także licznych sklepów i restauracji. Rękę trzymał na uchwycie walizki. W środku miał trochę ubrań i jedzenie, żeby przetrwać pierwsze dwa tygodnie, aż otrzyma pierwszą zaliczkę.

Ślązak z pięćdziesiątką na karku miał zacząć pracę w fabryce czekolady w Berlinie. Ofertę znalazł w internecie. Przez telefon umówił się, że człowiek z firmy pośredniczącej odbierze go z dworca. Miał go zabrać do hotelu pracowniczego. Ale nikogo nie było. Po raz ostatni wybrał numer. Ponownie brak sygnału. Na więcej prób zabrakło pieniędzy na karcie. Nie miał ich też, żeby wrócić do Polski. – W chuja mnie zrobił, pieron – wspomina dziś moment, w którym stał się bezdomny.

CLEMENS BILAN / EPA / PAP

Wieczorami wolontariusze i pracownicy różnych organizacji – w tym Czerwonego Krzyża – wyruszają po tych, którzy do noclegowni nie dojdą na własnych nogach. Berlin, luty 2021 r.

Biedny, nieseksowny

Przyjazd Zygfryda do Berlina pod koniec lutego 2020 r. zbiegł się z początkiem pandemii.

Rok później, wczesnym popołudniem w sobotę 27 lutego, na tym samym Dworcu Głównym panuje cisza. Promienie słoneczne oświetlają opustoszałe perony. Tłumy podróżnych zniknęły. Berliński dworzec mógłby służyć za scenerię do filmu o globalnej zarazie, która zmusiła ludzi do ukrywania się po domach przed śmiertelnym wirusem. Mógłby, gdyby rzeczywistość od roku nie prześcigała w pomysłach scenarzystów.

Przed pandemią do stolicy Niemiec waliły tłumy. Wielu chciało zakosztować atmosfery, którą były burmistrz Klaus Wowereit podsumował zdaniem „Berlin jest biedny, ale sexy".

Teraz, bez światowej młodzieży szturmującej hipsterskie lokale z wegańskimi przysmakami, Berlin pozostał sam na sam ze swoim ubóstwem. A biedny ma to do siebie, że nie odwróci się od drugiego i pomoże nawet wtedy, gdy sam znajduje się po uszy w kłopotach.

Dlatego Berlin pomaga bezdomnym, jak żadne inne miasto na świecie. Pomaga też setkom, a może tysiącom Polaków, którzy tak jak Zygfryd przyjechali w poszukiwaniu lepszego życia i wylądowali na ulicy. Za tę solidarność odwdzięczają się lojalnością. Wolą żyć w ubóstwie na ulicach Berlina niż wrócić do Polski.

S-Bahnem na Wrangelstraße

Bezdomny w Berlinie nie umrze z głodu. Jest wiele miejsc, gdzie potrzebującym wydawane są ciepłe posiłki. Lista przybytków, które ich udzielają – a także dachu nad głową – składa się na ponad 40-stronicową książeczkę.

Z Dworca Głównego do jednego z takich miejsc najlepiej dojechać kolejką S-Bahn. Trzeba przejechać sześć stacji w kierunku wschodnim.

Już na pierwszej, Friedrichstraße, wsiada brodaty mężczyzna w punkowych obdartych ciuchach. Trzyma plik gazet. – Dzień dobry. Przepraszam, że niepokoję. Nazywam się Markus, jestem bezdomny. Kupując gazetę „Karuna Kompass" pozwalacie mi zarobić pieniądze. Koszt to tylko półtora euro – mówi dość obojętnym monotonnym głosem. Nikt nie reaguje. W czasie epidemii każdy ma tysiące własnych problemów.

Na następnej stacji wsiada kolejny bezdomny kramarz. Podobnie ubrany, tylko starszy i bez brody. A później jeszcze jeden. Każdego z nich obserwuje siedzący w wagonie mężczyzna. Dwóch zbywa pomrukami. Nie wytrzymuje dopiero przy trzecim. Wyciąga z kieszeni garść monet, wybiera półtora euro i daje bezdomnemu. Gazety nie chce. – Masz, ja sam też nie mam domu – mówi.

Kolejka dojeżdża do stacji Warschauer Straße, ulicy Warszawskiej. Stąd trzeba jeszcze przejść przez Oberbaumbrücke, most nad Sprewą, aby dojść do Wrangelstraße, przy której stoi katolicki kościół Najświętszej Marii Panny. Jest już czternasta, więc z różnych stron schodzą się ubodzy. O tej godzinie zaczyna się tu wydawanie jedzenia.

Ten kawałek Berlina mógłby służyć za potwierdzenie opinii zarówno najzagorzalszych przeciwników, jak i zwolenników miasta. Ci pierwsi wskażą na żebraków, na dealujących narkotykami Afrykańczyków, na prostytutki i na sklepiki z wielojęzycznymi szyldami, których estetyka może razić nawet niewprawione oko. Ci drudzy wskażą na meczet i kościół, oddalone od siebie o niecałe sto metrów, i na tę wyjątkową mieszankę osobowości z całego świata, żyjących na ciasnym skrawku ziemi obok siebie. ↦

↦ Jakby ta dzielnica prosiła się jeszcze o dodatkowe barwy, na ulicy pojawiają się dwie misjonarki miłości. Ubrane w tradycyjne śnieżnobiałe szaty z niebieskimi pasami, które rozsławiła założycielka zakonu Matka Teresa z Kalkuty. Na małym wózku siostry przewożą w kierunku kościelnego dziedzińca spory worek z pieczywem.

Wojciech Greh, pracownik berlińskiej Stadtmission. Luty 2021 r.

Brokuł w sosie na potem

Jak przystało na Berlin, również tutaj jest wielokulturowo. – Jestem z Białorusi – mówi stojący w kolejce po jedzenie chłopak. Za nim czeka dwóch Rumunów. Na dziedziniec wychodzi dwóch Polaków, niosą świeżo odebrane reklamówki z jedzeniem.

Krzysztof i Marek to świeża znajomość. Krzysiek żyje na ulicy dopiero od tygodnia. Marek już ponad 10 lat. Spotkali się na ławce, ekspert wziął nowicjusza pod swoje skrzydła. Pokazał, gdzie zjeść, gdzie spać.

– Siostrzyczki bardzo nam tu pomagają – mówi Marek. Mimo plusowych temperatur ma czapkę uszatkę i grubą pomarańczową kurtkę. Lekko pomarańczowa jest też jego opuchnięta i nieogolona twarz. Mężczyzna ogląda zawartość reklamówki. W czasie epidemii siostry wszystko wydają na wynos, w profesjonalnie zapakowanych pudełkach. Główne danie to dziś brokuły z ryżem w sosie śmietanowym. Do tego pieczywo, wędlina, owoce, ciasto, kompot. To wszystko mężczyźni pakują do plecaków na potem. Żeby zaspokoić pierwszy głód, Marek rozrywa bułkę na dwie części, do środka pakuje z pięć plasterków szynki.

Krzysztof jest niski, ma pociągłą twarz i czarne gęste włosy z siwymi plamami. Na ulicy wylądował po tym, jak wyrzucono go z hotelu robotniczego. Opowiada, że pod koniec grudnia zaczął pracę w magazynie firmy kurierskiej DHL w Nauen, miasteczku położonym kilkanaście kilometrów na zachód od Berlina. Przepracował kilka dni, aż do wypadku na hali. Złamał sobie dwa żebra.

– Nie ściemniam, popatrz – mówi i wyciąga z plecaka umowę, sprawozdanie z wypadku, papiery od lekarza. – Oszukała mnie wiedźma i wyrzuciła z pensjonatu, jak byłem jeszcze na zwolnieniu – mówi wzburzonym zachrypniętym głosem. „Wiedźma" to właścicielka agencji pośredniczącej, która ściągnęła go ze Szczecina. – Nie mam do czego wracać – mówi. Mieszkanie w Szczecinie oddał byłej żonie.

Opowieść Krzysztofa przerywa telefon. Mężczyzna odchodzi na bok. Swoją historię zaczyna weteran Marek. Z życiem na ulicy próbował już zerwać wielokrotnie. Raz siostry z tutejszego kościoła wzięły go do swojego ośrodka w Chemnitz, na południowym wschodzie Niemiec. Raz zjechał na dłużej do Polski. Na końcu zawsze wracał do Berlina. – Jaki bezdomny? Mam ulicę, to mój dom – śmieje się.

Po chwili wraca podekscytowany Krzysztof. – Mam pracę, od poniedziałku zaczynam! Jednak są dobrzy ludzie! – cieszy się. – Nie potrzebuję dużo pieniędzy. Żeby na mieszkanie wystarczyło – podkreśla.

– Z pieniędzmi to teraz jest lipa. Wcześniej zbierało się butelki – dopowiada Marek.

W Niemczech dozwolone i niezmiernie popularne jest picie piwa na ulicach. Niepisaną zasadą jest zostawianie pustych butelek obok koszy, tak aby potrzebujący mogli je zebrać i oddać w punktach skupu. – Tylko że teraz jest korona, butelek prawie nie ma – stwierdza Marek.

Hostele na czas epidemii

Krzysztof i Marek wyciągają z kieszeni ofoliowane numerki. 318 i 319. Z drugiej strony widnieje napis „GEBEWO". To nazwa jednej z wielu organizacji, która pomaga bezdomnym. Dzięki numerkom mogą w godzinach od dziesiątej do szesnastej wejść do piwiarni München nieopodal Alexanderplatz, centralnego placu Berlina z charakterystyczną pnącą się ku niebu wieżą telewizyjną. Wprawdzie w piwiarni nie dostają piwa ani tradycyjnych bawarskich kiełbasek, ale mogą się ogrzać w chłodne dni. I także tam można coś zjeść.

Berlinem rządzi koalicja złożona z socjaldemokratów z SPD, Zielonych i Partii Lewicy. Czasem trudno stwierdzić, która z tych partii jest bardziej lewicowa. Wszystkie mają na sztandarach walkę z ubóstwem. Dlatego nie szczędzą pieniędzy, żeby w czasie pandemii pomóc najbardziej potrzebującym. Przed pandemią w okresie zimowym Marek mógł liczyć na schronienie tylko w noclegowniach, które trzeba opuścić skoro świt. W dzień szukanie suchego kąta i ochrony przed chłodem to był miejski surwiwal.

Teraz bezdomni większość dnia mogą spędzić w ciepłych pomieszczeniach restauracji. Władze miejskie wydzierżawiły także kilka hosteli i schronisk młodzieżowych. Ci bezdomni, którzy zgodzą się na pracę z pracownikiem socjalnym, mogą tymczasowo zamieszkać w kilkuosobowych pokojach.

W jednym z nich po roku odnalazł się Zygfryd. – Najpierw żem się błąkał cztery

dni po dworcach. Ja się nie znoł, nie wiedzioł, że można butelki zbierać – mówi, siedząc już w ciepłym pomieszczeniu biurowym w tymczasowym hostelu prowadzonym przez berlińską organizację Stadtmission (Miejska Misja). Jego pokój znajduje się w tym samym budynku kilka pięter wyżej.

Po przyjeździe do Berlina Zygfryd spotkał innych bezdomnych. Razem tułali się po mieście. Jak było zimno, to po noclegowniach i otwartych na czas „korony" hotelach. Latem wystarczył namiot. Gdy znów zrobiło się zimno, trafił do „Szczurowni".

I tam spotkał Wojciecha.

Po lepsze życie

– Tylko Polacy nazywają naszą noclegownię „Szczurownią" – śmieje się Wojciech Greh, pracownik Stadtmission. Na dowód otwiera drzwi do jednego z pokojów. Żółte ściany, pięć piętrowych łóżek. Na każdym leżą czyste ręczniki, kołdry i poduszki. Szczurów brak.

Zbliża się osiemnasta. Za kilka godzin kilkadziesiąt bezdomnych osób położy się w tych łóżkach, aby spędzić noc w schludnym i przede wszystkim ciepłym pomieszczeniu.

39-letni Greh od lat pomaga rodakom. – Berlin działa jak magnes nie tylko na polskich, ale na wszystkich bezdomnych. Jedni uciekają przed długami lub wyrokiem, inni przyjeżdżają z nadzieją, że w Niemczech odnajdą lepsze życie – tłumaczy.

Greh dobrze rozumie nadzieje, które pchają ludzi do Berlina. Sam już jako dorosły człowiek postanowił odmienić swoje życie. Zostawił słabo płatną posadę w jednym z poznańskich urzędów i przeprowadził się do niemieckiej stolicy.

Z wykształcenia pedagog społeczny, nie od razu trafił do swojej branży. Pracował fizycznie. Sam też miał problemy z nieuczciwymi pracodawcami, którzy nie chcieli wypłacić należnych pieniędzy. W końcu trafił do berlińskiej Stadtmission, organizacji charytatywnej, która działa pod egidą Kościoła ewangelickiego. Zaczynał jako tłumacz, z czasem zakres obowiązków zaczął się rozszerzać.

Organizacja ma swoje centrum dowodzenia na dużym obszarze nieopodal Dworca Głównego w Berlinie. Wojciech idzie w kierunku jadalni. Tam zgromadziło się już kilkadziesiąt osób. Kilka pije piwo. Jeden z mężczyzn popija wódkę z butelki.

– Schowaj to! – mówi stanowczo Greh. – Bo dostaniesz Hausverbot – przestrzega.

Zakaz wstępu do budynku byłby przykrą konsekwencją: w niemieckich noclegowniach, tak jak w polskich, nie można spożywać alkoholu. Ale zostaniesz wpuszczony nawet, jak jesteś już pod wpływem. Grupka na murku wlewa w siebie jeszcze promile, póki może.

Długa droga do łóżka

Gdy powoli zaczyna dochodzić dwudziesta, wszystko zaczyna wyglądać tak, jak podczas odprawy na lotnisku.

Najpierw wolontariusze ustawiają bezdomnych w kolejce do testów na koronawirusa. Testowani są wszyscy chętni do posiłku i noclegu. W czasie epidemii już kilkukrotnie w miejskich noclegowniach dochodziło do masowych infekcji.

Teraz jest to nie do pomyślenia. Ludzie ulicy korzystający z miejskiej oferty pomocy są testowani codziennie. Jeśli ktoś dostanie wynik pozytywny, trafi do koronowej izolatki, czyli do oddzielonej części hostelu, gdzie będzie mógł w spokoju dojść do zdrowia.

Tych z negatywnymi wynikami czeka teraz przejście przez „bramkę". Muszą zostawić swoje rzeczy w schowku. Następnie ochroniarz sprawdza, czy nie mają przy sobie alkoholu albo broni. Kolejny krok to rejestracja, po której można udać się na stołówkę i usiąść do długo wyczekiwanego posiłku. Kto chce, może jeszcze zgłosić się do lekarza.

– Ludzie, którzy do nas przychodzą, są poobdzierani przez ulicę. To są różnego rodzaju zatarcia, dziury, opuchlizny i problemy ze skórą – tłumaczy Wojciech Greh.

W jadalni jest głośno. Pomagający wolontariusze, głównie młode kobiety, puściły z głośników niemieckie reggae. Goście mają do wyboru m.in. wysokokaloryczną zupę, w oczy rzuca się duży wybór ciast. Są nawet donuty z wielokolorową polewą z lukru.

– To dary od piekarni, które działają na Dworcu Głównym – tłumaczy Lena, w Stadtmission pracująca z bezdomnymi od dwóch lat.

Dziewczyna prosi o pomoc w tłumaczeniu. Jeden z mężczyzn pochodzących z Polski jest tu pierwszy raz. Podaje nazwisko i datę urodzenia. Na pytanie o rodzinę odpowiada: – Mama nie żyje, tata też, siostrę mi zamordowali.

Na koniec robi minę, jakby zaraz miał się załamać. Również z twarzy Leny znika uśmiech, z którym zwykła podchodzić do każdego. – Czasem to są takie historie, że naprawdę chce mi się płakać – mówi.

Mrozobusy

O dwudziestej pora wyruszyć po tych, którzy do noclegowni nie dojdą na własnych nogach. Na parkingu dwuosobowy zespół przygotowuje „Mrozobusa" (niem. *Kältebus*).

Dziś dyżur pełnią wolontariuszka Carla oraz Artur Darga, Polak, który lata temu sam był bezdomny, a teraz pracuje dla Stadtmission. – To fajna praca, podoba mi się – dziewczyna mówi z uśmiechem i takim tonem, jakby mówiła o najprzyjemniejszym zajęciu na świecie. – Chcę studiować pracę socjalną, więc to dla mnie dobra rozgrzewka – dodaje.

Dwa busy jeżdżą po mieście do trzeciej w nocy. Reagują na telefony mieszkańców, którzy zauważą leżących, czasem nieprzytomnych bezdomnych. W jeden z mroźniejszych wieczorów tej zimy na specjalną infolinię dzwoniono 400 razy.

Bus Artura i Carli nie zdążył jeszcze wyjechać, a obok zaparkował podobny busik obsługiwany przez Czerwony Krzyż. Wolontariuszki cierpliwie pomagają wytaszczyć się z niego zupełnie otumanionemu Polakowi, który potrafi wydobyć z siebie tylko nieskładną wiązankę przekleństw. – Wielu bardzo nam dziękuje za to, co robimy. Ale są też tacy, którzy myślą, że wszystko im się od nas należy – mówi Lena.

Powroty

W grupie Polaków stojących przed jadalnią Wojciech Greh co rusz wynajduje pojedyncze osoby. – Dawno cię nie widziałem, co słychać? Przyjdź do mnie we wtorek o dwunastej. Pogadamy – rzuca do kolejnych osób.

Trzy lata temu Greh pracował na ulicach Berlina dla Fundacji Barka. Polska organizacja otrzymała wsparcie od polskiego Senatu i postanowiła ściągać stąd polskich bezdomnych do swoich placówek w kraju.

– Czułem się ich ambasadorem. Pracowałem po kilkanaście godzin dziennie ↦

ŁUKASZ GRAJEWSKI

– wspomina Greh. Media nagłaśniały pierwsze powroty. On grał w nich rolę superbohatera, sprowadzającego rodaków do ojczyzny. W rzeczywistości narastało w nim rozgoryczenie. – Organizacja nie miała żadnego planu rozwoju ani dla mnie, ani dla swoich nowych podopiecznych – uważa dziś.

Pieniądze z Senatu szybko się skończyły. Powstał plan założenia oddziału w Berlinie i ubiegania się o środki miejskie. Organizację scedowano głównie na Greha. Ale berlińskie władze nie paliły się do wsparcia. Dochodziło do nieporozumień: w swoich ośrodkach Barka oddawała nowo przybyłych pod opiekę byłych bezdomnych, gdy dla Niemców ważne są procedury i kwalifikacje. Nie podobało się też, że pojedyncze powroty bardzo nagłaśniano w mediach. Niemieckie organizacje, które codziennie pracują na ulicach, poczuły, jakby ich dorobek był spychany na dalszy plan. Ktokolwiek był temu winien, koniec końców berlińskie plany Barki spaliły na panewce. – Z ponad dwudziestu osób, które udało nam się ściągnąć do Polski, czternaście wróciło do Berlina, aby tu żyć na ulicy – mówi Greh.

On sam stara się dostosowywać środki pomocy do danej osoby. – Liczy się konkretny plan rozwoju – podkreśla. Z częścią osób pracuje nad znalezieniem pracy i mieszkania w Berlinie. Część, po osobistym kontakcie z polskimi ośrodkami, wysyła do Polski. – Już 26 powrotów zrobiłem w ramach mojej pracy dla Stadtmission – mówi z dumą.

> Pomagając bezdomnym, Berlin pomaga też licznym Polakom, którzy szukali **tu lepszego życia i wylądowali na ulicy.**

Raj się kiedyś skończy

Plan Zygfryda jest jasny. – Po co mam wracać do Polski? Żony nie mom, dzieci nie mom... Tu żem robota dostał, tu mi się podoba – mówi podczas spotkania z Wojciechem Grehem.

Od trzech tygodni Zygfryd pracuje w fabryce. Zajęcie znalazł po tym, jak Wojciech pożyczył mu pieniądze na kartę do telefonu. – Jak będzie pierwsza wypłata, to jeszcze będzie ciężko, bo i tobie oddać, i na koncie mam minus. Ale potem trzeba myśleć o jakimś mieszkaniu – planuje.

Wojciech zobowiązuje się pomóc. Spróbują zamieścić ogłoszenie „Pan szuka pokoju" w berlińskim sklepie polonijnym Mały Książę. – Tylko będziesz musiał uważać... Wiesz na co... – Wojciech zawiesza głos. – Dziś już jakieś piwko było, co? – precyzuje swoją obawę. – Dzisiaj ja, no, jest sobota – Zygfryd uśmiecha się szelmowsko.

Również Krzysztof, spotkany u misjonarek miłości, chce stanąć na nogi tu w Berlinie. Po tygodniu na ulicy znalazł kąt do spania u znajomych. Z obiecanej pracy w poniedziałek jeszcze nic nie wyszło. We wtorek też nie.

– Potrzebowali tylko jedną osobę do sprzątania placu budowy. Ale jutro mają mnie wziąć. Mają płacić dniówki – mówi z wiarą w jutro, która zahacza o naiwność.

Krzysztof zostawił na ulicy Marka. – Wczoraj go spotkałem, w tej piwiarni dla bezdomnych na Alexanderplatz. On już tak długo na ulicy żyje, że nie wiem, czy chce jeszcze pracować – zastanawia się.

Wojciech Greh regularnie dzwoni do osób, które z jego pomocą wyjechały z Berlina do ośrodków w Polsce.

Pani Dorota trafiła w ten sposób do szczecińskiego schroniska dla kobiet, które prowadzi Caritas. „No, tu jest fajnie, panie Wojtku... – powiedziała mu, gdy rozmawiali przez telefon. – Ale w Berlinie było lepiej".

– No wiadomo, ona sobie tu mieszkała w hostelu, wszyscy mili, nikt na nią nie naciskał, dwa ciepłe posiłki – mówi Greh. – Ale ja jej wtedy odpowiedziałem, że to się skończy. Skończy się pandemia i Berlin przestanie dawać pieniądze na to wszystko. Ten raj tutaj minie. A w Polsce będą dokumenty, ubezpieczenie, zawsze parę kroków do przodu.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

REKLAMA

dorwać mistrza

TISCHNER. TO CO NAJWAŻNIEJSZE

Wydawnictwo znak zaprasza
na 23. spotkanie „Dorwać Mistrza"
z okazji 90. urodzin
ks. prof. JÓZEFA TISCHNERA
o Mistrzu rozmawiać będą:
Jerzy Illg, Łukasz Tischner, Wojciech Bonowicz
Oprawa muzyczna: Hanka Wójciak i Przyjaciele
Prowadzenie: Jolanta Kogut

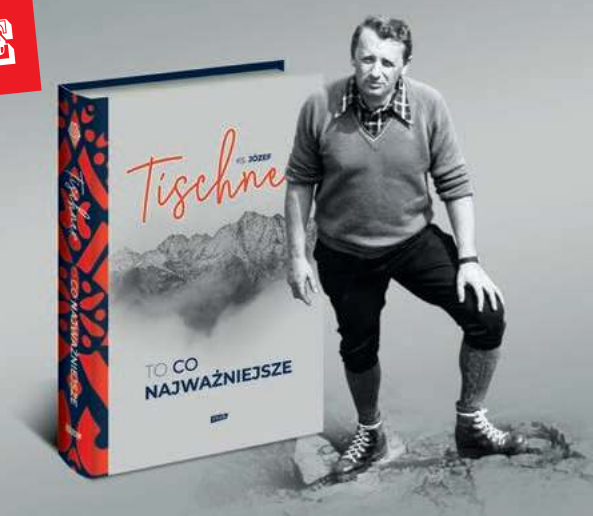

ŚRODA
24 marca 2021
godz. 18.00

SCENA NCK – bezpłatne zaproszenia
więcej: nck.krakow.pl/rezerwacja-biletow-2/

TRANSMISJA ONLINE
Facebook/WydawnictwoZnak

Organizator: znak
Współorganizator: nowohuckie centrum kultury
Partnerzy: TYGODNIK POWSZECHNY, ZNAK MIESIĘCZNIK

Braterska pomoc z Pekinu

MARTA SZPALA

Dzięki chińskim dostawom Serbia stała się liderem szczepień w Europie i dzieli się dawkami z sąsiadami. W tle toczy się geopolityczna rozgrywka.

OLIVER BUNIC / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Pierwszy transport chińskich szczepionek dotarł na lotnisko w Belgradzie, 16 stycznia 2021 r.

Gdy w grudniu 2020 r. kraje Unii Europejskiej przygotowywały się już do rozpoczęcia szczepień, na Bałkanach zastanawiano się, kiedy szczepionki trafią w ogóle do państw tego regionu. Namysły i obawy trapiły także Serbię.

Podobnie jak pozostałe kraje Bałkanów Zachodnich, władze w Belgradzie zamówiły wprawdzie szczepionki w ramach mechanizmu wspólnych zakupów COVAX (powołanego przez Światową Organizację Zdrowia i wspieranego finansowo przez Unię). COVAX miał zapewnić dostęp do szczepionek krajom biedniejszym, aby mogły zaszczepić przynajmniej najbardziej zagrożone grupy.

Obawiano się jednak powtórki z wiosny 2020 r., gdy Unia – na początku epidemii borykająca się z niedoborami – zakazała eksportowania na Bałkany sprzętu medycznego. Z zakazu wprawdzie szybko się wycofano, ale wątpliwości co do unijnej solidarności pozostały. Tym bardziej że wiele wskazywało, iż na szczepionki z COVAX trzeba będzie długo czekać.

Na własną rękę, za każdą cenę

Zaufanie Serbów do ich rządu zostało poważnie nadszarpnięte już podczas pierwszej fali epidemii. Na początku władze w Belgradzie żartowały sobie z koronawirusa, aby później – jak mówi mi dziś Ivana Jeremić, redaktorka portalu BalkanInsight.com – zarządzić bardzo ostre restrykcje, włącznie z wielodniowymi zakazami wychodzenia z domu. Służba zdrowia okazała się bowiem zupełnie nieprzygotowana, by poradzić sobie z kryzysem.

Potem, w maju, restrykcje zniesiono, powołując się na spadek liczby zakażeń – w gruncie rzeczy bardziej chodziło jednak o to, aby móc zorganizować wybory parlamentarne. W międzyczasie – przypomina Jeremić – portal BIRN ujawnił, że statystyki dotyczące zarażonych i zmarłych były zaniżane; początkowo rząd zaprzeczył, a potem tłumaczył się, że to wina systemu informatycznego.

W grudniu liczba chorych w Serbii – podobnie jak w całej Europie – dramatycznie wzrosła. Ale społeczeństwo, sceptyczne wobec działań rządu, było bardzo niechętne przywróceniu restrykcji. Władze nie chciały ryzykować dalszej utraty popularności w sytuacji, gdy perspektywa otrzymania szczepionek wciąż była odległa. Tym bardziej że na wiosnę 2022 r. zaplanowane są wybory prezydenckie i lokalne, a przy okazji władze chcą też zorganizować przedterminowe wybory parlamentarne.

W takich okolicznościach prezydent Aleksandar Vučić zadecydował o szukaniu szczepionek na własną rękę i za każdą cenę. Choć, wedle jego słów, łatwiej byłoby zdobyć bombę atomową.

Rosyjskie rozczarowanie

Serbia rozpoczęła negocjacje z konsorcjum Pfizer/BioNTech, ale szanse na dostawy szybkie i znaczące były niewielkie. Władzom udało się pozyskać jedynie 5 tys. dawek tej firmy. To, skąd pochodziły, jest owiane mgłą tajemnicy. Niemniej już 24 grudnia Serbia oficjalnie zaczęła proces szczepień – jako pierwsza w regionie, a przede wszystkim na kilka dni przed państwami Unii. Pierwsze dawki podano premier Anie Brnabić, minister pracy i głównemu epidemiologowi kraju – miało to przekonać społeczeństwo do szczepień.

Był to pierwszy sukces władz, a przynajmniej sukces wizerunkowy. Wszystko wskazywało jednak, że na kolejne przyjdzie poczekać. Serbia negocjowała ↦

↦ wprawdzie z Rosją i 31 grudnia otrzymała pierwszy transport szczepionki Sputnik V: 2,4 tys. dawek, do testów. Było to natomiast zdecydowanie za mało, aby rozpocząć masowe szczepienia.

Kilka dni później, 6 stycznia, podpisano umowę z Rosyjskim Funduszem Inwestycji Bezpośrednich na dostawę 2 mln dawek – co także przedstawiono jako sukces. Przy tej okazji zaszczepiono marszałka parlamentu i ministra spraw wewnętrznych. Obaj są znani z prorosyjskich poglądów i przyjmując szczepionkę, podkreślali swoją wiarę w rosyjską medycynę. Prezydent Vučić brylował w mediach, zapowiadając szybkie dostawy z Rosji.

Jednak hołdy serbskich polityków na nic się zdały – dostawy nie nadchodziły. Choć Rosja jako pierwsza zarejestrowała szczepionkę przeciw COVID-19, to miała duże problemy z uruchomieniem masowej produkcji. Tamta pierwsza i niewielka dostawa do Serbii miała raczej znaczenie propagandowe: Moskwa mogła pokazać, że zapewnia szczepionki państwom, które nie mogą liczyć na solidarność ze strony Unii.

Prezydent dziękuje narodowi Chin

Nie pierwszy to raz, gdy Serbia została wykorzystana w rosyjskiej kampanii przeciw Zachodowi. Tymczasem, choć oficjalnie relacje Belgradu z Moskwą są bardzo dobre, faktycznie są one pełne napięć i wzajemnych rozczarowań. Zupełnie inaczej niż relacje z Chinami.

Jak tłumaczy mi Vuk Vuksanović – ekspert z Belgradzkiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa – w ostatnich latach to właśnie Pekin zastąpił Moskwę w roli najbliższego sojusznika Serbii, mającego stanowić przeciwwagę dla Zachodu. W tym czasie Chiny dokonały w kraju znaczących inwestycji, realizując istotne dla Belgradu projekty infrastrukturalne (m.in. szybka kolej Belgrad–Budapeszt) czy dostarczając serbskiej armii zaawansowany sprzęt, w tym drony.

Dla prowadzącego pragmatyczną politykę prezydenta Vučicia bliska współpraca z Pekinem jest po prostu bardziej opłacalna. Dlatego – przypomina Vuksanović – już wiosną 2020 r. władze w Belgradzie wspierały Pekin w jego dążeniach do odbudowy pozytywnego wizerunku Chin, poważnie nadszarpniętego oskarżeniami o wywołanie globalnej pandemii.

> Gdy rozmawiam z moimi serbskimi znajomymi, w ich głosach wyczuwam dumę. Nareszcie ich państwo **okazało się sprawniejsze niż kraje Unii.**

Teraz dobre relacje zaprocentowały. 16 stycznia do Belgradu przyleciał transport z milionem szczepionek wyprodukowanych przez chińską firmę Sinopharm. Na lotnisku zjawił się osobiście prezydent Vučić w towarzystwie ministra zdrowia i pani Chen Bo, ambasador Chin w Belgradzie. Vučić podziękował chińskim przywódcom i narodowi Chin za okazaną pomoc. Wcześniejszym dostawom Sputnika V i szczepionki Pfizer/BioNTech nie towarzyszyła taka oprawa. Do połowy marca do Serbii trafiło łącznie 2 mln szczepionek Sinopharmu.

Kolejka do normalności

Trzy dni po otrzymaniu pierwszej dostawy z Chin, w 6,8-milionowej Serbii zaczęły się masowe szczepienia. Kraj szybko stał się europejskim liderem, zaraz za Wielką Brytanią: do 7 marca 16,5 proc. obywateli otrzymało co najmniej jedną dawkę, a 9,2 proc. – dwie dawki. To wskaźniki o wiele wyższe niż w państwach Unii (średnia dla tych krajów to 6,8 proc. populacji zaszczepionej przynajmniej jedną dawką, 3 proc. dwiema).

Wszyscy moi serbscy znajomi, z którymi rozmawiałam, bardzo sobie chwalą organizację szczepień. Większość jest już zaszczepiona. Jak mówi mi Jelica Minić z Belgradu, wszystko odbywa się szybko i sprawnie. Aby się zaszczepić, trzeba zarejestrować się telefonicznie lub przez internet, wskazując gminę, w której szczepionka ma być podana. Następnie system wysyła esemesa, gdzie i o której godzinie należy się stawić. Władze postawiły na efektywność, więc zdarzają się nieprawidłowości: media donosiły, że zaszczepiło się wiele osób z państw sąsiednich. Nie wpływa to jednak na ogólną ocenę procesu szczepień.

Przy rejestracji można było zadeklarować, którą z pięciu szczepionek dana osoba chciałaby przyjąć. Ivana Jeremić wyjaśnia mi, że możliwość wyboru miała kluczowe znaczenie dla przekonania społeczeństwa do szczepień: jeśli ktoś miał wątpliwości wobec preparatów z Chin i Rosji, mógł po prostu czekać na dostawy preparatów zachodnich.

Początkowo, jak mówi mi Jeremić, Serbowie byli sceptyczni wobec szczepionek, a wybór preparatu był jednocześnie manifestem światopoglądowym. Zainteresowanie chińską szczepionką było niskie – chciało się nią zaszczepić tylko 6,5 proc. Zdecydowana większość wybrała preparaty zachodnie lub Sputnik V. Także rząd chyba obawiał się, że nieufność wobec chińskiego produktu może zagrozić procesowi szczepień. W związku z tym w pierwszych dniach zaszczepić mógł się ten, kto chciał. Szczepiono też służby mundurowe.

Zainteresowanie okazało się jednak bardzo duże. Przed halą targów w Belgradzie, gdzie zorganizowano największy punkt szczepień, tworzyły się długie kolejki. Wszyscy mówili to samo: że chcą wreszcie wrócić do normalnego życia, zobaczyć się z wnukami czy przyjaciółmi.

Zresztą, jak mówi Vuk Vuksanović, Serbowie za bardzo nie mieli wyboru – w praktyce dostępny był wtedy tylko chiński preparat.

Dyplomacja szczepionkowa

W lutym do Belgradu zaczęły wreszcie trafiać szczepionki Pfizer/BioNTech i AstraZeneca (łącznie prawie 400 tys. dawek). Również Rosja przyśpieszyła dostawy, przesyłając ponad 240 tys. dawek.

Szczepionek było na tyle dużo, że Serbia zaczęła się dzielić nimi z sąsiadami. Jak mówi mi Adnan Ćerimagić z European Stability Initiative, prezydent Vučić wykorzystał tę okazję, aby pokazać, że Serbia jest konstruktywnym liderem regionu, który pomaga w potrzebie.

Dostawy te nie były znaczące: przekazano, a właściwie odsprzedano, po 8-10 tys. dawek do każdego z krajów. Umożliwiło to jednak zaszczepienie tam części personelu medycznego. Było to też istotne wsparcie dla władz tych państw, atakowanych przez opozycję za nieudolność. O ile więc na Bałkanach Serbia kojarzona jest raczej z ingerencjami w sprawy wewnętrzne sąsiadów – często

ANDREJ ISAKOVIC / AFP / EAST NEWS

Hala belgradzkich targów, gdzie zorganizowano największy w kraju punkt szczepień, 25 stycznia 2021 r.

przy wykorzystaniu licznej tam mniejszości serbskiej – to tym razem było zupełnie inaczej. Przekazując szczepionki do Bośni i Hercegowiny, Vučić przyleciał do Sarajewa, a nie do Banja Luki (stolicy bośniackich Serbów). Na lotnisku spotkał się z przedstawicielami wszystkich trzech narodów tworzących BiH, co odebrano jako mocny sygnał wsparcia dla jedności tego państwa. Szczepionki z Serbii trafiły też do Macedonii Północnej i Czarnogóry.

Z sukcesu Serbii korzysta również mniejszość serbska z wszystkich państw regionu – jej członkowie posiadają najczęściej podwójne obywatelstwo. Zorganizowano też specjalne szczepienia dla personelu medycznego z Republiki Serbskiej w Bośni i Hercegowinie oraz dla mniejszości mieszkającej w Kosowie.

Co ciekawe: Belgrad, który najczęściej nie przepuści żadnej okazji, by dopiec Prisztinie, tym razem unika krytyki pod adresem władz Kosowa – swojej byłej prowincji, której niepodległości nie uznaje. Kosowo to jedyny kraj regionu, który dotąd nie zaczął szczepień.

Wątpliwości

Choć skuteczność Belgradu w zabieganiu o szczepionki może budzić podziw, to u źródeł tego sukcesu leży także bardzo scentralizowany i niedemokratyczny system sprawowania władzy.

Serbska Agencja Leków i Produktów Medycznych dopuściła szczepionki z Chin i Rosji w ekspresowym tempie, opierając się na dokumentacji dostarczonej przez producentów. Gdy w Serbii rozpoczynano szczepienia, ich skuteczność i możliwe efekty uboczne nie zostały jeszcze dobrze przebadane. W samych Chinach szczepionka Sinopharmu uzyskała jedynie warunkową zgodę na wprowadzenie do obrotu – i to zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Zamówienia składano z pominięciem procedur, szczegóły zaś dotyczące ceny poszczególnych preparatów, a także warunków i terminów dostaw nie są podawane do wiadomości publicznej.

W państwach bardziej demokratycznych władze obawiały się zamawiać preparaty, które nie zostały do końca przebadane. Właśnie dlatego Serbii udało się uzyskać tak znaczne ilości chińskiego produktu – na początku stycznia niewiele krajów było nim zainteresowanych. Trudno też oszacować, jakim obciążeniem dla budżetu będzie zakup szczepionek.

Jednak władze w Belgradzie nie muszą obawiać się ani trudnych pytań ze strony mediów (bo mają je pod swoją kontrolą), ani krytyki opozycji (pozbawionej parlamentarnej reprezentacji). W normalnych czasach podporządkowanie instytucji państwa woli właściwie jednego człowieka – prezydenta Vučicia – budziłoby protesty. W czasach pandemii umożliwiło szybkie podjęcie ryzykownych decyzji.

Rozgrywki geopolityczne

Na razie wydaje się, że ryzyko podjęte przez Vučicia się opłaciło. Z danych udostępnionych przez serbski rząd wynika, że niepożądanych odczynów poszczepiennych było niewiele i miały lekki przebieg. Pozycja międzynarodowa Serbii została wzmocniona. Forsowana przez elity rządzące polityka utrzymywania dobrych relacji zarówno ze Wschodem, jak Zachodem – choć krytykowana przez Unię i USA – przyniosła Serbii konkretne profity.

Jednocześnie, zamawiając szczepionki w Chinach i Rosji, Belgrad otworzył im drogę na europejskie rynki. Pozytywne doświadczenia Serbów skłoniły do składania zamówień w Pekinie i Moskwie nie tylko państwa bałkańskie, ale także niektóre kraje Unii, jak Węgry i Słowację. Belgrad liczy tu na chińską i rosyjską wdzięczność. Już ogłoszono, że Rosja rozważa uruchomienie w Serbii produkcji szczepionek. Jeśli ten plan się powiedzie, byłby to pierwszy znaczący rosyjski projekt w tym kraju od wielu lat. I przełożyłby się zapewne na wzmocnienie wpływów Rosji.

Belgrad poprawił też swoje relacje z państwami regionu. Adnan Ćerimagić uważa, że dyplomacja szczepionkowa może też pozytywnie wpłynąć na percepcję Serbii w Waszyngtonie: Vučić, do niedawna bliski sojusznik Donalda Trumpa, ma obawiać się nowej administracji USA, która zapowiada, że nie będzie tolerować łamania praw człowieka i zasad demokracji. Na amerykańskim celowniku mogą znaleźć się też bliskie relacje Belgradu z Pekinem. Wizerunek gracza konstruktywnego i współpracującego ma uchronić Serbię przed krytyką Joego Bidena.

Unia: wielki przegrany

Vuk Vuksanović uważa, że największym przegranym obecnej sytuacji jest Unia Europejska. Po raz kolejny pozwoliła, aby w regionie, który jest przecież dla niej bardzo ważny, wzmocniły się wpływy Pekinu (i to stosunkowo niewielkim kosztem), a być może także Rosji.

Adnan Ćerimagić przyznaje wprawdzie, że w 2020 r. Unia udzieliła Bałkanom ↦

↦ znacznego wsparcia w przygotowaniach do organizacji samego procesu szczepień: przekazano sprzęt medyczny, w tym lodówki do przechowywania szczepionek. Jednak z punktu widzenia zwykłych obywateli tamto wsparcie jest niewidoczne. Natomiast widoczna i odczuwalna jest dziś pomoc Chin. Już w marcu 2020 r. prawie 40 proc. Serbów uznawało Chiny za największego na świecie donatora pomocy rozwojowej. W obecnej sytuacji ten wskaźnik najprawdopodobniej jeszcze wzrośnie.

Choć więc na koniec znaczną część szczepionek dla Bałkanów sfinansuje Unia, która jest największym donatorem mechanizmu COVAX, to dzisiaj – jak wskazuje Ćerimagić – mieszkańcy krajów bałkańskich po raz kolejny mają poczucie, że zostali przez Unię opuszczeni. Trudno będzie tutaj odbudować jej pozytywny wizerunek.

Skutki uboczne

Gdy rozmawiam z serbskimi znajomymi, w ich głosach wyczuwam dumę. Nareszcie ich państwo okazało się sprawniejsze i bardziej efektywne niż te należące do Unii, a dodatkowo pomaga swoim sąsiadom. Przyznają to nawet ci, którzy są bardzo krytyczni wobec władz w Belgradzie. Sukces Serbii opisywany jest w gazetach na całym świecie.

Dla władz to dobry prognostyk przed przyszłorocznymi wyborami. Sprawny proces szczepień będzie zapewne głównym tematem kampanii.

Na razie jednak rząd ma inny, ważniejszy problem: szybkie szczepienia spowodowały dość nieoczekiwane „skutki uboczne" – wielu Serbów poczuło się na tyle bezpiecznie, że zaczęli nagminnie ignorować restrykcje. Prezydent ciągle przypomina, że statystyki zakażeń są wysokie, że nabycie odporności zbiorowej musi potrwać, i że wciąż nie zaszczepiono wystarczającej liczby osób, aby móc powrócić do normalnego życia.

© MARTA SZPALA

KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ x2

40-letni Wadim Bektemirow został aresztowany w lipcu 2020 r. Na zdjęciu w policyjnym aucie podczas transportu do sądu.

Na sąsiedniej stronie: rankiem 17 lutego 2021 r. funkcjonariusze rosyjskich służb zatrzymali kolejnych sześciu Tatarów; większość to działacze Krymskiej Solidarności i Krymskiego Dzieciństwa – organizacji samopomocowych. Na zdjęciu: akcja FSB w Symferopolu.

Zakładnicy Putina

NIKOŁAJ POŁOZOW, PRAWNIK, OBROŃCA W PROCESACH POLITYCZNYCH:

Kreml uważa Półwysep Krymski za teren, który trzeba kolonizować, a Tatarów za kogoś w rodzaju Aborygenów.

MONIKA ANDRUSZEWSKA: Dlaczego Ty, Rosjanin, pomagasz Tatarom Krymskim?

NIKOŁAJ POŁOZOW: Właśnie dlatego, że jestem Rosjaninem, który ma głębokie poczucie niesprawiedliwości, gdy patrzy na to, co się dzieje na Krymie. Mój kraj to agresor, który zaatakował sąsiada i zabrał mu ziemię.

To moje prywatne zadośćuczynienie dla Ukrainy i dla narodu Tatarów Krymskich – zadośćuczynienie od normalnych, świadomych Rosjan dla tych, którzy tyle wycierpieli od naszego państwa. Rosja to mój kraj, więc uważam, że te represje to pośrednio także moja wina. Nie mogłem w 2014 r. powiedzieć Putinowi, żeby nie okupował Krymu. Ale mogę choć spróbować wesprzeć słabych w walce z imperialistycznym mocarstwem.

Jak to się zaczęło? Masz jakieś związki z Krymem, np. rodzinne?

Nie, żadnych. Przed aneksją byłem tam ostatni raz w 1994 r., jeszcze jako dziecko. Pierwszym Tatarem Krymskim, którego poznałem, był Mustafa Dżemilew, lider Medżlisu [utworzone w 1991 r. przedstawicielstwo Tatarów Krymskich, w 2016 r. zdelegalizowane przez rosyjskie władze; dziś działa na emigracji – red.]. Gdy zaczęła się aneksja, jego syn Chajzer przebywał w symferopolskim areszcie. W 2013 r. zabił człowieka, jak twierdzi przypadkowo – wystrzelił przez okno z wiatrówki i trafił w głowę. Kiedy zaczęła się okupacja półwyspu, sprawa przeszła w ręce rosyjskiej władzy, a Chajzera wywieziono do Rosji, do Krasnodaru.

Jako zakładnika.

Tak, dokładnie. Chodziło o to, by mieć haka i możliwość szantażu wobec Mustafy, przywódcy Tatarów Krymskich. Oburzyło mnie to. To była moja pierwsza „tatarska" sprawa. Potem, w 2016 r., wziąłem się za obronę Achtema Czyjhoza, innego lidera Medżlisu. Pojechałem na aneksowany Krym, który sprawił na mnie upiorne wrażenie. Decyzja, aby bronić obywateli Ukrainy, którzy wpadli w łapy Kremla, była dla mnie czymś naturalnym.

Rosyjskie władze uważają, że żyjący na Krymie to obywatele Rosji. W 2019 r. Putin ogłosił dekret, dający mieszkańcom Krymu i Donbasu możliwość otrzymania rosyjskiego obywatelstwa w przyspieszonym trybie. Wiele osób się zgadza, bo nie są w stanie tam normalnie żyć na ukraińskich papierach. Ty podkreślasz, że to obywatele Ukrainy.

Gdybym powiedział, że to nie są obywatele Ukrainy, bo mają rosyjskie pasz-

porty, te osoby od razu straciłyby ukraińską pomoc konsularną i szansę np. na udział w wymianie jeńców. Więźniowie polityczni to obywatele Ukrainy, zakładnicy Kremla. Krym to okupowane ukraińskie terytorium. Dzisiejsza putinowska Rosja ma wszelkie cechy faszystowskiego reżimu.

Mówisz to wprost? Tak zapisać?

Uważam, że prawa człowieka są ważniejsze niż państwo. A dzisiejsza Rosja przypomina Włochy Mussoliniego – rola państwa jest maksymalnie wyolbrzymiona, a rola jednostki zminimalizowana do zera.

Jak to się przejawia w przypadku Tatarów?

Kreml uważa półwysep za teren, który trzeba kolonizować, a Tatarów za kogoś w rodzaju Aborygenów. Chce zbudować lojalność wobec kolonizatora. Gdyby Medżlis pogodził się z aneksją, to nie byłoby represji. Ale postawa Tatarów Krymskich jest jednoznaczna i to oczywiste, dlaczego: ten naród jest niszczony przez Rosję od kilkuset lat. Ludzie, którzy walczyli, aby wrócić do domu po deportacji z 1944 r. [na rozkaz Stalina deportowano wtedy z Krymu do Kazachstanu lub na Syberię cały naród krymskotatarski – red.], nigdy nie zgodzą się na okupację. Dla nich Putin i Stalin niczym się nie różnią. I są prześladowani za nielojalność wobec państwa w rosyjsko-sowieckim rozumieniu.

Rosyjskie władze chcą zniszczyć Tatarów Krymskich jako naród?

Podam taki przykład. Reprezentuję Enwera Omerowa. On ma 59 lat, został skazany na 19 lat więzienia. Z jego rodziny Rosja zabrała wszystkich mężczyzn. Trzy lata temu skazali jego zięcia, potem Enwera i jego syna. Tak jest w wielu rodzinach. Pewien porządek życia społeczności został zburzony. Ale nie, celem Rosji nie jest zniszczenie Tatarów Krymskich jako narodu. Celem jest zniszczenie ich sprzeciwu. To nie są już czasy Związku Sowieckiego, Putin nie może po prostu znowu zapakować Tatarów do pociągów i wysłać do Azji. I nie musi, prościej jest wziąć jako zakładników głowy rodzin. Władza buduje atmosferę strachu.

Np. tydzień temu poinformowano, że w ciągu roku aresztowano w Rosji 450 szpiegów. To co, łapią ponad jednego szpiega dziennie? To pasuje do retoryki, że musimy tyle pieniędzy budżetowych wydawać na utrzymanie służb, bo walczymy z wrogiem wewnętrznym. A w dodatku na Krymie czyhają straszni brodaci muzułmanie. Taką samą manipulację praktykowano już na Kaukazie.

Tatarów Krymskich często oskarża się o przynależność do religijno-społecznego ruchu Hizb-ut-Tahrir, który na Ukrainie działa legalnie, ale w Rosji jest zakazany od 2003 r. Czytelnicy często pytają mnie, ile jest prawdy w tych zarzutach.

Czy Krymscy Tatarzy to muzułmanie? Tak. Czy na Krymie działa Hizb-ut-Tahrir? Działa. Ale czy przeprowadzili kiedyś jakiś atak terrorystyczny? Nie, nigdy. 25 lat to chyba wystarczający czas, aby zobaczyć, że ci ludzie nie są niebezpieczni. A tu nagle, od momentu aneksji Krymu, gdzie nie spojrzeć – wszędzie terroryści, niby szykujący zamachy!

↦

Siedem lat pod okupacją

W SYTUACJI PÓŁWYSPU Krymskiego, który w marcu 2014 r. został zajęty przez Rosję, stale zmienia się tylko jedno: liczba więźniów politycznych. W rosyjskich więzieniach i aresztach przebywa dziś co najmniej 81 Tatarów Krymskich i kilkunastu Ukraińców z Krymu. Sądy skazują ich w pokazowych procesach na wysokie wyroki, nawet kilkunastoletnie. Zachodni świat uważa ciągłe aresztowania za represje na tle politycznym, ale nie jest w stanie ich powstrzymać.

Krymscy więźniowie mają zaskakującego na pozór sprzymierzeńca: jest nim Nikołaj Połozow, 40-letni prawnik z Moskwy. Więźniów politycznych zaczął bronić w 2011 r. – po protestach, które wybuchły wówczas po sfałszowanych wyborach parlamentarnych. Bronił rosyjskich opozycjonistów (w tym Aleksieja Nawalnego), reprezentował grupę feministyczną Pussy Riot, ukraińską pilotkę Nadzieję Sawczenko i ukraińskich marynarzy wziętych do niewoli w Cieśninie Kerczeńskiej w 2018 r.

Z czasem jego specjalizacją stali się więźniowie z Półwyspu Krymskiego. Połozow ma za sobą kilkanaście spraw „tatarskich". Często pracuje *pro bono*, bo ubogie rodziny krymskotatarskie są jego zdaniem już dość doświadczone, aby dodatkowo brać od nich pieniądze. Tatarzy Krymscy, z którymi rozmawiałam o Połozowie, nazywają go bratem.

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Nikołaj Połozow w restauracji Czeburek, założonej w Kijowie przez uchodźców z Krymu. 27 lutego 2021 r.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

z Kijowa

↦ **Jednak Hizb-ut-Tahrir jest zakazany choćby w Niemczech.**

Jeśli stworzysz tam komórkę tej organizacji, przyjedzie policja i cię aresztuje. Ale będziesz mieć prawo do obrony, nikt nie będzie naruszał twoich praw obywatelskich. Jeśli nie dowiodą twojej winy, wypuszczą cię. A na Krymie zamykają wszystkich z automatu. Mogą wybrać absolutnie przypadkowych Tatarów i oskarżyć: ty jesteś Hizb, ty jesteś ISIS, a ty jesteś Al-Kaida. Kto powinien dostrzegać takie nadużycia? Sąd. Ale w Rosji prawdziwych sądów nie ma. Niezależnie od oficjalnego trójpodziału władzy, sąd pełni u nas faktycznie podobną funkcję co prokuratura i wykonuje polityczne zlecenia.

Również nasz system penitencjarny nie działa tak, jak w normalnych krajach. W Rosji ma on złamać osobowość więźnia. Aby udowodnić winę, wykorzystują utajnionych świadków, którzy współpracują z FSB. Niedawno broniłem Lenura Ismajlowa, szefa krymskotatarskiej telewizji ATR. Jest oskarżony o wysadzanie stacji elektrycznych. Świadek powiedział, że w nocy, w światłach samochodu, zobaczył 50 metrów przed sobą Ismajlowa i usłyszał, jak ten mówi: „Trzeba iść wysadzić te anteny". Takie zeznania wymykają się logice. W dodatku funkcjonariusze FSB nie przestrzegają nawet rosyjskiego prawa. Sam tego doświadczyłem.

Jak?

W ciągu 10 lat pracy adwokackiej już trzy razy próbowali mnie zamknąć.

Pierwszy raz to był rok 2011. Broniłem Siergieja Udalcowa, komunistycznego rosyjskiego opozycjonisty. Był jednym z liderów ówczesnych protestów, obok Borysa Niemcowa [działacz demokratyczny, zamordowany w 2015 r. – red.] i Aleksieja Nawalnego. Skazywali go w kółko na 30 dni aresztu. Wychodził, natychmiast zatrzymywał go patrol, mówili np.: „Nieprawidłowo przeszedłeś przez ulicę" – i znowu dawali 30 dni. Zarzucono mi, że wyrwałem strony z dokumentacji i następnie przekazałem opozycyjnemu posłowi, który je zjadł. Groziła mi sprawa za utrudnianie śledztwa. Na szczęście miałem zdjęcia dokumentów do porównania. Z nich wynikało, że stron na apelacji było więcej niż wcześniej. Mogłem więc najwyżej coś dokleić...

Drugi raz chcieli mnie zamknąć na Krymie, w 2016 r., za wpis na Facebooku o sprawie Achtema Czyjhoza. Napisałem, że o ile Czyjhoz zachowuje się mężnie, to prokurator, który go oskarża, nikczemnie.

Tydzień temu podano, że w ciągu roku aresztowano w Rosji 450 szpiegów. **To co, łapią ponad jednego szpiega dziennie?**

Ostatni raz to było przy sprawie kolejnego lidera Medżlisu, Ilmi Umerowa. A żeby on nie miał swojego obrońcy, organy śledcze postanowiły uczynić mnie świadkiem, choć jestem przecież adwokatem. To niezgodne z prawem, od razu się odwołałem. Co nie przeszkodziło służbom w zatrzymaniu mnie.

Jak wyglądało to zatrzymanie?

Przed hotelem w Symferopolu podbiegło dwóch funkcjonariuszy FSB. Rzucili mnie na tylne siedzenie busika. Pomyślałem, że wywiozą mnie do lasu i wykończą. Przedstawili mi zarzut: „odmowa złożenia zeznań". Jeśli świadek odmawia zeznań w sprawie karnej, to również mogą go zamknąć. Ale szybko odzyskałem trzeźwość umysłu, zapytałem o podstawy prawne. Okazało się, że ich nie ma, dokumenty są bez podpisów. „Więc to, co teraz robicie, to porwanie" – zauważyłem. Kilka godzin później mnie wypuścili.

Pomaga mi znajomość prawa. I to, że wiem, gdzie są czerwone linie.

Niedawno założyłeś w Kijowie praktykę adwokacką Połozow i Partnerzy. Liczysz się z tym, że nie będziesz mógł wykonywać zawodu w Rosji?

O tym zadecydowało kilka czynników. Dziś jestem bardziej znany na Ukrainie i w ogóle za granicą niż w Rosji. W Rosji żadne medium nie może mnie nawet zaprosić. Ponadto firma koordynuje sprawy, które ja przejmuję potem na Krymie. Np. rok temu w Rosji wprowadzono ustawę, że cudzoziemcy nie mogą posiadać ziemi przy granicach. Czyli na całym krymskim wybrzeżu. Ludzie, którzy uciekli na Ukrainę kontynentalną z półwyspu, tracą tam prawo własności. Takich działek jest co najmniej 10 tys., rozwiązujemy takie problemy.

W Rosji nigdy nie wiesz, co będzie jutro. A dopóki putinowski reżim trzyma władzę, jestem jego przeciwnikiem. Staram się bywać na Ukrainie jak najczęściej. Kiedy przekraczam granicę, czuję się, jakbym miał na plecach ciężar ważący tonę. Odczuwam cały ciężar tego państwa. Gdyby nawet Putina wymienił ktoś inny, to nasz naród i tak zrobi z niego potwora wedle swojego życzenia. Bo Rosjanie potrzebują potworów. Ja we własnej ojczyźnie żyję na wewnętrznej emigracji.

Ktoś mógłby zapytać, czy nie kochasz swojego kraju.

Co to jest kraj? Przyroda? Piękna stolica? Czy raczej ludzie? Bez ludzi to tylko teren. A ludzie są skażeni imperialistycznymi ideami Wielkiej Rosji. Władzę trzymają czekiści i bandyci. To efekt braku lustracji jeszcze z czasów Jelcyna. W Rosji nie było desowietyzacji, destalinizacji. A ja czuję się człowiekiem przyszłości, z czasów, gdy nasze społeczeństwo będzie już zdrowe.

Co dalej?

Będzie coraz gorzej. Putinowski reżim będzie zabijał ludzi. Aneksja Krymu pozbawiła władzę ostatnich hamulców. A większość obywateli Rosji wspiera Putina.

Mówi się, że w głośniejszych sprawach politycznych, jak przywódców Medżlisu, decyzja o ich uwolnieniu należała bezpośrednio do Putina. Myślisz, że on wie, kim jesteś?

Jeśli sprawdzał, kto był ich prawnikiem. Ale dla niego jestem ziarnkiem piasku poza obszarem zainteresowań. Wystarczy, by ruszył brwiami, a zostanę zniszczony.

Boisz się?

Długo żyłem iluzją, że pewna popularność daje gwarancję bezpieczeństwa. Po skazaniu Nawalnego nie ma już wątpliwości. Okazuje się, że można ludzi truć i zamykać na oczach świata. Tydzień temu wychodziłem z domu. Niedaleko stał samochód Komitetu Śledczego. Pomyślałem: „Dzięki Bogu, że to nie przed moim wejściem". Jestem Rosjaninem, ale teraz czuję się tak jak Tatar Krymski, po którego służby mogą przyjść nad ranem. Ten strach jednak nie paraliżuje, on daje siłę do dalszej walki. Jeśli Rosja jest dziś Sodomą i Gomorą, to staram się być jednym z dziesięciu sprawiedliwych. Może dzięki temu uratuję też innych?

© Rozmawiała w Kijowie
MONIKA ANDRUSZEWSKA

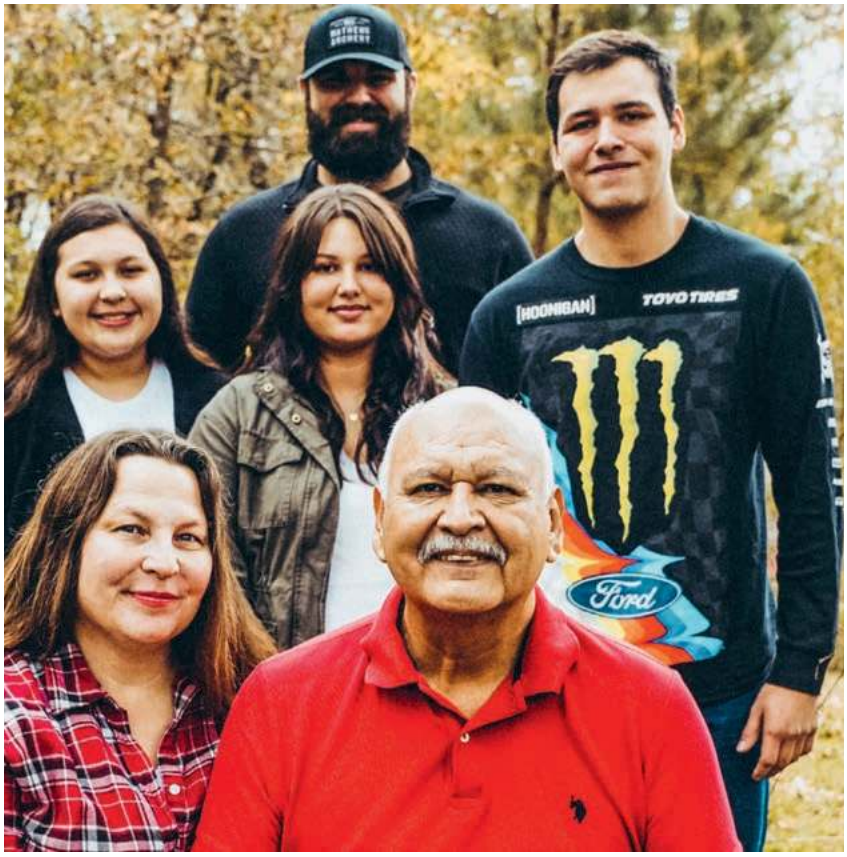

ARCHIWUM PRYWATNE

JOHN ROSS JR. *(w czerwonej koszuli, wraz z rodziną): Jest mi wstyd, że gdy zmarli moi przyjaciele, nie byłem na ich pogrzebie. Mam 66 lat i bałem się złapać koronawirusa.*

Czirokezi walczą z czasem

MARTA ZDZIEBORSKA

W dotkniętych epidemią indiańskich rezerwatach w USA przynajmniej jedno idzie sprawnie: niektóre plemiona zaszczepiły już ponad połowę swoich członków.

Władze plemienia ze stanu Oklahoma postanowiły działać szybko. Gdy tylko otrzymały szczepionki przeciwko koronawirusowi, od razu ustaliły priorytety. Oprócz pracowników służby zdrowia, jako pierwsi zastrzyk dostali członkowie plemienia, którzy ukończyli 65 lat, a także ci, którzy znają biegle język czirokeski.

Śmierć tych ostatnich boli najbardziej, bo w całych Stanach żyje już tylko ok. 2 tys. czirokeskich „native speakerów".

Kwestia odpowiedzialności

Przez pandemię John Ross Junior stracił już kuzyna i kilku przyjaciół po sześćdziesiątce. Tak jak on należeli do grupy Speakers Bureau, zrzeszającej najstarszych członków plemienia Czirokezów z Oklahomy, które w tym stanie liczy 141 tys. osób.

Jeszcze rok temu Indianie spotykali się raz w miesiącu w mieście Tahlequah, gdzie znajduje się siedziba władz plemiennych. – To była jedna z nielicznych okazji, gdy mogłem swobodnie porozmawiać w moim rodzimym języku – mówi ze smutkiem 66-letni John, który pochodzi z rodziny przywiązującej dużą wagę do tradycji. Z dumą podkreśla, że jego przodkiem był XIX-wieczny wódz John Ross. Rodzice dali mu imię właśnie na jego cześć.

– Podczas tych spotkań wspominaliśmy czasy, gdy w rodzinnym domu mówiło się tylko po czirokesku, a języka angielskiego uczyło się dopiero w szkole. Jest mi wstyd, że gdy moi przyjaciele zmarli na COVID-19, nie byłem nawet na ich pogrzebie. Bałem się złapać koronawirusa i dla bezpieczeństwa wolałem zostać w domu. Ale tu nie chodzi o mnie. Ciąży na mnie duża odpowiedzialność – przekonuje John, który pracuje jako plemienny tłumacz.

To właśnie on przełożył na czirokeski ulotki informacyjne o dostępnych w rezerwacie szczepionkach Moderny, Pfizera i Johnson&Johnson. Indianin od lat tłumaczy też podręczniki szkolne, dokumenty urzędowe i teksty znanych czirokeskich pisarzy. Nic dziwnego, że John był jednym z pierwszych zaszczepionych członków plemienia. Drugą dawkę preparatu Pfizera dostał już 7 stycznia.

Epidemiolog chwali wodza

Wśród Czirokezów szczepienia przebiegają sprawnie. Pod koniec lutego rozpoczęli już trzecią fazę dystrybucji, która obejmuje wszystkich członków plemienia powyżej 16. roku życia. Jak podaje CNN, do początku marca obie dawki szczepionki dostało 11 proc. czirokeskiej populacji w Oklahomie. To lepszy wynik niż średnia dla całych Stanów, która w tamtym okresie wynosiła 8,4 proc. społeczeństwa.

Jeszcze na początkowym etapie szczepień, gdy dystrybucja preparatów w wielu stanach szła opornie, indiańskie plemiona przedstawiane były jako ich liderzy. Amerykańskie media rozpisywały się na temat szybkiego tempa szczepień w rezerwatach na Alasce, w Dakocie Południowej, a także wśród 170-tysięcznego plemienia Nawahów.

Ci ostatni do początku marca zaszczepili pierwszą dawką ponad połowę członków plemienia. Pod względem tempa wakcynacji Nawahowie, których rezerwat rozciąga się na terenie Arizony, Utah i Nowego Meksyku, biją na głowę władze stanowe. Dla porównania w ponad dwumilionowym Nowym Meksyku do końca lutego pierwszą dawkę otrzymało 25 proc. ludności, a w liczącej ponad 7 mln mieszkańców Arizonie – prawie 16 proc.

Plemię Nawahów wyróżnia się także pod względem pandemicznych restrykcji. W ich rezerwacie od miesięcy obowiązuje nakaz pozostania w domu ↦

↦ i trwająca od godziny 21 do 5 rano godzina policyjna. Wódz plemienia Jonathan Nez jest chwalony za swoje działania nawet przez najsłynniejszego amerykańskiego epidemiologa Anthony'ego Fauciego.

To zwrot o 180 stopni w porównaniu z majem zeszłego roku, gdy sytuacja w rezerwacie była dramatyczna. Pod względem liczby zakażeń w przeliczeniu na jednego mieszkańca Nawahowie wyprzedzili nawet stan Nowy Jork, królujący w epidemicznych statystykach. Koronawirus miał w rezerwacie dobre warunki, aby się rozpędzić: jedna trzecia mieszkańców nie ma dostępu do bieżącej wody i dobrej opieki medycznej. Wielu choruje na cukrzycę, ma problemy z sercem, cierpi na choroby płuc. Sytuację pogarsza bieda, niemal 40-procentowe bezrobocie i słaba infrastruktura.

O tym, jak zabójcza dla Indian stała się epidemia, przypominają przygnębiające statystyki. Według danych amerykańskiego Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, z powodu COVID-19 Indianie umierają niemal dwukrotnie częściej niż biali i półtora raza częściej niż czarnoskórzy Amerykanie.

Prezes Pfizera u Nawahów

Jak to się stało, że poturbowane przez pandemię indiańskie plemiona szczepią niekiedy w szybszym tempie niż władze stanów i hrabstw, na terenie których znajdują się ich rezerwaty?

W dużej mierze to zasługa scentralizowanego systemu dystrybucji, którym zarządza agencja federalna Indian Health Service. Choć instytucja ta, odpowiedzialna za opiekę medyczną w rezerwatach, jest chronicznie niedofinansowana, to w przypadku szczepień okazała się całkiem skuteczna. Sekret tkwi w krótszym łańcuchu dystrybucji: większość plemion nie musi czekać, aż władze stanowe rozdzielą szczepionki między hrabstwa, tylko otrzymuje je bezpośrednio od rządu federalnego.

Według analizy radia publicznego NPR, plemiona, które zdecydowały się na dystrybucję za pośrednictwem Indian Health Service, dostają szczepionki szybciej niż Indianie, którzy wybrali współpracę z władzami stanowymi. Dla przykładu plemiona Saliszów i Kutenajów z Montany dostawały ze stanowych magazynów 200 szczepionek tygodniowo, podczas gdy Apacze z Arizony, korzystający ze wsparcia Indian Health Service, otrzymywali niemal tyle samo preparatów dziennie.

Skuteczna dystrybucja to nie wszystko. Przepisem na sukces jest też sprawny system rejestracji na szczepienia. Zamiast polegać na zapisach przez internet, władze plemienne umawiają pacjentów przez telefon, angażując do tego wolontariuszy posługujących się rodzimym językiem. Niektórzy wodzowie, jak Jonathan Nez z rezerwatu Nawahów, do promocji szczepień zwerbowali amerykańskie sławy: Nez pozyskał wspomnianego już Fauciego, prezesa koncernu Pfizer Alberta Bourlę i Laurę Hammitt, ekspertkę ds. chorób zakaźnych na prestiżowym Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Już na kilka miesięcy przed rozpoczęciem dystrybucji prominentni goście uczestniczyli w spotkaniach online, podczas których odpowiadali na pytania Nawahów dotyczące szczepionek.

Pamiętając o historii

Chuck Sams, koordynator ds. walki z COVID-19 w rezerwacie Umatilla w Oregonie, podszedł do sprawy metodycznie. W rozmowie z „Tygodnikiem" tłumaczy, że zachęcał do szczepień w mediach społecznościowych, wysyłał do członków plemienia maile i organizował audycje w lokalnej stacji radiowej. Aby przekonać ludzi do przyjęcia preparatu, odwoływał się też do historii: przypominał mieszkańcom, że ich przodkowie często byli dziesiątkowani przez epidemie. Najbardziej tragiczne skutki przyniosła zaraza czarnej ospy, która w ciągu 80 lat – w latach 1780–1860 – zabiła aż 95 proc. członków plemienia. Drugim trudnym okresem była epidemia grypy hiszpanki.

– Przygotowując się do dystrybucji szczepień w rezerwacie, dzwoniłem do najstarszych członków plemienia, których bliscy żyli na początku wieku XX i pamiętali ten trudny dla nas czas – mówi Chuck Sams.

Chuck przyznaje, że promocję szczepień utrudnia ograniczone zaufanie Indian do rządu federalnego i finansowanej przez niego opieki medycznej w rezerwatach. To efekt m.in. prowadzonej przez rząd USA masowej sterylizacji indiańskich kobiet w latach 70. XX w.

– Nasi liderzy apelowali do mieszkańców, by nie rozpamiętywali dawnych krzywd i skupili się na teraźniejszości – podkreśla Sams. – Od tego, czy przyjmiemy teraz szczepionkę, być może zależy los naszego plemienia – dodaje i przekonuje, że władze rezerwatu są na dobrej drodze, by zaszczepić 70 proc. mieszkańców. Tyle osób zgłosiło do tej pory chęć przyjęcia preparatu.

Według statystyk z początku marca, obie dawki szczepionki na koronawi-

POŻEGNANIE

W tym roku mija 10 lat od czasu, kiedy odeszli nasi Przyjaciele

Prof. dr hab. Anna Teresa Kulczycka-Leciejewiczowa
(1934–2011)

Prof. dr hab. Lech Leciejewicz
(1931–2011)

archeolodzy zasłużeni dla polskiej nauki i kultury.

Msza św. w Ich intencji zostanie odprawiona w kościele pw. św. Augustyna we Wrocławiu w niedzielę, 21 marca 2021 r., o godz. 19.00.

Zostaje pamięć

M. i M.

rusa otrzymało 1047 osób, czyli połowa mieszkańców rezerwatu. Chuck Sams mówi, że na szczepienie przyjechała nawet jego 20-letnia córka, studiująca na co dzień w południowej Kalifornii. Na swoją kolej w tym niemal 40-milionowym stanie czekałaby dłużej: kalifornijskie władze są na etapie szczepienia grup priorytetowych, w tym osób powyżej 65. roku życia, nauczycieli i osób obciążonych poważnymi chorobami. Według danych z 8 marca, pierwszą dawkę szczepionki dostało ponad 18 proc. mieszkańców Kalifornii, a obie dawki – 8,5 proc.

Chuck Sams zaznacza, że w rezerwacie Umatilla priorytetem jest teraz zaszczepienie nastolatków, wśród których poszybowała liczba zakażeń. Mężczyzna spekuluje, że to być może efekt poluzowania obostrzeń. Niedawno zniesiono zalecenie, by nie podróżować dalej niż 120 km od rezerwatu. Otwarto też kościoły i funkcjonujące w kasynach restauracje.

Ostatnia prosta

Rozmowa z Amandą Bordeaux, która pracuje w szkole średniej w rezerwacie Rosebud w Dakocie Południowej, zaczyna się smutno. Choć 36-latka rozmawia ze mną poprzez komunikator Skype w trakcie pracy, trudno jej powstrzymać się od płaczu. Cztery miesiące temu koronawirus zabił jej babcię, ciotkę i kuzynkę. Tak jak wielu Indian, chorowały one na cukrzycę, miały nadciśnienie i problemy z sercem. Odeszły w najtrudniejszym dla rezerwatu okresie: tylko w listopadzie zeszłego roku z powodu COVID-19 zmarło 37 osób.

– Straciłam moich bliskich w ciągu zaledwie trzech tygodni – wspomina Amanda. – Najpierw umarła 90-letnia babcia. Na jej śmierć byłam przygotowana, bo już i tak powoli żegnała się z życiem. Ale ciocia miała zaledwie 56 lat! Gdy rozmawiałyśmy ostatni raz, mówiła, że ma wysoką gorączkę i kaszel. Następnego dnia już nie żyła. Do dziś wyrzucam sobie, że nie wezwałam dla niej karetki. Tylko skąd miałam wiedzieć, że potrzebuje natychmiastowej pomocy? Nie miała nawet problemów z oddychaniem – dodaje Amanda, której ciotka umarła poniekąd na ostatniej prostej. Miesiąc po jej śmierci w rezerwacie rozpoczęto dystrybucję szczepionki. Ani Amandy, ani jej rodziców nie trzeba było zachęcać do zaszczepienia się: zrobili to już na początku lutego.

– Dziękuję losowi, że uchronił przed zakażeniem moich rodziców – mówi

ARCHIWUM PRYWATNE x2

AMANDA BORDEAUX
W ciągu trzech tygodni straciłam babcię, ciocię i kuzynkę. Dziękuję losowi, że uchronił przed zakażeniem rodziców.

CHUCK SAMS
Kiedyś nasi ludzie umierali na ospę i hiszpankę. Od tego, czy przyjmiemy tę szczepionkę, być może zależy los plemienia.

Amanda. – Tak jak większość członków naszej rodziny, rodzice mają cukrzycę i problemy z sercem. Na szczęście są zatrudnieni w administracji plemiennej i przez ostatni rok mogli pracować z domu. Dopiero teraz, gdy większość personelu została zaszczepiona, wróciliśmy do pracy w biurze.

Szpital bez specjalistów

Gdyby Amanda nie pracowała w administracji plemiennej, jej opowieść mogłaby być jeszcze bardziej dramatyczna. W końcu życie w rezerwacie Rosebud nie rozpieszcza: wśród liczącego 12 tys. osób plemienia panuje wysokie bezrobocie, bieda i alkoholizm. Epidemia te problemy pogłębiła.

– Większość naszych mieszkańców jest tak biedna, że nie stać ich nawet na opłacenie pogrzebu swoich bliskich – mówi „Tygodnikowi" członek rady plemiennej Wayne Frederick. – Wszelkie koszty związane z pochowaniem zmarłych na COVID-19 pokryły nasze władze. To dla nas duże obciążenie, bo na samych tylko przestojach w prowadzeniu rezerwatowych kasyn straciliśmy w zeszłym roku 2 mln dolarów – podlicza.

Dziurę budżetową pogłębiły też wydatki na testy na koronawirusa i opłacenie transportu chorych na COVID-19. Frederick tłumaczy, że pacjenci przewożeni są do innych placówek, bo w lokalnym szpitalu finansowanym przez Indian Health Service nie ma pulmonologa ani specjalisty, który potrafiłby podłączyć choremu respirator.

– I co z tego, że mamy w placówce pięć respiratorów, skoro są bezużyteczne?! Nie tak powinna wyglądać opieka medyczna gwarantowana przez rząd federalny – denerwuje się Frederick, który podkreśla, że już przed pandemią szpital był niedofinansowany. Brakuje w nim kardiologa, onkologa, a nawet ginekologa. Pacjenci w ciężkim stanie od lat trafiają do oddalonych o trzy godziny drogi miejscowości Rapid City i Sioux Falls. Podczas epidemii sytuacja się pogorszyła: szpitale w Dakocie Południowej są przeciążone i chorych Indian trzeba transportować jeszcze dalej. Trafiali nawet do szpitali w sąsiednich stanach: Montanie, Iowa czy Nebrasce.

– Nawet jeśli niektórzy przeżyli taką podróż i pokonali wirusa, często mają teraz powikłania po infekcji – mówi Wayne Frederick. – Cierpią na arytmię serca, mają problemy z równowagą i koncentracją. I tu koło się zamyka, bo nie mamy w lokalnym szpitalu specjalistów, którzy mogliby im pomóc.

Szczepienia w ciężarówce

Wayne Frederick nabiera optymizmu dopiero, gdy opowiada o trwającej w rezerwacie akcji szczepień. Wylicza z dumą, że do początku marca jedną dawkę szczepionki otrzymało już niemal 30 proc. członków plemienia, a obie dawki – 17 proc.

– Aby dotrzeć do niezmotoryzowanych mieszkańców rezerwatu, kupiliśmy ostatnio ciężarówkę i wystąpiliśmy do władz federalnych o zgodę na stworzenie mobilnego punktu szczepień. Zwykle czekamy na odpowiedź kilka tygodni, ale tym razem poszło bardzo szybko. W naszym rezerwacie trzeba wiele zmienić, ale przynajmniej akcja szczepień przebiega sprawnie. © MARTA ZDZIEBORSKA

WELOWANIE

Sto lat temu, 20 marca 1921 roku, Górnoślązacy musieli podjąć decyzję. Jakiego państwa życzyli sobie tutaj moi przodkowie?

ZBIGNIEW ROKITA

Być może o górnośląskim plebiscycie z 1921 r. wiele mówi to, że nie wiem, jak głosowali moi prapradziadkowie: za Polską czy Niemcami. Pewne jest, że prapradziadek Urban, śląski powstaniec, „welował" [od niem. *wählen*, głosować – red.] za Polską. Ale jego żona Johanna, pół-Niemka? Nazwiska nie pomogą w rozwikłaniu tej zagadki: on nazywał się Kieslich, ona z domu Krauthakel.

A pokolenie pradziadków? Może rąbka tajemnicy uchylą ich późniejsze decyzje? Bo gdy Górny Śląsk podzielono już między Polskę i Niemcy, ciotki Anna i Maria przeniosły się na polską stronę nowej granicy, do Rybnika i Chorzowa. Natomiast inni krewni – Franz, Else, Alois – zostali w domu w niemieckiej „tajli" [od niem. *Teil*, część – red.]. Choć może nie są to żadne wskazówki? Może z braku wspomnień staram się tych ludzi wsadzić w gorset narodowych wyborów?

Bój o sukcesję

Delegacja z Górnego Śląska, która u zarania Drugiej Rzeczypospolitej stawiła się u Józefa Piłsudskiego, miała usłyszeć: „Śląska wam się zachciewa!? Toż to niemożliwe, to stara niemiecka kolonia!". Na usprawiedliwienie Marszałka przypomnijmy, że Pierwsza Rzeczpospolita, a właściwie jeszcze Korona Polska nie utraciła Górnego Śląska w wyniku XVIII-wiecznych rozbiorów. Znalazł się poza nią jeszcze w średniowieczu i odtąd bywał częścią Czech, Austrii i w końcu Prus, które w 1871 r. stały się częścią Cesarstwa Niemieckiego.

W polskiej pamięci listopad 1918 r. to czas triumfu. Z perspektywy górnośląskiej mogło to wyglądać ambiwalentnie. Alois Pokora, bohater powieści Szczepana Twardocha, budzi się w berlińskim szpitalu wojskowym – został ranny na froncie – właśnie tegoż 11 listopada i słyszy, że nie ma już cesarstwa, a szalejąca na ulicach rewolta komunistyczna proklamowała koniec Boga. Świat Pokory i wielu Górnoślązaków się rozpada.

W listopadzie 1918 r. wojna na froncie zachodnim ustaje, za to w Europie Środkowej – na gruzach cesarstw austriackiego, niemieckiego i rosyjskiego – zaczyna się bój o sukcesję: proklamują się

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Grupa emigrantów polskich z Nadrenii biorących udział w plebiscycie na Górnym Śląsku, marzec 1921 r.

państwa, zaczynają konflikty graniczne. Zwycięscy Francuzi i Brytyjczycy usiłują to uporządkować.

I tak, artykuł 88 Traktatu Wersalskiego, podpisanego 28 czerwca 1919 r., stanowi, że o losach pohohenzollernskiego Górnego Śląska zdecyduje plebiscyt (część pohabsburska regionu, o którą starły się Polska i Czechosłowacja, to osobna historia). Ma to być jedno z serii takich głosowań – inne referenda mają rozstrzygnąć spory terytorialne Niemców z Danią, Francją czy Belgią; osobne zostaje rozpisane na Warmii i Mazurach.

Brytyjski premier Lloyd George, który sprzeciwia się przekazaniu Górnego Śląska Polsce, powie: „Oddać w ręce Polaków przemysł Śląska to jak wkładać w łapy małpy zegarek". Londyn woli równowagę sił na kontynencie i Niemcy na tyle silne, aby były jakąś przeciwwagą dla Francji. Francuzi wolą Niemcy słabe, szachowane od wschodu przez Polskę i Czechosłowację. Ich premier Georges Clemenceau chce oddać Polsce Górny Śląsk, ale zmienia stanowisko i zgadza się na plebiscyt, gdy Lloyd George obieca mu, że poprze stanowisko Francji w kwestii okupowania przez nią Nadrenii.

Artykuł 88 to cios dla górnośląskich niepodległościowców. Zabiegali oni, aby podczas plebiscytu była trzecia opcja: Republika Górnośląska. Przez moment nie była to zupełna *political fiction*. W tym czasie działacze Komunistycznej Partii Górnego Śląska nawołują do bojkotu plebiscytu i proklamacji Górnośląskiej Republiki Rad. Trwa giełda idei, którą trudno zamknąć w prostej opowieści o rywalizacji polsko-niemieckiej. Choć to ona stanie się na koniec jedynym możliwym wyborem.

Plebiscyt na Górnym Śląsku ma się odbyć 20 marca 1921 r.: jego mieszkańcy mają się wypowiedzieć, w jakim kraju chcą żyć.

W gąszczu motywacji

Odwiedzam Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, aby obejrzeć plakaty propagandowe obu stron z okresu poprzedzającego głosowanie. Te polskie straszą, że jeśli Górny Śląsk przypadnie państwu niemieckiemu, jego mieszkańcy będą musieli spłacać reparacje wojenne i nadal będą traktowani jak obywatele drugiej kategorii, germanizowani. Te niemieckie ostrzegają przed „polską biedą", przed brakiem świadczeń społecznych (widać więc, że eksponowane są nie tylko argumenty narodowe, ale także socjalne, klasowe).

Wtedy, sto lat temu, nie ma tu prostych podziałów, za to gąszcz motywacji jest ogromny: dla jednych ważna jest religia, dla innych język, stabilność, bezpieczeństwo, praca. Dla jeszcze innych – godność. Zresztą: głosując za Polską, głosuje się za czymś jeszcze nieznanym, niepewnym.

Historyk Paweł Parys z Muzeum Śląskiego opowiadał mi kiedyś, że zdarzało się, iż „hallerczycy" (żołnierze armii polskiej sformowanej we Francji pod dowództwem gen. Józefa Hallera, którą w 1919 r. przetransportowano do Polski) agitowali za Niemcami. – To byli Górnoślązacy, którzy służyli w wojsku niemieckim, trafili do francuskiej niewoli i wstąpili do armii Hallera – tłumaczył historyk. – Po powrocie do Polski i po wojnie polsko-bolszewickiej, w której wzięli udział, niektórzy z nich stali się na przełomie 1920/21 r. „apostatami" i nawoływali, by głosować za Niemcami. Twierdzili, że w Polsce widzieli biedę i dziadostwo. To już nie była ulotka, ale nasz sąsiad, który widział to na własne oczy.

Obie strony prześcigają się w obietnicach. Wojciech Korfanty, lider polskich Górnoślązaków, obiecuje każdemu ↦

↦ krowę, a rząd w Warszawie autonomię przyszłego województwa śląskiego (wywiąże się z tego; inaczej postąpiono wobec Galicji Wschodniej, gdzie też obiecano autonomię). Z kolei Niemcy głośno rozważają powołanie Górnośląskiego Kraju Związkowego, jako osobnej jednostki administracyjnej w Republice Weimarskiej.

Konflikt także domowy

Sięgam po „Kronikę Parafii Ostropa" (wydaną w polskim przekładzie w 2014 r.). Stąd wywodzi się moja rodzina. Dziś Ostropa to część Gliwic.

„Kronika" jest stronnicza, autor wyraźnie opowiada się po stronie niemieckiej (w plebiscycie wygra tu Polska). Mowa o małej społeczności, ok. 3 tys. ostropian. Weźmy miejscowy kościół św. Jerzego, obok którego mieszkała moja rodzina: po stronie Niemiec opowiadają się organista Blasel i proboszcz Maruszczyk, ale kantor Wilhelm Magiera to główny agitator za Polską. W kronice czytam, że kantor „był duszą całego zamieszania. Gdy owoce jego pracy, to jest nienawiść, niezgoda, oszczerstwo i prześladowanie, weszły do kościoła, Magierę pozbawiono wszelkich obowiązków kościelnych, jak również przestano go komunikować [tj. ksiądz odmówił mu komunii – red.]. Za to Magiera zamierzał oblać na drodze księdza wiadrem wody lub gnojówki".

Inny Magiera, Franz, tworzy radę robotniczą Ostropy, a „rolnik Johann Gorka, Niemiec, [choć] do żony i ze swoimi dziećmi mówił niemal tylko po niemiecku, rozpoznał nagle swoje polskie serce i został polskim wójtem gminy".

Mała społeczność się dzieli. Znajduję opisy wybijania szyb sąsiadom, bójek, a nawet gorzej: „W niemieckim miejscu zebrań, karczmie u Klyszcza, wybuchła bomba dynamitowa, która jednakże spowodowała tylko niewielkie straty materialne. Celem ataku Polaków był prawdopodobnie zainstalowany tutaj niemiecki projektor kinowy". Może dlatego do dziś wielu miejscowych nazywa powstania wojną domową lub bratobójczą?

Między braćmi

Wszystko to dzieje się wkrótce po wojnie światowej, w której uczestniczyło wielu zmobilizowanych Górnoślązaków. Zbigniew Kadłubek z Uniwersytetu Śląskiego pisze w kwartalniku „Fabryka Silesia": „Z Wielkiej Wojny wracają do domów żywe trupy. Przyzwyczajeni do zabijania, umierania i wrzasku. Całkowicie puści w środku. Ludzie nierzeczywiści – to wiemy. Jak się wraca prosto z okopu do walcowni blachy w Lipinach – tego nie wiemy. Cynk lśni pięknie, ale nie tak pięknie jak bagnet albo siekierka wbijana w głowę Anglika. Weteranom w różnych miejscach w Europie chce się nadal strzelać. Tak bardzo do tego przywykli. Potrzebują adrenaliny, łakną zintensyfikowania emocji, a tego nie jest w stanie dostarczyć żaden warsztat. Coś się stało raz na zawsze z ich głowami".

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM POWSTAŃ ŚLĄSKICH W ŚWIĘTOCHŁOWICACH x2

Polskie plakaty propagandowe przed plebiscytem śląskim, 1920–1921 r.

Jednak większość po prostu chce spokoju. To już szósty-siódmy rok nieustannych napięć i wyrzeczeń, a teraz także powojennej biedy i niepewności. To także czas, gdy w Górnoślązakach narasta poczucie fatalizmu: niejeden myśli, że do kogokolwiek byśmy się nie przyłączyli, i tak będziemy ofiarami.

Bywa, że podziały idą w poprzek rodzin. Paweł Parys opowiadał mi o swoich przodkach, którzy pochodzili z Łabęd (dziś to także Gliwice): – Podziały w rodzinach bywały znaczne. Mój pradziadek Paweł Piernikarczyk był elektrykiem i pozostał przy polskości. Jego brat Karol był księgowym i stał się Niemcem. Kolejny brat, Rudolf, z zawodu buchalter, powtórzył tę drogę i stał się Niemcem. Ich kuzyn Georg był bojówkarzem Kampforganisation Oberschlesien [Organizacja Bojowa Górnego Śląska – red.].

Co dzieje się z nimi po plebiscycie? Parys opowiadał: – Mój pradziadek idzie do trzeciego powstania śląskiego [wybuchło w maju 1921 r. – red.], a po podziale regionu zamieszkuje po stronie polskiej. Natomiast bracia i kuzyn po stronie niemieckiej. Później, podczas II wojny światowej, Gestapo przesłuchiwało mojego pradziadka sześć razy za polskość. Z kolei po wojnie Sowieci uwięzili jego brata Karola za niemieckość. Wywieziony, umarł w kazachstańskim Aktiubińsku.

Dwie kartki

Zanim odbędzie się głosowanie, na Górny Śląsk przybywają wojska alianckie: Francuzi, Włosi i Brytyjczycy. Mają dbać o uczciwy przebieg plebiscytu i poprzedzającej go kampanii. Francuzi nie kryli swego poparcia dla Polaków, a Włosi i Brytyjczycy dla Niemców. Niemcy nazywają obecność Francuzów „pokojową okupacją" i urządzają polowania na kobiety, które romansują z żołnierzami francuskimi (obcinają im włosy).

Tuż przed plebiscytem opcja polska zyskuje ważne argumenty: w II RP uchwalona zostaje postępowa jak na ówczesne czasy konstytucja i zawarty zostaje traktat pokojowy z bolszewikami (wcześniej Niemcy straszyli, że po włączeniu do Polski Ślązacy pójdą w kamasze, na front polsko-bolszewicki).

Nadchodzi czas głosowania. Każdy z ponad miliona uprawnionych otrzymuje kopertę i dwie kartki: Polska-Polen i Deutschland-Niemcy. Głosuje się w oddzielnym pomieszczeniu. Jedną z kart należy zniszczyć, drugą włożyć do koperty i wrzucić do urny. Jednak wielu nie nisz-

czy niechcianych kart, lecz po wyjściu z lokalu ostentacyjnie wyrzuca je na ziemię: niech każdy zobaczy, kogo popieram.

Blisko co piąty uczestnik plebiscytu jest emigrantem. To znaczy: urodził się tutaj, ale na co dzień mieszka gdzieś poza Śląskiem. Na szkolnych lekcjach historii uczono mnie, że emigranci byli jedną z przyczyn zwycięstwa Niemców. To prawda, ale nie dodawano, że to strona polska zabiegała o umożliwienie im wzięcia udziału w plebiscycie. Liczono na polskich Ślązaków z Zagłębia Ruhry i się przeliczono. Spośród emigrantów, którzy postanowili odwiedzić ziemię rodzinną i oddać głos, aż 180 tys. opowiedziało się za Niemcami, a tylko 10 tys. za Polską.

Na drugą stronę

Głosują niemal wszyscy miejscowi: frekwencja wynosi aż 98 proc. Mniej więcej 60 proc. popiera Niemcy, a 40 proc. Polskę. Przy czym miasta na ogół przytłaczającą większością są za Niemcami (Opole 95 proc., Katowice 85 proc., Gliwice blisko 80 proc.), a wieś za Polską.

Region potrzebuje salomonowego rozwiązania. Gdy wiele wskazuje na to, że rozstrzygnięcia będą dla Polski niekorzystne, zapada decyzja o powstaniu – do historii przejdzie ono jako trzecie powstanie śląskie. Część historyków uważa, że powstańcy swoim zrywem zastraszają aliantów, a ci, obawiając się dalszych walk, decydują o lepszych dla Polski warunkach podziału. Rzeczpospolita zyskuje znaczną część górnośląskiego przemysłu, dzięki czemu jej potencjał przemysłowy rośnie blisko trzykrotnie, co odmieni oblicze kraju.

Plebiscyt i powstanie (trwa ono od początku maja do początku lipca) nie kończą tej historii. Podział regionu między Polskę i Niemcy sprawia, że ok. 250 tys. osób (mniej więcej co dziesiąty mieszkaniec tej ziemi) podejmuje decyzję, aby przenieść się na drugą stronę nowej granicy.

Ostropa zostaje po stronie niemieckiej. W parafialnej kronice (przypomnijmy: jej autor całym sercem jest za Niemcami) czytam: „Wielu Polaków z Ostropy, zwłaszcza takich, którzy sporo mieli na sumieniu, szukało ratunku w pośpiesznej ucieczce (...). Po podaniu do wiadomości nowego przebiegu granicy, czyli pozostaniu Ostropy przy Niemczech, Niemcy, którzy byli w czasie puczu [tj. powstania – red.] ciężko dręczeni, próbowali odpłacić się Polakom za to, co wcześniej wycierpieli".

Sto lat później

Dziś Niemcy nie mają takiego sentymentu do Górnego Śląska jak Polacy do Lwowa czy Wilna. Historyk Marcin Wiatr pisze w „Fabryce Silesii" o badaniach prowadzonych na ten temat w Republice Federalnej przez Instytut Allensbach. Wynikło z nich, jak pisze Wiatr, że młodzi Niemcy „nie wiedzą o Śląsku więcej niż o krajach afrykańskich. (...) W dzisiejszych podręcznikach [niemieckich] te wydarzenia i konteksty niemal nie występują albo są wspominane tylko jednym zdaniem". Inaczej było w międzywojniu. Utrata części Górnego Śląska była wtedy traktowana w Niemczech jako część „dyktatu wersalskiego".

Dziś w moich rodzinnych Gliwicach z trudem odnajduję ślady sprzed stu lat. Przy ul. Zwycięstwa (wtedy ul. Cesarza Wilhelma) jest stara i słabo widoczna tablica, informująca o miejscu ulokowania Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Jest kilka nazw ulic: Plebiscytowa, Styczyńskiego (propolski lekarz, zamordowany przez bojówki niemieckie). Kilkaset metrów dalej stoi pomnik żołnierzy francuskich, którzy tu wtedy zginęli. Nieopodal mojego domu są koszary, na ceglanych murach można dostrzec wydrapane napisy, np. „Danton Marcel, Vive Paris" (są też z innych epok, niemieckie i sowieckie). Widać, że pamięć o samym plebiscycie, przez Polskę przegranym, nie jest eksponowana. Jeśli się pamięta, to bardziej o powstaniach.

Mam wrażenie, że w ciągu tych stu lat pamięć polska zagłuszyła tę miejscową, a ta miejscowa dała się zagłuszyć. Po 1945 r. i tak nie chwalono by się głośno, że ktoś „welował" za tym, aby żyć w Gleiwitz, a nie w Gliwicach. Może dlatego nie wiem, jakiego państwa życzyli sobie tutaj sto lat temu moi przodkowie.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, stałym współpracownikiem „TP". Niedawno wydał książkę „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" (Wydawnictwo Czarne, 2020).

REKLAMA

TO CO NAJWAŻNIEJSZE 21 tekstów Tischnera na XXI wiek

Ks. Józef Tischner miał niezwykły dar przyciągania ludzi. Przez swoje teksty nadal uczy nas patrzenia na świat, w którym sprzeczności nie znikają, ale mogą się harmonizować. Skłania do refleksji nad tym, co jest naprawdę ważne. Przekonuje, dlaczego należy dbać o wolność i jak z niej mądrze korzystać.

Wojciech Bonowicz dokonał wyboru najważniejszych i najbardziej aktualnych tekstów ks. Tischnera, które pomagają rozumieć otaczającą nas rzeczywistość.

znak | Dla czytelników „TP" 37% rabatu w księgarni znak.com.pl KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY | KOD RABATOWY: NAJWAZNIEJSZE

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:
Sceny częściowo kombatanckie

„Wesoły”

Burzliwie było. Na wszystkich posierpniowych zebraniach było bojowo i burzliwie. Ludzie rwali się do głosu i nie słuchali wyjaśnień. Nie o to chodziło, żeby słuchać, tylko żeby wykrzyczeć.

W naszej spółdzielni mieszkaniowej też było głośno i odważnie. Mniejsza o tematy – garaże, przekręty albo czynsz. Należało wygarnąć, to było ważne.

Jeden z mężczyzn wygarniał działaczowi spółdzielczemu. Działacz siedział za stołem prezydialnym. Odpowiadał. Mężczyźnie nie podobały się odpowiedzi, denerwował się, na koniec krzyknął: – Pan jest tchórzem!

Człowiek za stołem przestał tłumaczyć.

Mężczyzna uznał to za zwycięstwo i powtórzył, zmieniając nieco szyk zdania: – Tchórzem pan jest!

Był zadowolony z wrażenia i z siebie i zaczął w kółko powtarzać trzy słowa: – Tchórzem pan jest! Tchórzem pan...

Przerwał mu prowadzący spotkanie.

Powiedział:

– Ten pan ma Virtuti Militari.

Ten pan jest bohaterem drugiej wojny światowej. Nazywanie tego pana tchórzem wydaje mi się niestosowne.

Mężczyzna przestał krzyczeć.

Sala zamilkła.

Nie pamiętam, czy wróciliśmy do garaży i czynszu. Pewnie tak.

Pracował u Wedla. Był akwizytorem i nosił czekoladowe wyroby na gestapo.

Chodził na aleję Szucha dzień w dzień, był tam ponad tysiąc razy.

Z pokoju komisarza Langa, który skatował „Rudego”, zadzwonił do „Orszy”, dowódcy Szarych Szeregów. Szyfrem zawiadomił, że „Rudego” trzeba natychmiast odbić. Odbijanie „Rudego” znane jest jako Akcja pod Arsenałem.

Brał udział w wykonaniu wyroku na Langu.

W powstaniu był ranny.

Po wojnie pracował w spółdzielczości mieszkaniowej.

Na naszym zebraniu usłyszał, że jest tchórzem.

Pamiętał to zebranie przez cztery lata. Krótko. Do końca życia.

Działo

Chcieliśmy zapytać o parę rzeczy.

Na przykład:

Prowadzić grę czy iść na całość.

Jeśli grę, to w jakich granicach.

Jeśli na całość, to w imię czego.

A jeśli o życiu mowa, to ważniejsze zbiorowe życie czy sens własnego, pojedynczego.

Zaprosiliśmy – Marcin Król i ja – Marka Edelmana i Stanisława Broniewskiego, „Orszę”.

ME mógł przyjść, bo sprzed łódzkiego domu odjechały ubeckie samochody. Cztery stały, dwa od ogrodu, dwa od frontu, na Zelwerowicza. Pilnowały, żeby „pan doktór” nie wymknął się do Warszawy na rocznicę powstania.

Odjechały i delegacje zagraniczne, z których żadna nie próbowała sforsować ubeckiego kordonu. Zawracały bez słowa spod drzwi, a Edelman krzyczał za nimi: – Przeżyliście, bo jesteście tchórzami! (Były to najbardziej obraźliwe słowa, jakie mu przyszły na myśl). Zapamiętali ten krzyk. Mówili o nim po latach. Tłumaczyli się, że się urodzili po wojnie i nie musieli przeżyć.

„Orsza” zaczął od oczu. Polskich oczu, którymi patrzył na żydowską tragedię. I od kurtyny, za którą wyobraźnia nie sięga, bo takich tragedii nigdy nie było.

Były, wtrącił Edelman. Rzeź Ormian była tragedią.

„Orsza” – że dawno temu i daleko stąd.

Edelman – że nie szkodzi. Była.

Któryś z historyków – chyba Jerzy Jedlicki – spytał o rewolwery. Ile ich mieli w getcie, jak zaczynały się transporty.

Dziesięć?

Trochę mniej.

Pięć?

Jeden rewolwer mieli. Przydał się, wykonali wyrok na Szeryńskim, komendancie żydowskiej policji.

Jeden rewolwer, westchnął „Orsza”. Mój Boże... Tak jakby się tłumaczył. Jakby to była jego wina – jeden rewolwer i żydowska samotność.

Ja wiem, ja wiem, przerwał mu Edelman. Ja was wszystkich bardzo lubię. Tylko z tym działem na Bonifraterskiej mogliście coś zrobić.

Chodziło o działo, które strzelało w mury getta. Był rozkaz, żeby je zniszczyć, niestety, mówił „Orsza” – za mało mieli czasu na rozpoznanie...

Nie trzeba było czekać sześć tygodni, wtrącił Edelman.

Jakie sześć. Dwadzieścia cztery godziny miałem!

Tygodniami czekaliście!

Zerwali się z krzeseł.

Dwadzieścia cztery godziny, rozumie pan? Jeden dzień!

Sześć tygodni!

Pochylili się nad stołem, stali prawie twarzą w twarz.

Jaki dzień!

Jakie tygodnie!

Dobrze, że stół ich rozdzielał.

Dobrze, że Roman Zimand zaczął mówić o Kasandrze. Wiedziała, że Agamemnon zginie, jeśli przekroczy próg pałacu, a mimo to wrócił do Myken.

Nie wiem, skąd ten Agamemnon się wziął.

Ważne, że usiedli.

Spisaliśmy rozmowę. Nie całkiem przypominała tę prawdziwą. Chociaż się staraliśmy.

Nie dowiedzieliśmy się, kiedy iść na całość.

Ani jak długo trwało rozpoznanie działa na Bonifraterskiej.

Usłyszeliśmy, że człowiek w cierpieniu nie staje się lepszy. Na odwrót. Głupieje niestety i nikczemnieje. Ale tego domyślaliśmy się już wcześniej.

Wiśnia

Idziemy do Jakuba Wiśni.

Pan Witek jest tu dyrektorem od niedawna i nie zdążył się o wszystkich dowiedzieć. To dzisiaj o Wiśni.

Pewnie ma chorągiewkę i zobaczymy go z daleka.

Chorągiewki przynosi obca pani, pan Witek nie wie, kim jest. Przychodzi, uśmiecha się, mówi dzień dobry i znika na cmentarzu. Po dwóch godzinach znowu się uśmiecha i mówi do widzenia. Na grobach z napisem – Zginął... albo – Zginęła na posterunku – pojawiają się biało-czerwone chorągiewki z dużą, nadrukowaną kotwicą.

W drodze do Jakuba W. rozmawiamy o znaku szwa.

Pan Witek jest hebraistą i napisał o tym znaku pracę magisterską. To bardzo ciekawy znak – dwie kropki w pionie, jedna pod drugą. Nie wiadomo, czym jest, w przeciwieństwie do innych znaków, które są samogłoskami. Może znaczyć coś, a może nic nie znaczyć. Może być ciszą. Rozważano to już w dziesiątym wieku, kolejne wieki mijają, a znak szwa nadal ma swoje tajemnice.

Jest Jakub Wiśnia.

Biało-czerwona chorągiewka leży na drodze, może była u Jakuba, może wiatr ją przywiał.

Grób jest smutny, piaskowiec zszarzał, zzieleniał porośnięty mchem.

Ktoś tu był, dawno temu. Są skorupy znicza i wianuszek nieśmiertelników. Dzieci nie miał, „Świst" nie żyje, to kto?

Stanisław Sieradzki, pseudonim „Świst", przemawiał na pogrzebie Jakuba Wiśni. Stał przy jego głowie i wszystko po kolei mu przypominał.

Jak z „Zośką" uwolnił go z więzienia na Gęsiej.

Jak leżąc na balkonie strzelał do Niemca i spadł razem z balkonem, bo strzelił w niego czołg. Jak spadło na niego drugie piętro i jak leżał pod gruzami i myślał, że zdechnie tutaj z głodu i od ran. I jak przyszedł po niego Jakub Wiśnia i wyciągnął go spod gruzów. Mówił i mówił, aż Żydzi na cmentarzu zaczęli płakać, Żydówki zwłaszcza. Łkały na głos. Pani kochana, opowiadał mi Stanisław Sieradzki, jak one płakały, jedna w jedną.

Odezwał się Wiśnia czterdzieści lat po tych gruzach, po tych strzałach. Stary był, żył z polską kobietą. Miał zadzwonić. Zadzwoniła kobieta, Jakub nie żyje.

Przyszedł na pogrzeb i przychodził na grób w każde Zaduszki.

W drodze powrotnej rozmawiamy o życiu pana Witka przed cmentarzem. Polegało na podróżach z Żydami. Przyjeżdżali to z Kalifornii, to z Brooklynu. W Tykocinie albo w Międzyrzecu Podlaskim robili zdjęcia domów swoich pradziadków, albo zdjęcia miejsc, w których te domy kiedyś stały, po czym szli do baru na obiad. Mówili: – Nóżki w galarecie! No nie! Pradziadek takie gotował. Zapach był tak okropny, że prababcia wyprowadzała się z domu na trzy dni do swojej siostry. Przez te trzy dni pradziadek jadł swoje nóżki i był szczęśliwy. A jeszcze otwierał swoją drewnianą szafkę – kiedy chciał. Wyjmował butelkę i wypijał tyle kieliszków śliwowicy, na ile miał ochotę. I był szczęśliwy.

Witold Wrzosiński za czymś tęskni. Za domem, w którym nigdy nie mieszkał. Za galaretką, której nie lubi. Za znakiem szwa, którego sekret prawie odkrył, na razie częściowo. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet

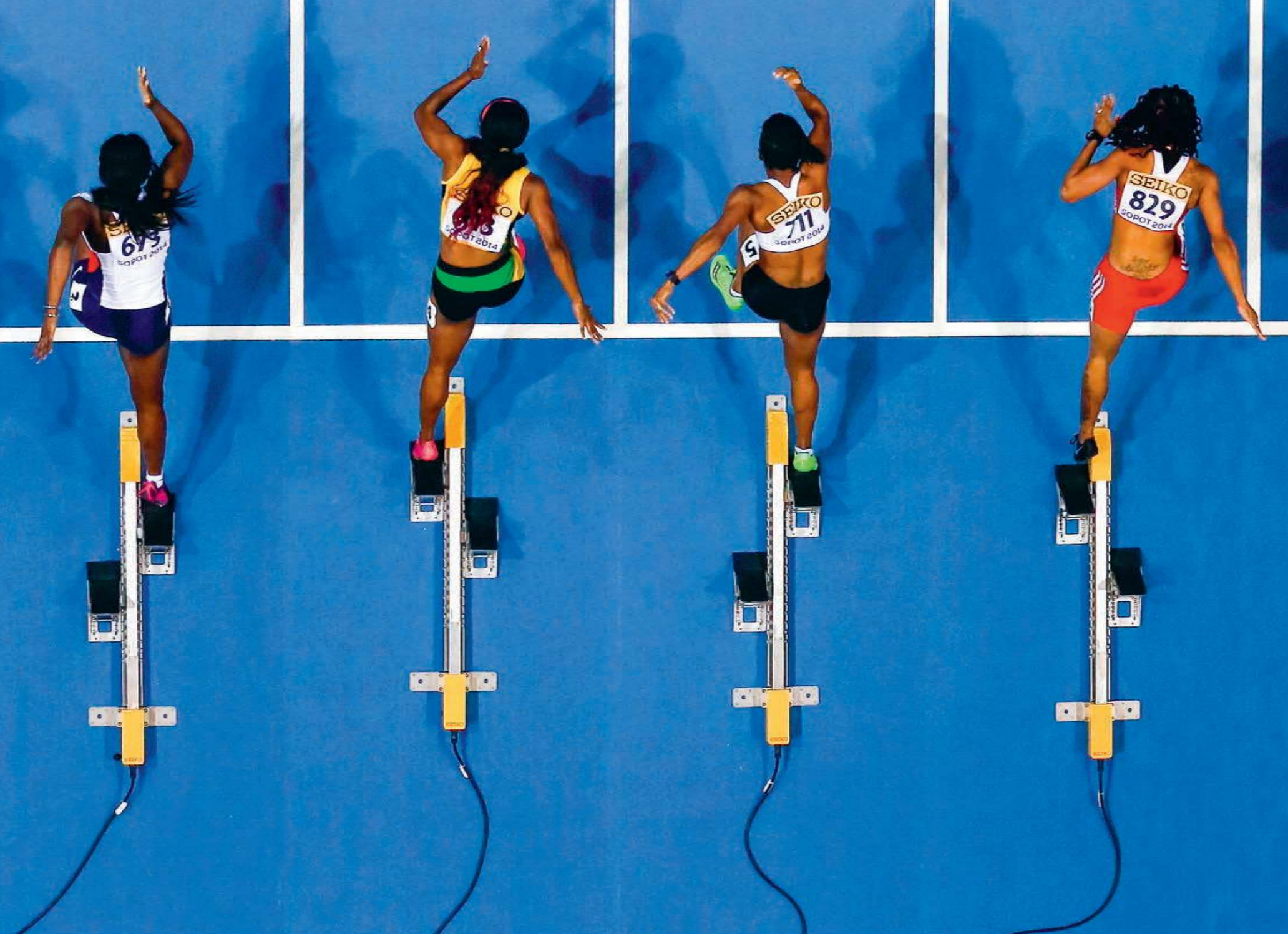
SEIKO
711
SOPOT 2014
SEIKO
829
SOPOT 2014

NAUKA

DLACZEGO ALGORYTMY SIĘ MYLĄ

Choć sztuczna inteligencja góruje nad nami w wielu dziedzinach, czasem łatwo przyłapać ją na banalnych błędach. Ale to właściwie nie jej wina.

JAREK GRYZ

ALEXANDER HASSENSTEIN / GETTY IMAGES

Algorytmy klasyfikacyjne oparte na sieciach neuronowych – zwane czasem szumnie sztuczną inteligencją – są powszechnie stosowane w wielu dziedzinach naszego życia. Google Translate, wirtualni asystenci: Siri i Alexa, autonomiczne samochody – te wszystkie produkty korzystają z tej techniki. Działanie systemu opartego na takich algorytmach przebiega w dwóch fazach. W fazie pierwszej stworzony przez informatyków algorytm samodzielnie „uczy się", przez znajdowanie korelacji wśród dostarczonych mu danych, i sam buduje pewien statystyczny model. W drugiej fazie, w oparciu o nowe dane i stworzony przez siebie model, system interpretuje nasze pytania (Siri), generuje tłumaczenie tekstu w obcym języku (Google Translate) bądź rozpoznaje pieszego na drodze (autonomiczny samochód).

Dopóki taki system działa poprawnie, nikogo nie interesuje mechanizm, na którym się opiera. Co więcej, jak pisałem już wcześniej (zob. „TP" 35/2020), sam model zwykle nie jest czytelny dla człowieka – możemy śledzić jedynie dane wejściowe i wyjściowe, a nie kolejne kroki „rozumowania" sztucznej inteligencji. Czy jest to powód do niepokoju? Otóż wydaje się, że tak, ponieważ kilka razy, kiedy udało się zinterpretować korelacje wykrywane przez algorytmy, okazały się one zupełnie przypadkowe. Jeśli więc zamierzamy powierzyć algorytmom interpretację zdjęć rentgenowskich czy wydawanie wyroków sądowych, to mamy się czym martwić.

Halowe Mistrzostwa Świata w Lekkoatletyce, bieg na 60 m kobiet. Sopot, 9 marca 2014 r.

Skąd się biorą dzieci

Oczywiście ludzie też popełniają błędy w interpretacji danych statystycznych. W 2004 r. Andrew J. Tatem z Uniwersytetu Oksfordzkiego i współpracownicy przedstawili w „Nature" zapowiedź kresu dominacji mężczyzn nad kobietami w sporcie. Otóż analiza statystyczna wyników biegów na sto metrów z ostatnich kilkudziesięciu lat pokazała, że w 2156 r. kobiety będą szybsze na tym dystansie niż mężczyźni. Od początku XX w. zarówno sprinterzy, jak i sprinterki osiągają coraz lepsze wyniki, ale – jak zauważyli badacze – kobiety systematycznie zbliżają się do mężczyzn (podczas igrzysk w Amsterdamie w 1928 r. różnica wynosiła 1,4 s na korzyść mężczyzn, w 2004 r. w Atenach – już tylko 1,08 s). Jeśli ten trend się utrzyma, najszybciej sto metrów podczas LXVI igrzysk olimpijskich powinna przebiec kobieta (z wynikiem 8,079 s; najszybszy mężczyzna osiągnie wtedy czas 8,098 s).

Z kolei Helmut Sies z Uniwersytetu w Düsseldorfie w 1988 r. – tym razem wyłącznie dla żartu – poddał analizie statystycznej dane z Niemiec na temat liczebności par bocianów na tym terenie oraz liczby urodzonych dzieci – i w krótkim liście do „Nature" wskazał na silną zależność ilościową między tymi zjawiskami. „W RFN martwią się spadkiem narodzin – tymczasem rozwiązanie problemu może być oczywiste dla każdego dziecka" – pisał Sies do redakcji czasopisma.

Czujemy intuicyjnie, że oba powyższe „odkrycia" są bezwartościowe – nawet jeśli nie potrafimy precyzyjnie uzasadnić, dlaczego tak jest. W pierwszym przypadku zwykły zdrowy rozsądek nie pozwala nam ektrapolować istniejących trendów w nieskończoność. Jak trzeźwo zauważył jeden z komentatorów, wiara w niezmienność tych trendów kazałaby uznać, że w 2636 r. kobiety przebiegać będą dystans stu metrów w czasie... mniejszym niż zero sekund. W drugim przypadku po prostu wiadomo, że nie ma związku przyczynowo-skutkowego między obecnością bocianów a narodzinami dzieci. Wiemy również, że bardzo wiele korelacji w naturze jest zupełnie przypadkowych – skorelowane zjawiska nie mają ze sobą żadnego związku (np. wspólnej dla obu przyczyny). Doroczne spożycie sera na głowę w USA jest silnie skorelowane z liczbą osób zmarłych w wyniku zaplątania się w prześcieradło; i co z tego wynika? W dużych zbiorach danych po prostu zawsze znajdziemy jakieś absurdalne korelacje. Odpowiadają za to wyłącznie rozmiary zbiorów i prawa matematyki. ↦

Jak rozpoznać wilka

Algorytmy – w przeciwieństwie do nas – nie mają zdrowego rozsądku i nagminnie popełniają oba opisane powyżej błędy: nadmiernej ekstrapolacji i mylenia korelacji ze związkami przyczynowymi. Oto ilustracja pierwszego z nich. Krytycy programu autonomicznych samochodów od dawna już zwracają uwagę na pewną istotną barierę w rozpoznawaniu przez nie niebezpieczeństwa na drodze. Otóż, samochody te uczą się sytuacji typowych w ruchu ulicznym, dzięki czemu „wiedzą", jak uniknąć potrącenia pieszego bądź zderzenia z innym pojazdem. Ale jak zareaguje taki samochód na lądujący awaryjnie samolot? Kamery autonomicznego samochodu niejednokrotnie obserwowały przemieszczające się na horyzoncie samoloty i uczyły się, że nie stanowią one żadnego niebezpieczeństwa w ruchu. Nie będą więc mogły wziąć pod uwagę tego, że tym razem coś z samolotem jest nie tak. A jak zareaguje taki samochód na trzęsienie ziemi? Albo tornado? Są to oczywiście wypadki bardzo rzadkie, ale krytyczne z punktu widzenia bezpieczeństwa. Zwróćmy też uwagę, że w przeciwieństwie do algorytmu, nawet początkujący kierowca będzie wiedział, co w tej sytuacji robić – że przed tornadem należy uciekać, a w przypadku trzęsienia ziemi – zatrzymać się. Problem w tym, że wiedza kierowcy o tornadach czy trzęsieniach ziemi pochodzi ze źródeł, do których algorytm nie ma dostępu.

Drugi błąd sztucznej inteligencji, a więc wykrywanie przypadkowych korelacji, zostało już udokumentowane wielokrotnie. W grupie badawczej Melanie Mitchell z Portland State University zbudowano prostą aplikację do rozpoznawania, czy na fotografii znajduje się zwierzę. Aplikacja działała znakomicie w pierwszej fazie testów, ale czasem popełniała banalnie proste błędy. Po analizie jej działania okazało się, że algorytm klasyfikował jako zwierzę każdy obiekt sfotografowany na rozmytym tle. Nic dziwnego, bo kiedy fotografujemy zwierzęta, szczególnie dzikie, robimy to najczęściej z dużej odległości i nastawiamy ostrość na obiekt naszego zainteresowania.

Inny słynny przykład to program, który miał nauczyć się odróżniać psy husky od wilków. Okazało się, że niemal wszystkie zdjęcia wilków robione były w śniegu – i algorytm skorelował obecność śniegu z etykietą „wilk".

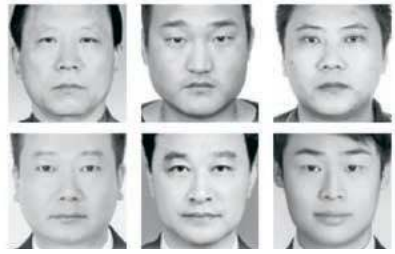

X. WU, X. ZHANG, ARXIV.ORG

Fotografie wykorzystane w eksperymencie Wu i Zhanga. W górnym rzędzie przestępcy, w dolnym prawi obywatele.

Przenośny, czyli chory

Nie wszystkie zastosowania algorytmów są na tyle błahe, żeby nad ich błędami można było przejść do porządku dziennego. Dwa lata temu John R. Zech z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco i współpracownicy w czasopiśmie „PLOS Medicine" poddali drobiazgowej analizie automatyczny system do diagnostyki zapalenia płuc na podstawie zdjęć rentgenowskich. System został wytrenowany na podstawie aż 150 tys. zdjęć pochodzących z kilku różnych szpitali. Skuteczność diagnoz okazała się bardzo niejednoznaczna: system diagnozował trafnie, jeśli zdjęcia pochodziły ze szpitala, z którym miał już do czynienia, ale nie potrafił diagnozować zdjęć z jednego szpitala, jeśli uczył się wcześniej tylko na podstawie zdjęć z innych szpitali. Wyglądało to tak, jakby stawiał diagnozę nie na podstawie obrazowanych tkanek, ale raczej w oparciu o inne informacje zawarte na kliszy.

I tak właśnie było (choć udało się zidentyfikować tylko jeden taki dodatkowy „element diagnostyczny"). Otóż w jednym ze szpitali używano, poza stacjonarnym, również przenośnego aparatu rentgenowskiego do prześwietleń leżących, ciężko chorych pacjentów. W prawym górnym rogu kliszy tego aparatu umieszczony był napis „przenośny" i w fazie uczenia się system diagnostyczny skorelował ten właśnie napis z zapaleniem płuc w zaawansowanej fazie.

Ale czy wina leży na pewno po stronie algorytmów? Przecież to ludzie, a nie algorytmy, przygotowują dane, na podstawie których algorytmy się uczą. A to wymaga bardzo dokładnego planowania i ogromnej wyobraźni. Jeśli zabraknie któregoś z tych elementów, eksperyment łatwo może zakończyć się fiaskiem. Taka historia kilka lat temu przydarzyła się naukowcom z Chin. Xiaolin Wu i Xi Zhang z Shanghai Jiao Tong University postanowili zbadać, czy na podstawie rysów twarzy uzyskanych ze zwykłego zdjęcia można zidentyfikować przestępcę. W tym celu uzyskali od chińskiej policji 730 zdjęć z dokumentów tożsamości znanych kryminalistów, a ponadto ściągnęli ze stron internetowych 1126 zdjęć (w identycznych ujęciach) uczciwych obywateli. Następnie wytrenowali przy użyciu tych zdjęć cztery różne systemy klasyfikacyjne. W przeprowadzonych testach algorytm oparty na sieciach neuronowych w 89,51 proc. przypadków trafnie wskazywał, do której grupy należy osoba na niewidzianej wcześniej fotografii.

Kto jest winny

Wobec tak wielkiego sukcesu, który mógłby mieć dalekosiężne konsekwencje społeczne, Wu i Zhang postanowili pójść o krok dalej i sprawdzić, na jakie rysy twarzy zwracał uwagę algorytm przy podejmowaniu decyzji. Okazało się, że praworządni obywatele mają dłuższe odległości między wewnętrznymi kącikami oczu, większe kąty między nosem a kącikami ust oraz mniejszą krzywiznę górnej wargi.

Za tym dość skomplikowanym opisem kryje się coś prostego: uśmiech. Algorytm nie odkrył tego, co odróżniało kryminalistów od niekryminalistów w rysach twarzy, tylko to, co ich różniło w wyrazie twarzy. Jak wspomniano, zdjęcia przestępców pochodziły z dokumentów tożsamości, na których nie wolno się uśmiechać. Pozostałe zdjęcia umieszczone zostały na stronach internetowych przez samych tam przedstawionych, którzy zapewne zadbali o to, żeby dobrze na nich wyglądać. Algorytm nauczył się identyfikować nie przestępców, ale uśmiech.

Ten przypadek świetnie ilustruje niebezpieczeństwo korzystania z niewłaściwych danych do uczenia algorytmów. Korzystając ze zdjęć pochodzących z różnych źródeł, Wu i Zhang wprowadzili nieświadomie do jednej z grup cechę ją wyróżniającą – uśmiech – która nie miała nic wspólnego z poszukiwanymi przez nich rysami twarzy. Trudno więc winić algorytm, że tę cechę wyłapał. Ale czy nie podobnie było z algorytmami opisanymi wcześniej? Wróćmy do algorytmu identyfikującego wilki. Wyobraźmy sobie, że pokazujemy dziecku, które nigdy nie widziało wcześniej ani wilka, ani śniegu, fotografie, na których jest jedno i drugie, a następnie wypowiadamy, wskazując na fotografię, słowo „wilk". Jest prawdopodobne, że w wyniku takiej nauki dziecko

nazwie śnieg wilkiem. Nie oznacza to jednak, że jest ono mało rozgarnięte – winien jest raczej ten, kto wybierał fotografie. W istocie, ten sam błąd popełnili ci, którzy wybierali w omawianych wyżej przykładach zdjęcia zwierząt i klisze rentgenowskie.

Rasizm w sądzie

Od jakiegoś czasu toczy się gorąca dyskusja na temat błędów czy też tendencyjności algorytmów w dziedzinach mających doniosłe konsekwencje społeczne. Ale i tu okazuje się, że to nie algorytm sam w sobie jest tendencyjny, ale raczej korzysta z tendencyjnie dobranych danych.

Od kilku lat używa się w sądach amerykańskich narzędzi algorytmicznych w roli doradczej przy wydawaniu wyroków sądowych. Jednym z najbardziej popularnych narzędzi tego rodzaju jest system Compas. W 2016 r. ProPublica, niezależna organizacja tropiąca nadużycia w świecie polityki i biznesu, przeprowadziła analizę funkcjonowania tego systemu. Okazało się, że Compas, oceniając ryzyko recydywy (co miało wpływ na decyzje o przedterminowych zwolnieniach osadzonych), mylił się w różny sposób zależnie od rasy przestępcy: przeszacowywał prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa przez czarnych, a niedoszacowywał je dla białych. Badanie algorytmu używanego przez Compas nie wykazało jednak żadnego ukrytego „rasizmu" w jego funkcjonowaniu. Dopiero analiza formalna przeprowadzona przez matematyczkę Alexandrę Chouldechovą z Uniwersytetu Carnegie Mellon pokazała, że to dane na temat przestępczości w USA, z których korzystał algorytm, zmuszają go do takich właśnie konkluzji.

W 2019 r. w USA głośno było również o jednym z algorytmów wspomagających lokalny system ochrony zdrowia, który przypisywał pacjentom pewną liczbę „punktów ryzyka", mających odzwierciedlać ich stan zdrowia, i na tej podstawie kierował ich do specjalistycznych programów medycznych. Problem w tym, że system dokonywał ocen w oparciu o dotychczasowe koszty leczenia danego pacjenta – a te w przypadku osób czarnoskórych były statystycznie niższe niż u białych. W efekcie biali pacjenci z takimi samymi chorobami mieli większe szanse na załapanie się do specjalistycznych programów leczniczych od osób czarnoskórych.

Całą tę sytuację opisali w „Science" Ziad Obermeyer i współpracownicy, którym udało się wprowadzić do algorytmu dodatkowe zmienne i zredukować nierówności w traktowaniu o ok. 85 proc. Źródłem problemu nie był jednak sam algorytm, lecz realia społeczne, w których osobom czarnoskórym trudniej uzyskać pomoc medyczną – co znajduje odzwierciedlenie w ich historii leczenia.

Niebezpieczne jest zbyt poważne traktowanie terminu „sztuczna inteligencja". Taka antropomorfizacja rodzi wygórowane oczekiwania: zaczynamy o algorytmach myśleć jak o maszynach myślących. Zapominamy jednocześnie, że pracują one w poznawczej izolacji: wiedzą tylko tyle, ile im wprost powiemy. Kiedy więc usłyszymy o kolejnej spektakularnej „wpadce" algorytmu, pamiętajmy, że nauczył się wszystkiego od nas.

© JAREK GRYZ

REKLAMA

PARTNER GŁÓWNY LOTTO
MECENAS ORLEN
Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Filharmonia Narodowa
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
instytut muzyki i tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
dwójka POLSKIE RADIO
INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA
CULTURE.PL ADAM MICKIEWICZ INSTITUTE
TVP KULTURA
EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO
SINFONIETTA CRACOVIA
PWM EDITION
HEXELINE
VOGUE
pap
STRÖER
RZECZPOSPOLITA
BEETHOVEN MAGAZINE

www.beethoven.org.pl

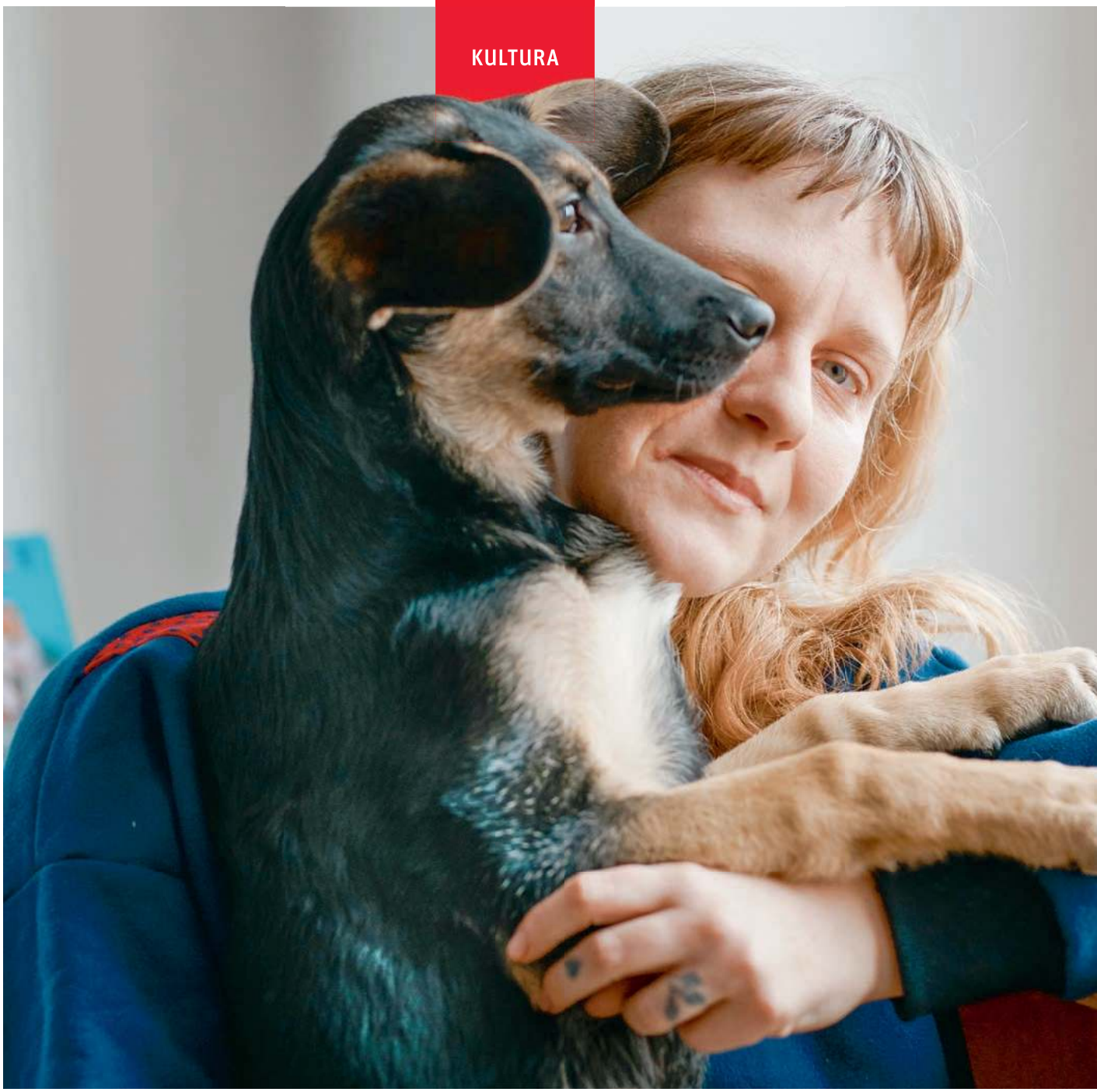

PĘKŁO

OLGA HUND, PISARKA:

Moment, w którym dziewczynka pierwszy raz wybucha niekontrolowanym, spazmatycznym płaczem, żalem i gniewem, powinien być celebrowany jak rytuał przejścia.

SEBASTIAN GLAPIŃSKI DLA „TP"

Olga Hund ze swoim psem Miśką, Łódź, 11 marca 2021 r.

OLGA HUND (ur. 1986) jest slawistką, tłumaczką i pisarką. Za książkę „Psy ras drobnych" otrzymała Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza i Nagrodę im. Josepha Conrada oraz nominację do Nagrody Literackiej Gdynia. Wkrótce nakładem wydawnictwa Czarne ukaże się jej nowa książka „Łyski liczą do trzech". Olga Hund to pseudonim literacki.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Twój pierwszy bunt?

OLGA HUND: Podstawówka, zadanie z angielskiego robię ołówkiem. Na lekcji okazuje się, że nikt inny tego zadania nie ma, więc i ja swoje wymazuję. Pani stawia mi pałę. Staram się wytłumaczyć, ale nic to nie daje.

Przegrana pozycja.

I bunt stłumiony. Czyli w sumie nie był to bunt. Chyba pierwszym prawdziwym buntem były anarchistyczne demonstracje.

Demonstracje są też ważne dla fabuły „Łyski liczą do trzech".

Moje pierwsze demonstracje zaliczałam w końcówce podstawówki. To były pikiety organizowane przez Federację Anarchistyczną. Wtedy jeszcze działał Marek Kurzyniec, w Krakowie postać znana i kontrowersyjna. Zebrania Federacji odbywały się w jego mieszkaniu przy ulicy Smoleńsk. Przez mgłę pamiętam dużo psów, dużo ludzi, dużo dymu i dużo mocnego alkoholu, którego ja jeszcze nie brałam do ust. Wyjątek stanowiło piwo. Miałam 14 lat.

Jaka była Twoja nastoletnia anarchia?

Połączona z wiarą w alternatywę – możliwość zbudowania czegoś, co oparte jest na równości i sprawiedliwości społecznej.

Jak trafiłam do tego środowiska? W podstawówce miałam koleżankę, której rodzice byli punkami. To był dziwny dom, z czaszkami i plakatami na ścianach, zupełnie inaczej umeblowany niż te, które znałam. Rodzice koleżanki pożyczyli mi parę kaset – G.B.H., Exploited, Psy Wojny. Idąc na pierwszy, drugi koncert, poznając kolejne osoby, powoli wkręcałam się w ten świat. Od piątego roku życia nie jem mięsa, a teraz słuchałam zespołów, które mówiły, że wykorzystywanie zwierząt nie jest dobre. To się łączyło.

Mówisz ważną rzecz.

O niejedzeniu zwierząt? Sytuacja wyglądała tak: siedzimy na obiedzie rodzinnym u babci. Telewizor włączony, idzie dokument, Czubówna opowiada o sawannie. Spytałam, czy kotlety, które mamy teraz na talerzach, zrobione są ze zwierząt. Rodzice mówią, że tak, a ja na to, że nie będę ich jeść. Rodzice stwierdzają, że nie mają siły na krzyki, płacze, uciszanie i zmuszanie. Że na pewno samo mi przejdzie. No i nie przeszło.

Czyli bunt.

Początkowo słuchałam tego, co się teraz nazywa jabol punk, czyli zespoły śpiewające o piciu wina i o tym, że anarchia jest wtedy, gdy nie pójdę do szkoły. Ale szybko wkręciłam się w polityczny nurt, grający ostrzej, bardziej metalowo: Harum Scarum, Tragedy, His Hero Is Gone, Jeromes Dream / Orchid... Pojawiały się w ich tekstach wątki feminizmu: że nikt nie ma prawa mówić mi, jak mam wyglądać i czy mogę sama chodzić po zmroku, że machopogo pod sceną nie jest fajne i że „gwałcicielu, dorwiemy cię". Prawa zwierząt w punk rocku nie sprowadzały się wyłącznie do ich niejedzenia. To wtedy przestałam kupować kosmetyki testowane na zwierzętach. I powoli przechodziłam na weganizm, choć to był czas robionej własnoręcznie pasty z fasoli i zielonego groszku oraz mleka sojowego, po które jeździło się do czeskiego Cieszyna. W punk rocku interesowała mnie krytyka samego systemu – tego, w jaki sposób został skonstruowany świat.

Jak?

Bogaci mają coraz więcej, a biedni coraz mniej. Wychowałam się na osiedlu na Olszy w Krakowie. Chodziłam do ubogiej podstawówki. Niektórzy moi rówieśnicy do szkoły przychodzili głodni, niektórych rodzice odsiadywali wyroki, niektórych ojcowie pijani leżeli na osiedlowej ławce. Część kolegów jeszcze w trakcie edukacji trafiła do poprawczaków. Zdarzało się, że policja przyjeżdżała pod szkołę. Swoją drogą, jej absolwentem był legendarny Misiek, który w trakcie meczu rzucił nożem w piłkarza Dino Baggio.

Od dziecka więc patrzyłam na to, że komuś może być bardzo źle.

I?

Wśród nas, dzieci o różnych statusach społecznych, podziały nie istniały. Sfera socjalno-ekonomiczna nie była tematem naszych rozmów. Zabrzmi to jak hasło z koszulki, ale wszyscy byli równi. Razem wychodziło się na tory, na boisko, za bloki.

W swojej debiutanckiej książce, „Psy ras drobnych", oddział kobiecy w szpitalu psychiatrycznym pokazujesz jako system pełen nierówności – opresyjny i upadlający. ↦

↦ **Ale dlaczego mówiłaś, że „Psy…" to będzie jedyna książka, którą napiszesz?**

Nie wierzyłam w siebie. „Psy…" pisałam z potrzeby wywalenia z siebie wszystkiego. Jakbym miała wejść na scenę i odegrać tylko jeden jedyny koncert.

Serio?

Naiwnie sądziłam, że gdy wyrzucę z siebie część gniewu, to wystarczy. To był gniew na świat, który popycha kobiety w depresje i szaleństwa, a potem się z nich śmieje, że leżą. A tłumienie to głupie dokładanie sobie. Nie zakładałam, że pisanie książek może być wypuszczaniem raz na jakiś czas wściekłości. I że będę musiała pisać coraz więcej.

Jednocześnie w gniewie tkwi pułapka. To, co się pisze pod wpływem świeżych emocji, zazwyczaj nie nadaje się do druku.

Kiedy się nadaje?

Kiedy znajdziesz formę. A ja dużo rzeczy piszę nie do druku. Tylko po to, by samą siebie rozbawić. I zrzucić napięcie.

Działa?

Bardzo. Na własny użytek piszę bajki. Osoby, które mnie zdenerwowały, mogę wcielić w role złośliwych zwierząt, których – to mnie najbardziej cieszy – w lesie nikt nie lubi. Była szefowa, której wydawało się, że umiem pracować szybciej, takie powtarzane: „wierzę w ciebie". Czy były chłopak, który krzyczał na mnie, że kupiłam mu specjalnie toksyczną sól… Nie pytaj, wciąż nie wiem, o co chodzi z tą solą, jakieś są podobno gorsze. I piszę bajkę, że zwierzęta mają grilla i wąż siedzi w kącie obrażony, że go chcieli solą otruć. A szefowej-wilka nie ma na imprezie, bo kto by ją zapraszał?

Fascynuje moment, w którym człowiek pęka przy pozornej bzdurze. Oglądam „Kuchenne rewolucje" – i jest mi przykro, kiedy uczestnikom się nie udaje. Albo program „Dom nie do poznania" – ludzi wywożą gdzieś na tydzień, w tym czasie na nowo meblują ich mieszkanie, potem właściciele wracają i płaczą ze szczęścia. A ja płaczę z nimi. Kompletnie mnie to nie interesuje, ale wtedy pękam. Cały dzień jestem smutna, a pod wieczór, przed laptopem, leją mi się łzy.

,,Psy ras drobnych " powstały też po pęknięciu – po załamaniu psychicznym.

Po dawnym pęknięciu. Notatki powstawały kilka lat – ulewało się, w końcu pękło, udało mi się z tej rozpaczy zrobić coś, co literacko mi odpowiadało.

I coś, co odczarowywało depresję kobiecą – problem zamieciony pod dywan.

Żyjemy w neoliberalnym przekonaniu, że musimy zawsze sobie radzić, że sami jesteśmy odpowiedzialni za to, jak wyglądamy, jak się zachowujemy, jak reagujemy. Co jest prawdą, ale tylko w bardzo małym stopniu. Dziś łatwiej mówi się o raku niż o depresji. Bo rak to choroba, na którą nie mamy wpływu. A na depresję mamy – to powszechne myślenie i fundamentalne zakłamanie.

Przyznanie się do depresji to przyznanie się do winy. Słyszysz: rusz się, weź się w garść, nie przesadzaj, dość z lenistwem, i tym bardziej czujesz się winna.

Słyszałaś?

Spytaj dziesięć kobiet, czy słyszały, że histeryzują, odpowiedzą, że usłyszały przynajmniej raz w życiu. W pewnym momencie nie jesteś w stanie tego słuchać. Nie masz siły kolejny raz uśmiechać się, gdy ktoś sprawia, że masz ochotę rozdrapać sobie ciało. Bo ty nie jesteś leniwa, tylko nie masz absolutnie siły. I nie wynika to też z tego, że nie chcesz tej siły mieć, bo chcesz i to jak najbardziej. Chcesz wstać z łóżka, chcesz się umyć, chcesz iść do pracy.

Zauważ: język polski ma dużo określeń na to, że robisz afery, bez względu na to, czy jesteś zdrowa, czy chora. To ciągłe wyśmiewanie, że coś z tobą jest nie tak, bo zbliża ci się okres albo masz okres, albo przechodzisz klimakterium.

Gdy jesteś dziewczynką, słyszysz, że nie możesz krzyczeć, bo nie wypada. A gdy masz już naście lat i się wkurzysz, to zwala się na „burzę hormonów".

Jak piszesz książki?

Kiedy robiłam notatki do „Psów…", był we mnie gniew na siebie samą. I na to, co przydarzyło mi się od innych. Najbardziej jestem dumna z tego, że udało mi się gniew na siebie samą wyrazić głośno.

Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale od młodości wkładałam mnóstwo wysiłku, by ukryć rodzinny problem. Dom, w którym się wychowywałam, nie był idealny. Nauczyłam się kłamać. Najpierw dotyczyło to zewnętrznych rzeczy, z czasem przerodziło się w kłamanie na temat własnych uczuć. I kiedy odkryłam, że mogę powiedzieć wprost, co się dzieje, zaczęłam wprost mówić o tym, jak ja się czuję.

Opiszesz ten moment?

Tu przychodzą na myśl same ograne sformułowania, ale taka też jest prawda: czujesz się lekko. Gniew jest jak gula. Jeśli na westernach kule co chwilę przelatują przez widnokrąg, to po twoim organizmie latają podobne kule z kłębem kurzu i śmieci. I nagle ta gula znika. Może nawet wyparowuje nosem – jak u byka złoszczącego się przez nozdrza.

A kontrola gniewu?

W idealnym świecie moment, w którym dziewczynka pierwszy raz wybucha niekontrolowanym, spazmatycznym płaczem, żalem i gniewem, powinien być nagradzany i celebrowany jak rytuał przejścia. Tę umiejętność powinniśmy nabyć we wczesnych latach, by później w miarę bezboleśnie wędrować przez życie. I szanować siebie samą – znać swoje limity, na jedne rzeczy się zgadzać, a na inne nie. Umieć pogodzić się z tym, że nie dostanie się pewnych rzeczy, w tym uczuć. Ale też wiedzieć, że po inne warto stanąć twarzą w twarz ze światem. Walczyć.

A dzieje się zupełnie odwrotnie: pierwsze nieestetyczne ataki złości są przez otoczenie tłamszone i krytykowane.

A Twój pisarski gniew?

„Łyski…", jak by się to teraz powiedziało w korporacji, są umiejętnym zarządzaniem gniewem. W „Psach…" jeszcze tego nie umiałam.

Akcja „Psów…" toczy się na oddziale psychiatrycznym, „Łysków…" – w czeskiej Pradze, gdzie mieszkałaś dwa lata. Świat przedstawiony swoich książek musisz znać z pierwszej ręki?

Nie wierzę do końca w to, że pisarze, pisarki potrafią całkowicie wymyślić coś, co nie jest połączone z ich prawdziwym życiem. A kultura czeska bliska jest polskiej i niepotrzebnie jest przez nas gloryfikowana. Sporo Polaków mówi o sobie, że są czechofilami, bo wiecznie podchmieleni Czesi mają ironiczny stosunek do życia i nie są zniewoleni przez Kościół. To wyobrażenie powstałe w wyniku lektur pięciu książek Hrabala, Kundery, reportaży i tego, że czeskie piwo jest smaczne.

A „Łyski...” dzieją się w Czechach, ale też dzieją się wszędzie. I pojawia się wymyślone plemię Caaaków.

Caaaków skojarzyłam z Romami.

Nie będę ukrywać, że inspirowałam się mniejszością romską – w Czechach i na Słowacji ogromnym problemem jest rasizm.

Inspiracją „Łysków...” był właśnie ten kontekst, chęć pokazania, że to nie jest takie różowe.

A później pomyślałam: kim ja jestem, by o tym mówić? Historia czeskiego rasizmu w stosunku do Romów powinna być napisana przez czeską Romkę lub czeskiego Roma. Ja mogłam pokazać problem szerzej. Nie będę samozwańczą adwokatką potężnej ludzkiej grupy, o której dysponuję wiedzą stereotypową. Gdy to sobie powiedziałam, poczułam ulgę. Wcześniej męczyło mnie ciśnienie, że nie podołam. I jeszcze kwestia: dlaczego mam zawłaszczać komuś literacką przestrzeń...? To tak jakby mężczyzna chciał napisać „Psy...” – historię z kobiecego oddziału psychiatrycznego.

A Twoje życie w Pradze?

W miarę możliwości piszę, wykonując przy okazji różnego rodzaju dorywcze prace. Mogę sobie pozwolić na niestabilność finansową – czekanie od fuchy do fuchy. Skąd ten komfort? W mojej rodzinie wszyscy, odpukać, są zdrowi. Nie mam też dzieci i prawdopodobnie mieć nie będę. Nie mam kredytu, nie odkładam na niczyją przyszłą edukację, nie chcę mieszkać na strzeżonym osiedlu, nie kupię sobie drona. Nie neguję tych marzeń, tylko ja ich nie mam. Punk też mnie nauczył, że nie potrzebuję wiele pieniędzy. Ubieram się w lumpeksach albo u szyjących koleżanek. Najbardziej na świecie lubię ziemniaki, więc i z jedzeniem kłopot odpada. Mam swoją bańkę – tworzą ją osoby, które pożyczą mi na czynsz i którym nie muszę tłumaczyć, że uchodźcy nie przyjdą nam wyżreć lodówki.

Przeprowadzka do Czech też odbyła się na rympał. Na koncercie w Krakowie spotkałam Muca, gitarzystę Lakki, który mi powiedział, że Zubár, któremu 13 lat temu organizowaliśmy koncert w Krakowie, szuka kogoś do pokoju w Pradze. Napisałam do niego, umówiliśmy się i przyjechałam.

A te fuchy?

SEBASTIAN GLAPIŃSKI DLA „TP”

Olga Hund, Łódź, 11 marca 2021 r.

To prace, w których się nie nudzę i w których mam kontakt z językiem. Pracując w magazynie rozmawiam w języku, w którym nie istnieje słowo „ewaluacja”, ale jest „na raty”. I słucham innych problemów – jak załatwić ubezpieczenie na lewo, albo że musisz prosić się o wypłatę. Kiedyś byłam też cieciówą w muzeum, w którym otwarto wystawę dotyczącą rozpadu Czechosłowacji, z mnóstwem stanowisk wideo i gablotek z medalami, rzeczami, które dzieci mogły rozwalić. Więc trzeba było to kontrolować. A na Praskim Quadriennale pomagałam zakładać hełmy osobom, które chciały zobaczyć wirtualną rzeczywistość. Kiedy indziej siedziałam w ciemnym, zakurzonym pomieszczeniu i sprawdzałam, czy coś nie spada z rusztowań. Praca kompletnie bez sensu, ale ktoś musiał ją wykonywać.

A Twoje prace w korporacji?

To było kilka etatów, bo czasem, gdy potrzebujesz coś znaleźć na szybko, korpo jest najprostszym rozwiązaniem. Nienawidzę tych prac. Pocę się ze stresu – i to nie jest metafora – jak ktoś mówi oczywistości oraz zdania niewnoszące nic a nic do niczyjego życia. Wróćcie mi lata słuchania, że jakiś produkt jest czemuś dedykowany, że Włoszki nie golą nóg, że po makaronie się tyje...

Natomiast w korpo nie spotkałam się z osławionym wyścigiem szczurów, pewnie zdarza się na wyższych szczeblach. Nam, ludziom z dolnych pokładów, wmówili, że nie jesteśmy klasą pracującą, tylko średnią, więc nie należy się nam bunt. I mamy ładnie mówić – udowadniać swój awans społeczny zdaniami z reklam i seriali. Oraz posłuszeństwem.

W „Łyskach...” opisujesz, jak rodzi się bunt mas. Czyli to, co teraz dzieje się na polskich ulicach. Przeczułaś Strajk Kobiet?

Nie sądziłam, że polski rząd z dnia na dzień będzie w stanie bezwzględnie zakazać aborcji. W pierwszej wersji książki demonstracja odbywała się pod hasłem „policja masz wypierdalać”. Gdy zaczęły się Strajki Kobiet, napisałam do redaktora, że chciałabym to hasło zmienić, a on się zgodził. Bo gdyby to hasło zostawić, „Łyski...” byłyby interpretowane jako opowieść odnosząca się do konkretnych protestów w Polsce... A tego bym nie chciała, bo to mocne zawężenie.

W ostatnim czasie w Polsce dwa słowa odniosły sukces: „czułość” dzięki Oldze Tokarczuk i „wypierdalać” dzięki Strajkowi Kobiet.

Te hasła doskonale wskazują na minimum, które człowiek potrzebuje do godnej egzystencji. Przede wszystkim pragnie wsparcia, bezpieczeństwa, tego, by ktoś do nas odnosił się z szacunkiem i brał nas na poważnie. O tym właśnie traktowały „Psy...” – na kobiecym oddziale psychiatrycznym czułości nie było w ogóle.

Więc podstawowe prawo człowieka można zamknąć właśnie w dwóch słowach: czułości oraz radykalnej potrzebie wyrażania sprzeciwu, jeżeli jego prawa nie są respektowane. Dlaczego dla opresora mamy być miłe? W pewnym momencie kończymy z uprzejmościami i to jest naturalne, zdrowe, potrzebne. Nie wyobrażam sobie egzystencji bez czułości i bez możliwości powiedzenia w sytuacji kryzysowej: wypierdalać.

Najważniejsze słowo dla Ciebie teraz?

Trzy słowa: „słuchaj, co mówię”. Zawierają w sobie i czułość, i odwagę. Wszystkie problemy, które pojawiają się w „Psach...”, „Łyskach...” i na demonstrujących ulicach, wynikają z tego, że ci, co powinni, nie słuchają tych, którzy mówią. Jeżeli osobie rządzącej człowiek mówi, że nie może znaleźć pracy, to niech ona się tym przejmie, a nie udziela absurdalnych rad. Jeżeli ja mówię, że jest mi źle i nie mogę wstać z łóżka, to nie znaczy, że jestem leniwa. Jeśli ciągle świadomie udajesz, że nie słyszysz słabszych – to licz się z buntem. Coraz brzydszym buntem, któremu ja będę kibicować.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Wstawać trupy!

JAN BŁASZCZAK

Przywoływali pradawne siły ludowej wyobraźni i duchy industrialnego Śląska. W Starym Teatrze budzili chtoniczne bóstwa. Teraz Furia snuje opowieść z perspektywy snu, co dla odbiorcy oznacza: ani chwili oddechu.

O tekstach Furii jej lider, Nihil, mówi tak: – To, co robię, dyktuje mi las. Wchodzę w niego coraz głębiej, coraz bardziej się z nim zestrajam. Takie połączenie z naturą jest dane każdemu, ale nie każdy je rozwija. Nie każdy ma taką potrzebę. Ja mam i ją w sobie pielęgnuję.

Umieszczając ich źródło poza sobą, ucina wszelkie pytania o inspiracje dla tych niezwykle oryginalnych utworów. Sprawia, że dociekania o ich ewolucję stają się bezcelowe. Swoimi interpretacjami powracających na płytach Furii motywów mogę się podzielić co najwyżej ze świerkowym młodnikiem i cienistą buczyną. Kto wie, może będą dla mnie równie łaskawe, jak dla Nihila, którego uczyniły jednym z najciekawszych dziś polskich tekściarzy.

A przecież jeszcze na początku tego stulecia, tuż przed debiutem Furii, metalowa muzyka ekstremalna rzadko wchodziła z polszczyzną w alianse. A jeżeli już dochodziło do takich spotkań, ich rezultatem były zwykle kalki i wyimki z oklepanego blackmetalowego bestiariusza.

– Furia od razu wydała mi się szczególna, bo poza Katem i jakimiś wyjątkami nie trafiałem wcześniej na blackmetalowe płyty, gdzie śpiewano w języku polskim – wspomina poeta Maciej Bobula, laureat m.in. wrocławskiego Silesiusa. – I tak jak Kostrzewski operował tradycyjną dla tego gatunku symboliką: szatan, trzy szóstki, rozbuchana erotyka, tak „Martwa polska jesień" Furii zawierała melancholijne, kwieciste liryki, które od razu mnie ujęły.

Wspomniany przez Bobulę płytowy debiut zespołu otwierał tetralogię pór roku. Sam pomysł nie jest nowy, ale tytuły kolejnych albumów dobrze pokazują fascynacje Nihila. W kolejności chronologicznej to: „Martwa polska jesień", „Grudzień za grudniem", „Marzannie, Królowej Polski", „Nocel". Ten zestaw mówi wiele o lirycznej tożsamości zespołu. Składa się na nią młodopolski pesymizm, lokalne zakorzenienie oraz ludowość z jej tajemną leksyką i obrzędowością. Z niej wyrasta styl, który sam zespół określa czasem mianem „nekrofolku".

Nie jest przypadkiem, że w debiutanckiej powieści Bobuli „Franciszka, Maryśka i ja" główny bohater wyciąga z odtwarzacza „Requiem ludowe" Adama Struga i na jego miejsce wkłada płytę Furii. Ryk Nihila jest biegunowo odległy od interpretacji Struga, ale wykrzyczane przez niego słowa mają podobne pochodzenie.

– Na „Marzannie, Królowej Polski" Nihil sięga chociażby po zawołanie: „kosi ta śmierć, tak kosi". Dobrze pamiętam, jak do mojej babci na wsi przychodzili kolędnicy i turoń używał tej właśnie frazy – tłumaczy Bobula. – W innym utworze słyszymy: „wyjcie psy!". W ludowym imaginarium to zwiastuje koniec. Kiedy szczekają psy, nadchodzi śmierć.

Pytany o wiejskie rytuały i archaizmy, Nihil odsyła mnie oczywiście do lasu. W tym przypadku to akurat całkiem pomocna wskazówka. W końcu świat przyrody wydaje się – *nomen omen* – naturalnym łącznikiem z kulturą ludową.

Między Wełnowcem...

Tetralogię Furii polecałbym z czystym sumieniem przede wszystkim miłośnikom metalowej ekstremy – z płytą „Księżyc milczy luty" sprawy mają się inaczej. Wydany w 2016 r. album to fascynujący stop różnych odmian metalu i lżejszych rockowych naleciałości. Od stoner-rocka i prog-rocka po sludge i post-hardcore. Ale hermetyczne etykiety nic tu nie mówią. „Księżyc milczy luty" jest bez wątpienia arcydziełem. Albumem, który na tle innych polskich płyt wydawanych w ostatniej dekadzie błyszczy odrębnością, sugestywnością i odwagą. Wydawnictwem pociągającym nie tylko muzycznym rozmachem i rozdzierającą ekspresją, ale też osobną, choć przecież umieszczoną w konkretnym miejscu na mapie liryką.

– Z czasów, kiedy powstawała Furia, pamiętam taką myśl: „przecież myślę po polsku, więc teksty muszą być po polsku" – wspomina Nihil. – Od początku towarzyszyła mi taka intuicja, że to musi być bliżej szczerości, głębi, prawdy. Poza tym byliśmy wtedy zainspirowani norweską sceną blackmetalową, która była lokalna,

Na zdjęciu poniżej i obok zespół Furia w spektaklu „Wesele", reżyseria Jan Klata, czerwiec 2017 r.

MAGDA HUECKEL / STARY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

skupiona na sobie. My to podejście przełożyliśmy na Śląsk. Co było tym bardziej naturalne, że byliśmy nim autentycznie zafascynowani, jakoś na nas działał.

Śląskie tropy pojawiały się już wcześniej w dyskografii Furii. Choćby za sprawą industrialnej budowli na okładce płyty „Nocel". Jednak dopiero na „Księżyc milczy luty", trochę jak w filmach Kutza, Śląsk stał się nie tylko scenerią dla tekstów grupy, ale nierzadko także ich bohaterem. Wydaje się on zresztą naturalnym kandydatem nie tylko ze względu na pochodzenie muzyków. Również na poziomie metaforyki ten przemysłowy region z piekielnym ukropem hut, schodzącymi pod ziemię górnikami i ciężkim od ołowiu powietrzem przystaje do stylu Nihila, który Bobula określa mianem „telluryczno-chtonicznego". Czyli blisko związanego z ziemią, z grzebaniem w niej, z tym, co znajduje się pod jej wierzchnią warstwą.

Teksty, które w ostatnich latach wykrzykuje – a czasem nawet śpiewa – Nihil, są zwięzłe, znacznie krótsze niż w początkach działalności zespołu: – Ciągnie mnie w kierunku surowości i stąd to skracanie. Wcześniej te teksty były emocjonalnymi wylewami. Dzisiaj są efektem rozważań. Opartych na strefie emocji, ale jednak będącymi rezultatem ważenia słów. A skoro już ważymy słowa, to siłą rzeczy trochę je też ociosujemy.

Dobrym tego przykładem jest otwierające płytę „Za ćmą, w dym", w którym Nihil kieruje wzrok w stronę rzadziej eksponowanego oblicza Śląska: „Przez ogród zamknięty, między Wełnowcem a Siemianowicami / dymem pola zasnute, / za ćmą, / pełny / idę. / Za ćmą, / w dym / idę".

Album „Księżyc milczy luty" kończy co prawda zawołanie do siemianowickiej Huty Laury i jej enigmatycznej, Lynchowskiej bliźniaczki Huty Luny, ale bardziej interesujące są wersy takie jak powyżej. Momenty, kiedy Furia przygląda się na wpół zdziczałym obrzeżom industrialnej aglomeracji. Na łamach „Dwutygodnika" tak pisał o tym Wawrzyn Kowalski: „Zdeformowana przyroda, która według Nihila definiuje Śląsk, podkreśla w muzyce Furii zmysł obserwacji rzeczy niestałych, korodujących. Charakterystyczną dla centralnej Europy fascynację rozpadem, rdzą i śniedzią. Grupa udowadnia, że las zniszczony kwaśnym deszczem i walający się gruz mogą być pożywką dla blackmetalowej wyobraźni (...)". Opublikowany na początku 2017 r. artykuł nie tylko zgrabnie opisywał fenomen śląskiego zespołu, ale także, całkiem nieoczekiwanie, zapoczątkował nowy rozdział w jego karierze.

MAGDA HUECKEL / STARY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

...a Bronowicami

– Kiedy czytałem tekst Wawrzyna Kowalskiego o Furii, wiedziałem już, że będę robił „Wesele", ale nie miałem jeszcze pomysłu na muzykę – wspomina reżyser i ówczesny dyrektor Starego Teatru w Krakowie, Jan Klata. – Od razu kupiłem wszystkie płyty Furii i poleciałem na zaplanowane wcześniej spotkania do Japonii. Chodziłem z tymi nagraniami po Tokio i Jokohamie, a w słuchawkach miałem ogródki działkowe na hałdach – bardzo ekscentryczne doznanie. „Za ćmą, w dym", a wokół Shinjuku.

Po powrocie do Polski reżyser zwrócił się do zespołu z propozycją współpracy. Dziś Klata nie ma wątpliwości, że bez Furii ten spektakl nie tylko by nie zaistniał, ale nie zrodziłby się nawet na poziomie koncepcyjnym. Słuchając płyty „Księżyc milczy luty", reżyser czuł synergię z tym, co ponad sto lat wcześniej Wyspiański zawarł w „Weselu": – Jak rzucimy na nie uchem, słychać tupot grasujących w tańcu bóstw chtonicznych. Nawet nie w tańcu, a w „Opętańcu", jak napisał Nihil. Furia dociera do rytualnego aspektu tego tekstu. Przecież Chochoł to nie jest po prostu jakiś osobnik z wetkniętym tu i ówdzie wiechciem!

Rola Furii była tym ważniejsza, że muzyka pełni w tym dramacie kluczową rolę. Klata podkreśla, że bez niej „Wesele" byłoby jak bezalkoholowa wódka. Zabrakłoby rytuału, materii, z której wyłaniają się widma. Zostałyby tylko słowa wiszące w próżni.

– Pamiętam, jak Klata zadzwonił do mnie po raz pierwszy z tą propozycją – wspomina Nihil. – Przedstawił się, zaczął opowiadać, kim jest i jaki ma pomysł. Kiedy padło nazwisko Wyspiański, to już wiedziałem, że to zrobimy. Bo Młoda Polska, bo Klata, bo perspektywa nowej ↦

↦ przygody, bo prestiż Starego Teatru. Z drugiej strony były też wątpliwości. My jesteśmy z założenia bezkompromisowi i trudno było nam sobie wyobrazić, że ktoś będzie wydawał nam polecenia. Ostatecznie przeważyły jednak te wszystkie podniety.

Zwyrodniała Młoda Polska

Nic dziwnego, że nazwisko autora „Wesela" dodało pewności muzykom Furii. Jeśli zagłębić się w teksty polskich zespołów metalowych, znajdziemy w nich odniesienia – albo wręcz cytaty – z Kasprowicza czy Rydla, nie mówiąc już o Micińskim i Przybyszewskim. Podobna wrażliwość nie jest obca Ślązakom.

– Do jakiegoś stopnia towarzyszy nam taki właśnie młodopolski sposób postrzegania świata – przyznaje Nihil. – Przez lata to się działo nieświadomie. W zasadzie zdałem sobie z tego sprawę niedługo przed „Weselem". Kim jesteśmy, jakim prądem płyniemy. Jak widać tym samym, którym płynął Wyspiański. Oczywiście przy nim jesteśmy nieskończenie brzydcy i zwyrodniali, ale takie mamy czasy.

Klata świetnie wyczuł to duchowe pokrewieństwo, natomiast potrzebował czegoś więcej, by mieć pewność, że podjął właściwą decyzję. Temu miała służyć pierwsza, zwołana pospiesznie próba z udziałem śląskich muzyków.

– W poniedziałek aktorzy zwykle nie pracują w teatrach, ale ściągnąłem kogo się tylko dało i oni mieli spróbować zagrać z Furią – wspomina reżyser. – Bałem się, że to będzie jak Namysłowski i górale: Namysłowski sobie, górale sobie. Że się wszystko rozjedzie, że oni nas zabiją dźwiękiem. Że nikt się tu nie przebije z mądrą frazą. Furia zaczęła grać i wtedy na scenę wskoczył Radek Krzyżowski ze słynnym monologiem Pana Młodego: „Jak się ta muzyka miele, jak na żarnach, hula, dzwończy...", doskoczył Juliusz Chrząstowski jako Gospodarz, później Panna Młoda, Poeta, inne postaci. Momentalnie, organicznie zaczęło to razem funkcjonować. Magia, po prostu magia.

JAN KLATA:

Było tak: z jednej strony narodowi artyści etatowi z Krakowa, gdzie o jedenastej to się jeszcze wybudzamy. Z drugiej – czterech ponurych żniwiarzy ze Śląska, którzy mogą być tylko na wieczornych próbach, bo za dnia pracują.

Współpraca dwóch tak różnych środowisk przysłużyła się obu stronom. Korzyści te wykraczały zresztą poza bardzo dobrze przyjęty, chętnie wystawiany także poza Krakowem spektakl. Dalej Klata: – Z jednej strony wielki, wielopokoleniowy zespół artystyczny Starego Teatru. Narodowi artyści etatowi z kawiarnianego Krakowa, gdzie o jedenastej to się jeszcze powoli wybudzamy. Z drugiej: czterech ponurych żniwiarzy ze Śląska. Muzyków działających na własnych warunkach, którzy mogą być tylko na wieczornych próbach, bo za dnia pracują. Ożywcze doznanie wytrącenia z takiego komfortowego uprawiania sztuki z perspektywą emerytury i kolejnego jubileuszu. Pobudka. Jak ten ich krzyk: „wstawać trupy!".

Wszystko się (nie) zgadza

Wydany właśnie album „W Śnialni" jest dowodem na to, że krakowski rozdział odcisnął piętno także na muzykach Furii.

Tytuł szóstego albumu Ślązaków można czytać na wielu poziomach. Wśród nich Nihil wymienia motyw snu w dramacie Wyspiańskiego, pracownię malarską śląskiej grupy Oneiron („Śnialnia"), w której pracowali muzycy, czy brak zdecydowanej reakcji społeczeństwa na odwołanie Klaty, do którego doszło na moment przed premierą spektaklu. Najważniejszą płaszczyzną, a także kluczem pomocnym w czytaniu tej płyty jest natomiast sam udział w „Weselu", który z perspektywy czasu wydał się muzykom snem.

– Wyobraź sobie hałaśliwy zespół metalowy, zupełnie niezwiązany z kulturą wysoką czy instytucjonalną – mówi Nihil. – Taki, który sobie gra i tworzy od kilkunastu lat, więc jest już jakoś ugruntowany, ociosany. I nagle dzwonią z teatru i zapraszają do wzięcia udziału w spektaklu, w którym mają być wykorzystane ich numery. Nagle siedzimy nie w barze czy klubie muzycznym, ale w narodowym teatrze. Ludzie nie szaleją pod sceną, tylko siedzą grzecznie na widowni, koncentrując się na tym, co robimy. Nasza muzyka zostaje wpisana w spektakl i staje się częścią „Wesela". To jest jak we śnie. Wszystko jest jak we śnie. Z jednej strony wszystko się zgadza – „Furia" gra swoje numery. A z drugiej strony nie zgadza się nic.

Takie spojrzenie na „W Śnialni" pozwala lepiej zrozumieć nielogiczną czy też surrealistyczną naturę tej płyty. Jej przebieg pełen zakłóceń i przeskoków. Pojawiających się krótkich fragmentów wcześniejszych nagrań, ostrych montażowych cięć, zaskakujących zmian w poziomach głośności dźwięku. O teatralnym „Weselu" przypominają tu również wypowiadający rozpisane kwestie, ale też improwizujący aktorzy związani ze Starym Teatrem oraz inspicjentka wywołująca zespół na scenę. Jej powracający głos, któremu towarzyszy blackmetalowa koda, czytam jako przebijającą się pomału świadomość.

– Na scenie przy placu Szczepańskim są duchy, a Nihil ma radar na duchy – wyznaje Klata. – Aura tego wzywania na scenę przez interkom, to przechodzenie ze świata w świat, z garderoby na korytarz, w dół po schodach, zza kulis na scenę – to jest doświadczenie totalnej transgresji, magia przepoczwarzania się. Myślę, że do Furii trafił mediumiczny charakter teatru, przecież aktorów nie chowano w poświęconej ziemi do końca XVIII wieku, bo nie wiadomo było, kogo się chowa! Podejrzewam, że podobne rytualne dwuznaczności pociągają weselny kwartet – oczywiście nie wprost, bo to są wybitni artyści. Przecież oni idą swoją drogą, w poprzek, bardzo mocno to słyszę na najnowszej płycie.

Nihil nie lubi, by zaglądać mu przez ramię. Jednak pytany, czy oto mamy do czynienia z albumem, którego nie podszepnął mu las, ostatecznie przytakuje: – Można powiedzieć, że „W Śnialni" to nasza pierwsza płyta wyjazdowa. Tym razem zgubiliśmy się nie w śląskim lesie, ale gdzieś na Plantach.

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

Marek Kondrat w filmie „Dzień świra", reż. Marek Koterski

Polska w oku

DARIUSZ KOSIŃSKI

Badania widzów kinowych ujawniły paradoksalne błaganie Polaków o „coś pozytywnego, coś, co nie będzie przesiąknięte tym, jacy jesteśmy".

Opublikowany właśnie raport nazywa się niezbyt efektownie: „Polacy o polskich filmach – opinie Polaków o polskim kinie i ich postawy wobec polskiej produkcji filmowej". Przynosi wyniki badań realizowanych w latach 2019-20 przez zespół badaczy z Uniwersytetu SWPS pod kierownictwem Mikołaja Cześnika na zlecenie Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego FINA. Ich przedmiotem były wiedza i opinie polskich widzów o rodzimej produkcji filmowej, a także praktyki jej oglądania.

W obszar badań włączono wszelkie kanały kontaktu z filmem: kino, telewizję – bezpłatną i płatną, platformy VOD, internet, nośniki cyfrowe. Wyłączono z nich natomiast seriale, co chyba było nieuchronne, choć w kontekście interesującego mnie tu najbardziej zbiorowego autoportretu zobaczonego na ekranie – nieco problematyczne. Bardziej problematyczna jest sprzeczność między twierdzeniem, że wykonane na zlecenie instytucji rządowej badania nie mają na celu „bezpośrednich praktycznych zastosowań", lecz „zdobycie nowej wiedzy o obserwowanych procesach, zjawiskach i faktach", a wyrażoną dosłownie na następnej stronie świadomością, że „mogą się one stać materiałem wyjściowym dla decydentów i pozostałych interesariuszy do projektowania działań w obszarze szeroko rozumianej kultury i polityki kulturalnej państwa".

Wiedząc, jak instrumentalnie traktują kulturę obecni decydenci, poważnie obawiam się skutków, jakie może przynieść danie „nowej wiedzy" profesorowi socjologii rezydującemu na Krakowskim Przedmieściu. Trudno oczekiwać od badaczy, by takie uwarunkowania hamowały ich prace, ale czytając raport nie sposób się uwolnić od myśli, że jego lektura zaowocuje jeszcze większą polityczną presją na polską produkcję filmową. Niedawna zmiana na stanowisku dyrektora FINA zapewne tylko przypadkiem zbiegła się z publikacją wyników badań, ale skutki tej koincydencji mogą już mieć charakter najwyższej konieczności respektowania oczekiwań władz.

Śmiech chłopskich dzieci

Badania wiedzy i opinii polskich widzów o polskich filmach przeprowadzono na trzech typach materiałów: danych statystycznych i telemetrycznych dotyczących najpopularniejszych polskich produkcji oglądanych w kinach i telewizji, wynikach ankiety sondażowej oraz wywiadach fokusowych. I już te pierwsze przyniosły niespodzianki.

Okazuje się, że największą popularnością w telewizji cieszą się „Sami swoi" Sylwestra Chęcińskiego (łącznie 63,7 mln widzów w latach 2006-19). W czołowej dziesiątce są też wszystkie pozostałe części trylogii o Pawlakach i Kargulach, dwie części „Kogla-mogla" i jeszcze kilka tytułów osadzonych w tym samym, wiejskim środowisku. Tylko dwa filmy z top dziesiątki („Jak rozpętałem II wojnę światową" i „Listy do M.") nie opowiadają historii mieszkańców wsi.

Autorzy raportu wyciągają stąd oczywisty, ale jednak jakoś zaskakujący wniosek, że „polski widz utożsamia się z bohaterem wiejskim, chłopem lub dzieckiem chłopa", a „chłopi w zetknięciu ze współczesnością – to jeden z najczęstszych motywów w popularnych obrazach". Wyjaśnieniem oczywiście jest chłopskie pochodzenie większości Polaków, którzy znajdują swoje chętnie oglądane portrety ↦

↦ nie w produkcjach najnowszych, ale starszych, pochodzących w większości z okresu PRL. Zjawisko to potwierdzają też uczestnicy badań fokusowych, którzy zauważają, że łatwiej im się utożsamić z bohaterami dawniejszych filmów.

Nie przeszkadza im wcale świadomość, że pewna przymilność wizerunku społeczeństwa wynikała wtedy z... cenzury, niepozwalającej na pokazywanie ciemnych stron rzeczywistości. Wiedzą, że pełen humoru i życzliwości filmowy świat Pawlaków był politycznie manipulowanym fałszem, ale ten fałsz właśnie daje im oczekiwaną przyjemność obcowania z pozytywnym obrazem świata. Być może wynika ona z faktu, że fałszywy obraz dotyczy przeszłości, której rosnąca część widowni już nie pamięta (zaskakująca jest popularność filmów typu „Sami swoi" w grupie młodych dorosłych). Niemniej pozostaje faktem, że przyjemności oglądania radosnego świata widzowie zdają się nie zażywać w polskim kinie współczesnym.

Wizerunek Polski, jaki pojawia się na ekranach kinowych w ostatnich latach, jest zawieszony między oczywistym fałszem reklamopodobnych komedii romantycznych a schematycznie brutalnymi filmami Patryka Vegi. Widzowie dostrzegają stereotypowość tych produkcji, choć jednocześnie – chodzą na nie chętnie, bo przedstawiciele obu typów filmów znajdują się wysoko w podsumowaniach oglądalności.

Wśród dziesięciu najpopularniejszych polskich filmów kinowych lat 2006-19 jest pięć komedii romantycznych (w tym wszystkie trzy części „Listów do M.") i dwa filmy Vegi. Dziesiątkę – co też ciekawe – uzupełniają „Kler" (film o największej widowni), „Katyń" i „Bogowie". Obecność tego drugiego nie zmienia stwierdzanego przez badaczy faktu, że polscy widzowie niechętnie oglądają obrazy wojenne i historyczne, a także dotyczące ważnych problemów społecznych. Wymienione tytuły to wśród filmów z widownią powyżej miliona wyjątki. Polscy widzowie chcą się przede wszystkim śmiać (komedie lubi aż 76,3 proc. ankietowanych, w tym 55,8 proc. zdecydowanie), ale śmiać serdecznie, ciepło i z ludzi, z którymi mogą się utożsamić, których mogą uznać za prawdziwych, z którymi koniec końców, po wszystkich narzekaniach, zasiądą do wigilijnego stołu.

Pijaństwo, buractwo i Karolak

Takich jednak, jak wynika z badań, znaleźć we współczesnym polskim filmie trudno. W części raportu omawiającej wywiady zogniskowane badacze podjęli próbę odpowiedzi na pytanie o obraz Polaków w polskim filmie, rozumiany zarówno jako „portret Polaka widziany oczami jego odbiorców", jak i wizerunek polskości ukazywanej przez prymat jej czterech elementów: tradycji, rodziny, religii i historii.

Ekranowy portret Polaka (rodzaj męski nieprzypadkowy) wypada w oczach widzów zdecydowanie negatywnie. Nawet tam, gdzie widzowie rozpoznają się w kinowej rzeczywistości, to, co widzą, nie napawa optymizmem. Trudno wszak znaleźć go w fakcie, że za ulubiony film wszech czasów chodzący do kina Polacy uznali „Dzień świra" Marka Koterskiego, a najczęściej przez nich przywoływane przykłady „typowego Polaka" pochodzą z filmów Wojciecha Smarzowskiego.

Według badanych Polak kinowy to ponurak i pesymista, który wprawdzie czasem spotyka przyjaciół wiodących radosne i spełnione życie, ale nie wierzy im ani przez chwilę, bo ich radość kojarzy mu się z cukierkowym światem reklam. Jego pesymizm potęgują kariery kombinatorów, cwaniaków, gangsterów, chciwych polityków, januszów biznesu i drobnych spryciarzy radzących sobie zgodnie z zasadą „Polak potrafi". Wszyscy oni piją na potęgę i stanowią jaskrawe przeciwieństwo wyidealizowanych bohaterów przeszłości, poświęcających się za ojczyznę, więc martwych, niemogących stanowić pozytywnych wzorów dla dzisiejszych Polaków.

Polki pojawiają się na ekranie przede wszystkim jako – by użyć wspaniałego określenia jednego z cytowanych rozmówców – „taki element ładny, no i koniec". Polka jest potrzebna jako seksowny dodatek do walczącego o swoje i cierpiącego na niespełnienie faceta, a nawet kiedy już zajmuje mocną pozycję (co, jak zauważają badani, zdarza się coraz częściej), polega ona na przejmowaniu męskiej roli. Zaskakujące jest przy tym, że w badaniach nie pojawia się ani razu wizerunek żony czy matki Polki, kobiety zajmującej się rodziną, często poświęcającej się dla jej dobra. Nie znaczy to chyba, że postaci takich w polskim filmie nie ma, a raczej że badani ich nie zauważają i nie zapamiętują.

Najważniejszy jednak wniosek, jaki wynika z badań dotyczących sposobu postrzegania swojego odbicia w „zwierciadle ekranu", jest taki, że Polacy nie odnajdują w nim swoich twarzy. Rodzima rzeczywistość ukazywana przez polskie filmy to jakieś symulakrum zbudowane ze stereotypów. Co chwila w cytowanych przez badaczy opiniach pojawia się narzekanie na schematyczne albo-albo. Albo bogaci, albo biedni. Albo wielkie, nowoczesne i „postępowe" miasta, albo zacofana, ale swojska wieś. Mieszkająca w miastach średniej wielkości równie średnia klasa na ekranie się nie pojawia, choć przed ekranem Miejskiego Ośrodka Kultury czy jedynego ocalałego kina w mieście do 40 tysięcy to ona właśnie siedzi, nabierając przekonania, że jej życie nie jest ciekawe.

Badani widzowie znają konwencje filmowe i zdają sobie sprawę, że kino wymaga sensacji, wyjątkowości, dramatu lub farsy, czyli czegoś, czego w ich życiu nie ma zbyt wiele (choć się przecież zdarza). Ale w niczym nie zmienia to faktu, że „ze względu na kontrowersyjny, negatywny i nierzadko stereotypowy wizerunek nie jest łatwo identyfikować się ze współczesnymi bohaterami polskiego kina, z ich »pijaństwem i buractwem«". Badani chętniej przyznają, że łatwiej im odnaleźć siebie w starszych produkcjach: „Ale to są zazwyczaj te starsze filmy, a nie nowsze. Jakby nie utożsamiam się z Tomaszem Karolakiem".

A jednak choć badani niechętnie utożsamiają się z postaciami, które oceniają negatywnie, to „uważają, że polskie filmy mimo wszystko portretują polską rzeczywistość". Ten paradoks wydaje mi się najważniejszym wnioskiem płynącym z badań. Wynika zeń, że dla widzów polskiego kina Polacy filmowi to jacyś „oni", niemający nic wspólnego z dobrze znanym z codzienności „my". Ale mimo to rzeczywiści. To może nie jest nasze prawdziwe życie, ale taka jest rzeczywistość „w ogóle". Pewnie, że nie tu, nie w moim codziennym doświadczeniu, ale na pewno gdzieś tam. Może w Warszawie, jeśli mieszkam w Pcimiu, a może właśnie w Pcimiu, jeśli mieszkam w Warszawie.

Polskość fasadowa

Paradoks uznawania za rzeczywisty obrazu, z którym patrzący się nie utożsa-

miają, dotyczy też polskości analizowanej poprzez odniesienie do filmowego wizerunku jej czterech filarów, za jakie badacze uznali tradycję, rodzinę, religię i historię. Wszystkie identyfikowane są w sposób schematyczny i wszystkie widziane jako zdegenerowane lub znajdujące się w kryzysie.

Tradycja kojarzy się z kulturą ludową, gościnnością, niedzielnymi obiadami po mszy, weselami i katolickimi świętami, ale to wszystko ukazywane i postrzegane jest jako zanikające, słabe, należące raczej do przeszłości niż teraźniejszości. Polska rodzina wiązana jest z jednością, spójnością, tradycyjnymi wartościami, ale i ten model ulega degradacji, bo rodziny filmowe są albo niszczone przez biedę i fatalne warunki życia, albo przez bogactwo, wiążące się z brakiem czasu dla najbliższych.

Religia wprawdzie jest wszechobecna, ale głównie fasadowo (atrybuty, miejsca, praktyki), co implikuje powierzchowność i obłudę. Jej pozytywny obraz wiążą badani z filmami historycznymi (a więc z przeszłością), albo ze społecznościami bardzo peryferyjnymi i zacofanymi. A polska wizja historii wydaje się jednostronna, oparta na „martyrologii, tym cierpieniu, które wszyscy mamy w genach"; dominują w niej klęski i poczucie tragiczności, na którą jesteśmy skazani.

Jeśli uznać, że cztery badane elementy to rzeczywiście cztery filary polskości, nie sposób nie zauważyć kolejnego paradoksu: to, co najważniejsze, ukazywane i widziane jest jako słabe, zdegenerowane, fałszywe. Nie budzi pasji, dumy i podziwu. Nie wywołuje ciepłych uczuć. Rodzi raczej smutek, żal i frustrację. O ile Polak portretowany przez film wydaje się żyć gdzie indziej, o tyle polskość, w której obronie mamy stawać, okazuje się bytem minionym i skazanym na wciąż ponawianą klęskę. Bytem fasadowym, ukrywającym pod radosnym wizerunkiem kryzys, rozpad i niechęć.

Dla widzów polskiego kina Polacy filmowi to jacyś **„oni", niemający nic wspólnego z dobrze znanym z codzienności „my".** Ale mimo to rzeczywiści.

Polska kinowa w oczach jej widzów wydaje się wykonywać wciąż ten sam gest rozrywania czczonych wizerunków, by odsłonić ukryte za nimi źródła zła i nienawiści. To, co najbardziej oficjalnie kochane i wysoko cenione, okazuje się też najbardziej nieznośne. Jakbyśmy nie byli w stanie żyć w tym, co sami uważamy za najbardziej nasze. Jakby najprawdziwszą modlitwą dobiegającą z głębi doświadczenia polskości było to błaganie, które wypowiedział jeden z badanych, zapytany, co chciałby w polskim filmie zobaczyć: „coś pozytywnego, coś, co nie będzie przesiąknięte tym, jacy jesteśmy".

Niebezpieczeństwo, które może wiązać się z przynoszącymi takie konkluzje badaniami, polega na tym, że decydenci uznają ujawnione w raporcie paradoksy nie za element społecznej rzeczywistości, ale za winę środowiska filmowego przesiąkniętego „ojkofobią" (by użyć magicznego słowa Prezesa). Polska jest wspaniała, więc widoczna w produkcjach filmowych niechęć do niej to przejaw „antypolonizmu elit". Diagnoza taka może okazać się politycznie użyteczna (a na pewno może otworzyć drzwi kariery kilku politrukom i spryciarzom), ale nie zmienia to realności problemu – rozziewu między schematami przedstawieniowymi dominującymi w polskim kinie a złożonością doświadczanej rzeczywistości społecznej. Ten sam rozziew istnieje w medialnych i politycznych przekazach dnia, niezależnie od różnic między nimi. Ale właśnie kino, przez zdiagnozowany w badaniach schematyzm swojej reprezentacji, szczególnie wyraźnie odsłania narastające zmęczenie dwoistością naszej sytuacji.

Polega ona na zasadniczej niespójności między dostępnymi wizerunkami rodzimej wspólnoty a realnością relacji międzyludzkich, w których żyjemy. Akceptujemy tak kochane przez polityków „narracje" jako obrazy całości, choć nasze nieuchronnie cząstkowe doświadczenie uczy nas czegoś zupełnie innego. Poradniki, jak na rodzinnym obiedzie nie wpaść w polityczno-medialny konflikt, opowieści prezydenta o sympatycznych gejach czy trwające od lat przyjaźnie między „PiSiorami" i „POstkomunistami" potwierdzają to na każdym kroku: żyjemy w innej Polsce niż ta, którą nieustannie nam się przedstawia. Dostarczane przez politykę, media i kulturę rozpoznania dotyczące całości większych niż środowiska doświadczane przez nas bezpośrednio nie zgadzają się z tym doświadczeniem.

Oznacza to, że Polska jako pewna całość przekraczająca horyzont codzienności przestaje mieć z tą codziennością wiele wspólnego. Z każdym rokiem rozrasta się szczelina między tą, która „jeszcze nie zginęła", a tym, czym „my żyjemy". My żyjemy tu. A Polska? Polska jest – gdzie indziej.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

TP ZA TYDZIEŃ W NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

poświęcony nowej odsłonie portalu

Wirtualne Muzea Małopolski,

o którym opowie jego redaktorka naczelna Kinga Kołodziejska.

małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO MAŁOPOLSKA

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE

Frances McDormand w filmie „Nomadland", reż. Chloé Zhao

Ballada o bezmiejscowych

ANITA PIOTROWSKA

„Nomadland" celowo zaciera granice między dokumentem a inscenizacją. Stąd zanurzenie w pejzażu, lokalnym klimacie, w prozaicznych detalach nomadycznej codzienności.

W zbiorowych wyobrażeniach o Ameryce króluje mitologia drogi. Mobilność wpisana była w tę kulturę od pionierskich początków, a jej romantyczny obraz utrwalali bitnicy, hipisi, folkowi pieśniarze i oczywiście kino, z westernem i filmem drogi na czele.

A przecież bywały czasy, kiedy wyruszano przed siebie nie tyle z potrzeby wolności, ruchu, przestrzeni czy powrotu do natury, co pod wpływem ekonomicznego przymusu. Czyli mówiąc najkrócej: z głodu. Taki obraz migracji przyniosły przede wszystkim lata Wielkiego Kryzysu, zapisane w „Gronach gniewu" Johna Steinbecka i fotografiach Dorothei Lange. Kryzys finansowy po 2008 r. ujawnił istnienie nowej generacji amerykańskich koczowników, opisanych przez Jessikę Bruder w reporterskiej książce „Nomadland. W drodze za pracą".

Największym szokiem dla niezorientowanego w temacie czytelnika mógł być wiek współczesnych nomadów. Niby wiadomo, że USA „to nie jest kraj dla starych ludzi", ale opisy morderczej pracy sezonowej wykonywanej przez osoby w wieku emerytalnym – bo nie stać je na to, by przestać pracować – robią przytłaczające wrażenie. Największym jednak objawieniem są szczegółowe relacje dotyczące stylu życia tych, którzy w wieku 60-70+ stracili swoje domy, po czym umieścili cały swój dobytek w vanie czy kamperze i wyruszyli w niekończącą się trasę.

Nic więc dziwnego, że zafascynowana książką Frances McDormand, znana ze społecznej wrażliwości i starannego doboru emploi, nabyła prawa do „Nomadland", po czym znalazła odpowiednią osobę do jej sfilmowania i zagrała główną rolę w obrazie pod tym samym tytułem. Ma on już na koncie weneckiego Złotego Lwa i Złote Globy, jest też oscarowym faworytem. Lecz mimo że ten wspaniały skądinąd film nie udaje adaptacji w sensie ścisłym, to sposób, w jaki przesuwa akcenty w stosunku do pierwowzoru, wydaje się znaczący.

Chloé Zhao, pochodząca z Chin amerykańska scenarzystka i reżyserka (rocznik 1982), postawiła na indywidualną historię i jej egzystencjalny wymiar, traktując ekonomiczny kontekst jedynie jako tło. Pojawia się co prawda informacja, że tym, co zmusiło sześćdziesięcioletnią Fern do zamieszkania w aucie, do podjęcia pracy w magazynie Amazona i kolejnych niskopłatnych zajęć, było zamknięcie kopalni gipsu w rodzinnym Empire, które stało się miastem widmem. W filmie nie brak również oskarżeń pod adresem całej konsumpcyjnej kultury i systemu wciągającego szarych obywateli w niemożliwe do spłacenia kredyty. Ekranowy „Nomadland" zamienia jednak oskarżycielski wydźwięk książki na tony bliższe wędrownej balladzie.

McDormand gra kobietę, która raz wypluta przez system, decyduje się wypisać z niego na dobre, zaczyna doceniać minimalizm i swoiście rozumianą wolność. I film stanowi pochwałę takiego wyboru,

jakkolwiek patrząc na poorane bruzdami twarze współtowarzyszy Fern, można się zastanawiać, kto tak naprawdę jest uciekinierem, a kto mimowolnym wygnańcem z amerykańskiego snu.

Zwłaszcza że w obsadzie znaleźli się autentyczni kamperowcy, jak Linda May, Swankie czy charyzmatyczny Bob Wells, przewodzący całej wspólnocie. Na ile grają siebie, a na ile po prostu są przed kamerą, ze swoimi życiorysami, poglądami, uczuciami? Trudno zgadnąć, bo „Nomadland" celowo zaciera granice między dokumentalnym zapisem a inscenizacją. Stąd szczególny charakter filmu: jego zanurzenie w pejzażu, lokalnym klimacie, w prozaicznych detalach nomadycznej codzienności; poddanie go rwanemu rytmowi drogi, cykliczności pór roku i kalendarzowi robót.

Równocześnie Zhao trochę melodramatyzuje i uszlachetnia postać Fern. Dopisuje jej np. wątek prawie romansowy, chętnie też fotografuje samotną bohaterkę w malowniczych krajobrazach i bliskim kontakcie z naturą, podlewając całość „chopinoidalną" muzyką. Za to, w przeciwieństwie do książki, pomija wiele kwestii wrażliwych, jak niszczące zdrowie i urągające godności warunki pracy, jak kwestie rasowe w plemiennej społeczności wędrowców, negatywny stosunek osiadłych Amerykanów do wagabundów na kółkach czy wpływ robotyzacji na rynek pracy krótkoterminowej.

Dlatego tu i ówdzie pojawiają się zarzuty wobec filmu – że za mało w nim gniewu i że w miejsce krytyki systemowych wypaczeń pojawia się idealizacja oddolnych inicjatyw w rodzaju pokazanej w filmie grupy wsparcia, co to zjeżdża rytualnie na pustynię, śpiewa wspólnie przy ognisku, mitologizuje swoje bycie w drodze i uparcie używa eufemizmu „bezmiejscowy" zamiast „bezdomny". A przecież – jak zauważa w książce Bruder – po tę samą wolnościowo-indywidualistyczną retorykę sięgają mówcy motywacyjni z Amazona, kiedy wabią zdesperowanych seniorów do obozów pracy zwanych CamperForce.

Twórcza zdrada – tak zmarła niedawno profesor Alicja Helman nazywała ekranizacje daleko odbiegające od swoich źródeł. Przykładem niechaj będzie „Wysoka dziewczyna" Kantemira Bałagowa, bardzo luźno inspirowana książką Swietłany Aleksijewicz „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety", a będąca filmem wielkim. W przypadku „Nomadland" oryginalny tytuł, paradokumentalna faktura i obecność naturszczyków działają bardziej zobowiązująco. Szczególnie że apolityczne potraktowanie głośnego reportażu przez Zhao staje się, chcąc nie chcąc, decyzją polityczną. Ważna jest jednak sama konstrukcja postaci Fern. Mimo że stoi za nią proletariacka przeszłość, bliska innym nomadom historia bezrobocia czy samotności tudzież podobna tęsknota za utraconym domem, bohaterka McDormand jawi się niczym outsiderka wśród outsiderów. I nie tylko dlatego, że ma za sobą także epizod nauczycielski, w jednej ze scen recytuje zaś sonet Szekspira.

Owa postać, ucząca się na naszych oczach, jak przeżyć w drodze, wydaje się chwilami kombinacją Fern, McDormand, Zhao, a nawet samej Bruder, które dla potrzeb książki lub filmu starały się poznać od podszewki koczownicze życie, choć jednocześnie były kimś z zewnątrz. Ta programowa osobność głównej bohaterki może sprawić, że ktoś dostrzeże w „Nomadland" spojrzenie paternalistyczne zamiast autentycznej solidarności z występującymi tu „żywymi" ludźmi. Wolę jednak widzieć w tym uczciwą postawę twórczyń filmu, które owszem, czerpią garściami z amerykańskiego mitu drogi (patrz zapierające dech krajobrazy w obiektywie Joshui Jamesa Richardsa), ale równocześnie zderzają go z jego własnym zaprzeczeniem – z brzydotą tych wszystkich nie-miejsc: parkingów, pralni samoobsługowych, fast foodów czy niby przytulnych prowizorek, gdzie wędrowcy usiłują urządzić sobie namiastkę domu.

Bo nie jest to przecież film o tym, jak „przetrwać w Ameryce w XXI wieku" (co głosi książka), lecz o tej jedynej w swoim rodzaju, *stricte* amerykańskiej fantazji, która sprawia, że kiedy u kresu życia z dnia na dzień traci się wszystko, to zamiast wegetować odpala się silnik i rusza gdzieś w nieznane. Jak wiele fantazji – pięknej i szkodliwej, a w czas pandemicznych ograniczeń wręcz absurdalnej. Ekranowy „Nomadland" woli jednak pozostać przy tym pierwszym i znajduje w nim swoją mądrość. ©

NOMADLAND – *reż. Chloé Zhao. Prod. USA 2020. Dystryb. Disney. W kinach od 19 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. O bogach, religiach i życiu duchowym

Przegląd, KFF VOD, 22–31 III

Kolejna odsłona dokumentów z Krakowskiego Festiwalu Filmowego przynosi tytuły związane z szeroko pojętą religijnością. Wśród nich znalazł się „Brat Jakob" Elí-Rolanda Sachsa, „Cud świętego Antoniego" Siergieja Łoznicy, „Cud św. Łazarza" Nicolasa Muñoza, „Pielgrzymi Bożego Miłosierdzia" Przemysława Jana Chrobaka i „xABo: ksiądz Boniecki" Aleksandry Potoczek.

2. Metamorfoza ptaków

Dramat, reż. Catarina Vasconcelos, Portugalia 2020, Nowe Horyzonty VOD

Omawiany niedawno na tych łamach niezwykły esej filmowy jest już dostępny w internecie. Młoda reżyserka rozrysowuje drzewo genealogiczne swojej rodziny na czułe, zmysłowe, a zarazem surrealistyczne obrazy. Próbuje zrekonstruować to wszystko, co złożyło się na głęboką historię jej najbliższych i jej własne DNA.

3. Między nami

Dokumentalny, reż. Dorota Proba, Polska 2020, vod.mdag.pl

Najprostsze pytania bywają najtrudniejsze i przynoszą czasem najciekawsze odpowiedzi. Posadzone przed kamerą trzy pary muszą skonfrontować się z tym, co dotychczas pozostawało między nimi niewypowiedziane. Efekt jest zaskakująco świeży, a intymność, jaką udało się osiągnąć reżyserce, kojarzy się z gabinetem psychoterapeuty.

4. Nowiny ze świata

Western, reż. Paul Greengrass, USA 2020, Netflix

Weteran wojny secesyjnej przemierza zniszczone, zdeprawowane, targane podziałami Południe. Dostarcza jego mieszkańcom świeżych informacji i eskortuje sierotę porwaną ongiś przez Indian. Grany przez Toma Hanksa bohater jak zwykle nadaje tej historii moralny ton, jednocześnie zahaczając o konteksty bardziej współczesne.

JAN

Klata:
Dzieje jednego wierszyka

Ładnie powiedziała wierszyk, bez tremy, dobrze wyuczony, na oczach świata. Wykorzystała swoje pięć minut podczas inauguracji Bidena na Kapitolu, a teraz zbiera owoce. Wierszyk był na zadany temat, o demokracji, zagrożeniu, promyku światła pośród ciemności i jedności, o przemianie poranionego mocarstwa w byt optymistycznie poranny, nadzieją niepłonny. Sensacja sezonu, instagram się zagotował! Bestsellerowy wierszyk już idzie do druku, w twardej oprawie, z przedmową pióra... Oprah Winfrey. Klękajcie narody.

A zatem narody klękają, na wyprzódki poszukując najlepszych tłumaczy. Ale tutaj, niestety, zaczynają się ich potknięcia. Tłumacz kataloński okazał się niewystarczająco kobiecy, młody i czarny, więc wydawnictwo musi znaleźć kogoś może mniej kompetentnego, znacznie mniej kompetentnego, ale o lepszym profilu. Tłumacz niderlandzki spełniał więcej kryteriów jako osoba młoda i niebinarna, jednak wystarczy rzucić okiem na portret, żeby spostrzec, że też jednak ostatecznie nie pasuje, ze względu na kolor włosów – a zatem odpada. Obu translatorom wypłacono honoraria za wykonaną robotę, której efektów wydawnictwa nie wydrukują, żeby nie urazić poetki ani jej agentów/agentek.

Jak reagują ofiary profilowania? Spod pióra Marieke Lucasa Rijneveld spłynął okolicznościowy wiersz, natomiast autor katalońskiego przekładu, Victor Obiols, wielce ryzykownie zwrócił uwagę, że ponieważ nie jest Anglikiem z XVI wieku, nie powinien przekładać Szekspira, i Homera też nie – bo co z niego za starożytny Grek. I słusznie, niech się ludziska sami tłumaczą, dlaczego nie spełniają kryteriów.

Poetka, której nazwiska nie śmiem wymienić, gdyż nie mam prawa z uwagi na mój totalnie nieodpowiedni profil, zamierza wystartować w wyborach prezydenckich 2036 r. Oto ścieżka kariery na amerykańską skalę, ścieżka na szczyt pojednania ludzi bez dyskryminacji ze względu na kolor skóry, wiek, płeć, cokolwiek. Cóż za wspaniała perspektywa. 2036? Do tego czasu nie powinno być problemu z tłumaczeniem. ©

Lektor:
Czesi mniej znani

▪ *Jindřich Chalupecký*
CZESCY EKSPRESJONIŚCI
Przełożyli: Joanna Goszczyńska, Andrzej S. Jagodziński i Józef Waczków. Wydawnictwo słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2020, ss. 270.

Trzej pisarze-outsiderzy odbiegający od stereotypowych wyobrażeń o literaturze czeskiej: Richard Weiner (1884–1937), Ladislav Klíma (1878–1928), Jakub Deml (1878–1961). I pisarz czwarty – Jaroslav Hašek (1883–1923), ofiara stereotypów, opartych bardziej na ilustracjach Josefa Lady przedstawiających zacnego Szwejka niż na uważnej lekturze sławnej powieści, tutaj zdecydowanie odpoczciwiony. Autor zaś (1910–1990) to jeden z najważniejszych czeskich krytyków i teoretyków literatury i sztuki nowoczesnej oraz kuratorów wystaw, po przewrocie 1948 r. i w okresie „normalizacji" odsunięty od wszelkich funkcji i pozbawiony możliwości publikacji w kraju. Pisał jednak cały czas – teksty zebrane w „Czeskich ekspresjonistach" powstawały w latach 70. – wpływał na młodsze pokolenia, drukował za granicą (we Francji, a także w naszej „Literaturze na Świecie") i w drugim obiegu.

O Hašku wiedzą wszyscy, nawet jeśli nie czytali żadnego z dotychczasowych przekładów „Szwejka", ale i książki pierwszej trójki mamy po polsku. Wydany w 1984 r. w serii Nike dyptyk Weinera, składający się z „Gry w ćwiartowanie" i „Rewanżowej gry w honor", doczekał się u nas grona zaprzysięgłych wielbicieli, podobnie jak „Zapomniane światło" – arcydzieło Demla opublikowane w 2000 r. przez Czarne, i „Cierpienia księcia Sternenhocha" Klímy (1980, Wydawnictwo Literackie). To zasługa bohemistów – Andrzeja Piotrowskiego, Józefa Waczkowa, Jacka Balucha, Maryny Miklaszewskiej, Leszka Engelkinga. „Twórczość Demla wystaje z czeskiej literatury jak potężny głaz" – napisał krytyk Bedřich Fučík. Chalupecký pokazuje, że takich samotnych głazów było kilka i że tworzą one, przy wszystkich różnicach, pewną konstelację. Weiner – czeski Żyd; Deml – ksiądz katolicki; Klíma – „nihilistyczny eschatolog"; wszyscy przeżywają dramat „rozpadu osobowości, a więc i świata", współczesną historię postrzegają jako apokalipsę. Doświadczenie artystyczne przenika u nich do życia, a życie – do literatury. Także u Haška obie te płaszczyzny się nakładają. Gdy zaś odnajdzie w końcu spełnienie w fikcyjnym świecie literatury, bezsensowi rozpadającej się rzeczywistości przeciwstawi w swej wielkiej powieści – idiotę. „Tu – konkluduje Chalupecký – dla współczesnego świata nie ma już żadnego ratunku". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Demeter i Kropotkin

Demeter. Coraz częściej spotykam boginię w sklepie, na półkach z jedzeniem. Chodzi między regałami, zwołując obecne w supermarkecie dorosłe kobiety na Tesmoforia, tajemnicze święto związane z ziemią i płodnością. Zakazane dla mężczyzn, a więc prawie nam dziś nieznane w szczegółach, bo świadectwa, które służą do odbudowy starożytnych fundamentów naszej kultury, pisali właśnie oni. Wiemy jednak ze strzępów tekstów, że w trakcie obrzędów uczestniczki tworzyły i składały w ofierze falliczne symbole. Wszak chodziło o płodność i żywotność, zarówno gleby, jak i człowieka.

Znów bajdurzę, za dużo mi w dzieciństwie czytano książeczek z mitami. Żadnej procesji nie będzie. Sklep to świątynia innego kultu. Falliczne symbole zostały w równym stopniu co zboże, oliwa i wino poddane rynkowej logice przesytu, stoją więc tuzinami w sklepie po drugiej stronie ulicy, jako narzędzia bezpiecznej, bo jałowej przyjemności. Za to imię Demeter stało się marką oznaczającą płody rolne i towary spożywcze wytworzone zgodnie z zasadami biodynamiki.

To jest wyższy stopień wtajemniczenia w rolnictwie ekologicznym, mieszanka tradycyjnych praktyk zgodnych z rytmami przyrody – z teozoficzną koncepcją kosmicznej harmonii z przełomu XIX i XX wieku. Nie miejsce tu na opisy procedur, faktem jest, że zboża, warzywa i owoce z uprawy biodynamicznej są dobrej jakości choćby z tego powodu, że wymagały więcej pracy i troski niż „normalna" uprawa.

W berlińskim supermarkecie, dokąd ostatnio znów chodziłem po zakupy, oznaczenie „bio" widnieje na co najmniej połowie dostępnych w skrzynkach warzyw i owoców. W bogatych krajach, a w każdym razie w ich lepszych dzielnicach, już dawno przestała to być nisza. Takie jedzenie jest nieco droższe i trochę mniej rozmaite – ale o to przecież właśnie chodzi, żeby wyzwolić się od najgorszego zaklęcia konsumpcjonizmu, że istnieje mianowicie tani lunch. Realne, pośrednie koszty bardzo wielu składników naszej diety, zwłaszcza mięsnych, przekraczają kilkadziesiąt razy to, co widzimy na metce cenowej, ale wolimy o tym nie myśleć, złapani w pułapkę coraz szybszej gratyfikacji. „Omija nas radość, bo nasze potrzeby są zbyt łatwo zaspokajane (...) dobre odżywianie jest podstawą dobrego życia, ale to zakłada umiejętność przestania". Tak pisze brytyjska badaczka relacji między miastami a jedzeniem Carolyn Steel w książce „Sitopia", która w polskiej wersji niebawem dotrze na półki. W tytule pobrzmiewa słowo utopia (połączone z *sitos* – po grecku zboże), za lekturę brałem się więc sceptycznie. Zbyt wiele razy miałem do czynienia z poczciwą krytyką cywilizacji, która zrodziła rolnictwo przemysłowe i masową dystrybucję, za czym szły jedynie naiwne recepty dające się stosować tylko gdzieniegdzie na sytym Zachodzie.

Także u Steel znajdziemy takie stwierdzenia: „jesteśmy częścią szeregu społecznych, politycznych i gospodarczych układów, które m.in. uciskają pracowników, wykorzystują zwierzęta, zatruwają oceany, niszczą ekosystemy i wydmuchują gazy cieplarniane". Co jednak dalej? Bywają koncepcje naprawy świata, które w retoryce udają realistyczny projekt, podczas gdy są pełną chciejstwa fikcją. Może na zasadzie przeciwieństwa w książce, która z góry przestrzega, że opowiada o utopii, znajdzie się parę cząstkowych pomysłów, popychających sprawy do przodu?

Po pierwsze, nie może być to nostalgiczna droga wstecz. Dobre życie, tak jak je rozumiał Epikur – wolne od skrajności, nieuciekające przed doświadczeniem braku – musi się dziać na bazie tego, co zastaliśmy. W miastach, które za nic nie będą chciały się znów skurczyć w arkadyjskie wioski. Kilka dobrych pomysłów w tym duchu znajdziemy na kartach książki. Jest jedno ale: budując, trzeba to i owo wykarczować. Potłuc trochę porcelany. Nie zaskakuje zatem, że w „Sitopii" sporo jest odniesień do tradycji anarchizmu i myśli Kropotkina. Autorka nie wiąże wszystkich nitek do końca, ale dla uważnego czytelnika jest jasne, że niektóre pewniki ustrojowe trzeba by rozpuścić w kwasie anarchizmu. Żeby wróciła do nas Demeter w całej krasie, a nie tylko jako nalepka na elitarnych produktach. Nawet jeśli nie wybije godzina rewolucji i dynamit zamoknie w skrzyniach, to siatka na zakupy może być bombą w waszych rękach. ©℗

W oczekiwaniu na moment, kiedy Demeter przestanie się na nas gniewać i da nam coś zielonego, trzeba urozmaicać sobie burą paletę, która nas trzymała przy życiu. Kiedy jeszcze karmiłem swoje potomstwo, na przednówku kombinowałem, jak je zachęcić, by znów zjadło ziemniaki. Najprostszy i niezawodny jest sposób Francuzów – podać je zapiekane na sposób z Delfinatu. W garnuszku ogrzewamy 300 ml mleka i 300 ml śmietanki z ząbkiem czosnku i cebulą przekrojoną na pół. Kiedy będzie blisko wrzenia, wyłączamy gaz i odstawiamy na parę minut, odcedzamy, dodajemy trochę gałki muszkatołowej. W tym czasie kroimy kilo zwartych ziemniaków na plasterki grubości 3 mm i smarujemy szczodrze masłem formę do pieczenia wielkości ok. 20x30 cm. Wykładamy warstwę ziemniaków ułożonych w dachówkę, zalewamy połową mieszanki mlecznej, solimy. Potem druga warstwa ziemniaków, zalewamy resztą, posypujemy garścią parmezanu lub ementalera, pieczemy w 180 stopniach przez pół godziny przykryte folią, przez następne pół odkryte, aż się ładnie ozłoci. Jeśli dzieci bardzo głodne, można odpuścić sobie etap gotowania mleka z czosnkiem i cebulą, za to warto rozsypać między warstwami parę plasterków czosnku.

UCKYO / ADOBE STOCK

POCZĄTEK POLSKI

To trwa już od jesieni.
Wraz z pierwszymi sztormami nad Bałtykiem
rozbudowuje się niż melancholii.
Czuć go w szumie powykręcanych sosen,
sinym kolorze morza, wszechobecnej pustce.
I nie chce odejść.

MICHAŁ SOWIŃSKI

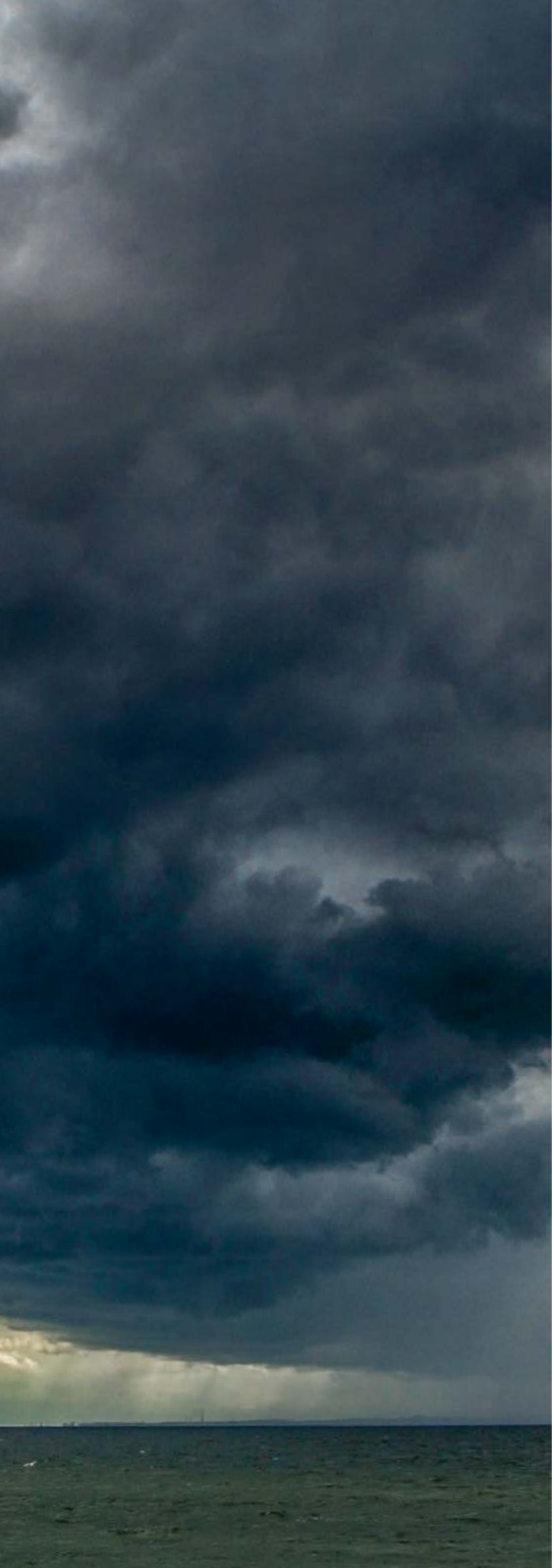

PIOTR ZAJĄC / REPORTER

Była druga połowa września, już ciemno, bo o tej porze roku na Helu zmierzch zapada wcześnie. Szliśmy we dwóch po plaży, bo co innego można robić w małym miasteczku nad morzem u schyłku sezonu. W oddali paliło się światło, podeszliśmy. Mały plastikowy grzybek, jakich pełno wyrosło w ostatnich latach. W środku pusto, tylko starsza pani za barem rozwiązuje krzyżówki. Zmarzliśmy, bo wiało bardziej niż zwykle. Zamówiliśmy herbatę na rozgrzewkę. „Z cytryną i cukrem proszę" – zamawiam. „Niestety, może być tylko z cukrem – odpowiada uprzejmie barmanka. – Nie możemy podawać cytryn, bo nie spełniamy wymogów sanitarnych". Zabrzmiało to dziwnie i niepokojąco. „Nie mamy bieżącej wody, więc nie możemy ich myć. Co zrobić – sanepid...". W tego typu rozmowach słowo „sanepid" kończy dyskusję, zostaje tylko smutne kiwanie głową.

Zabraliśmy nasze herbaty bez cytryn, i jeszcze po pięćdziesiątce. Usiedliśmy przy stoliku na plaży. Zimno, ale siedzieć za plastikiem w szumiącej ciemności jednak głupio. Nie minął kwadrans, a zza plandeki wyszła pani barmanka, odpowiednio opatulona, i przysiadła się. Na papierosa. Niepytana zaczęła opowiadać, że tkwi tu bez sensu cały dzień, prawie nikogo nie ma, ale właściciel uparcie wierzy w „poszerzanie sezonu nad Bałtykiem".

„Nie zimno pani?" – pytam, bo o co można zapytać samotną barmankę na końcu świata. „Przyzwyczaiłam się. Gorzej, jak jest sztorm, wtedy wszystko się trzęsie. Tydzień temu kawał dachu mi urwało. Ale i tak jest lepiej, w zeszłym roku pracowałam w takiej samej budce, tylko że w Jastarni. Tam plaża węższa, to czasem fale się wlewają". Zgasiła papierosa i powiedziała, że zaraz zamyka, więc ostatnie zamówienia. Zamówiliśmy i zapytaliśmy, czy możemy sobie tu jeszcze posiedzieć. „Pewnie, tylko złóżcie potem krzesła" – powiedziała i ruszyła gasić światło oraz zamykać plastikowe drzwi, symboliczne, bo nawet przed wiatrem słabo chroniły.

Siedzieliśmy więc dalej, teraz już w całkowitych ciemnościach. Rozmowa jakoś się nie kleiła, ale nieprzerwany i chaotyczny szum fal dobrze się z tym komponował. Jeżeli ktoś lubi spotykać ludzi „z końca świata", to Hel może być dobrym treningiem przed wyjazdami na Kamczatkę albo Alaskę. Nie minął bowiem kwadrans, a z ciemności wyłoniła się kolejna postać – tym razem mężczyzna przed sześćdziesiątką, ubrany na czarno, w grubym polarze i czapce naciśniętej na oczy. „A co wy tu robicie?" – zapytał ze wschodnim akcentem. „Pani Barbara nam pozwoliła" – odpowiadamy zgodnie z prawdą. Po chwili wahania chyba nam uwierzył, bo też postanowił dosiąść się na papierosa.

Okoliczności najwyraźniej sprzyjały opowiadaniu swojego życia obcym. Okazało się, że pan Andriej pochodzi ze wschodniej Ukrainy i przyjechał do Polski, żeby przepracować kilka lat brakujących mu do emerytury. Najął się więc jako ochroniarz. „Ale ochroniarz czego?" – pytam delikatnie. „No tego wszystkiego" – odpowiedział zrezygnowany, nieokreślonym gestem wskazując otaczające nas ciemności. „Tych stolików i krzeseł. Bo czasem przyjdą jacyś pijani gówniarze i demolują, ot tak, dla zabawy". Zapalił drugiego papierosa. „A nie zimno panu?" – tym razem zagaduje kolega. ↦

Hel, lipiec 2020 r.

↦ „Idzie się przyzwyczaić. Jodu się nawdycham za darmo, a zachody i wschody słońca to tak piękne, że trudno nawet opisać". Potem już nie spotkaliśmy nikogo.

Bez śladów

Teraz, zimą, nikt nie pilnuje stolików ani krzeseł, bo już ich nie ma – pochowane po magazynach albo zdemontowane i przykryte dyktą. A po plastikowych grzybkach zostały tylko kable i fundamenty z kostki brukowej. Zapewne nie przetrwałyby sztormowego sezonu. W ogóle niewiele zostało, prawie nic. Nie ma ludzi, plastikowych zabawek i zapachu gofrów, który latem wydaje się wżerać w piasek i drzewa. Główne deptaki wszystkich nadmorskich miasteczek: Helu, Jastarni, Władysławowa, Łeby – zamknięte na głucho. W oknach restauracji widać tylko meble złożone w kąt sali i przykryte jakimś prześcieradłem. Nieliczni ryzykują częściowe otwarcie, licząc na weekendowych turystów, ale wszystko w rękach kapryśnej bałtyckiej pogody.

Niesprzedane pluszowe foki, marynarskie czapki i kolorowe muszelki powędrowały do pudeł, z których wychyną nieśmiało dopiero z początkiem nowego sezonu, czyli w okolicach majówki. Ofiarą zimowej implozji padają także parkingi – latem wszechobecne i reklamowane żywą gestykulacją parkingowych, oferujących czasem luksusowe miejsca w cieniu (jak gdyby nadmiar słońca był poważnym problemem nad Bałtykiem). Zimą, bezpłatne i niestrzeżone, wracają do swojej pierwotnej formy, czyli błotnistych klepisk poutykanych między świeżo wybudowanymi apartamentowcami a budkami z lodami.

Pusto i dziwnie, bo przecież cała ta infrastruktura, mimo że sklecona z byle czego, bez ładu i składu, posiada olbrzymie moce przerobowe. Zapewne w ilości serwowanych gofrów na godzinę i obejrzanych fok na minutę jesteśmy w światowej czołówce. A zimą wszystko zamiera, jak las w grudniu, który sprawia wrażenie, jakby miał już nigdy się nie zazielenić. Jak wielki całodobowy supermarket o trzeciej w nocy, w którym czynna jest tylko jedna kasa, a z głośników nie leci muzyka ani reklamy taniego mięsa (wszyscy melancholicy powinni robić zakupy o tej porze).

Trudno się w tej przestrzeni poruszać, trudno się w niej w ogóle zachować. Z całego letniego anturażu zostały tylko porozrzucane tu i ówdzie pocztówkomaty, przerażające maszyny, które co kilkanaście sekund wykrzykują „jeśli chcesz utrwalić swoje wspomnienia znad morza, wciśnij jeden". Cóż poradzić, ale najtrafniejsze wydaje się banalne porównanie – jak we śnie. Takim dziwnym, długo zapadającym w pamięć. Nawet plaża jest inna. Przy minus 10 stopniach morze oczywiście nie zamarza, ale piach już tak. Zamienia się w twardą, bardzo śliską skorupę, której nie da się przebić stopą. Tak więc idąc w stronę morza nie zostawia się śladów.

Żeby jeszcze podkręcić melancholijny nastrój, wcisnąć do oporu pedał patosu, można przejść się na sam koniec Helu, wąski na kilkadziesiąt metrów cypel oblewany przez morze z trzech stron, a smagany wiatrem chyba ze wszystkich. Nie da się z dokładnością co do metra określić, w którym miejscu znajduje się ten koniec. Helanie na pobliskim głazie zamieścili tablicę „Początek Polski", czyli nawet pusta szklanka przy odrobinie dobrej woli może być pełna. Widać nie tylko mnie nurtował ten problem, bo w miejscu, które od biedy można by uznać za metr dalej wysunięte w stronę zatoki od innych, ktoś wbił gruby kij.

Potem można wrócić okrężną drogą, przez zrujnowaną dzielnicę portową – olbrzymie, zardzewiałe hale z wybitymi szybami, fragmenty torów znikąd donikąd i łopoczące tu i ówdzie niepotrzebne chorągiewki sygnałowe, wyprane z sensu. Widmo dawnego przemysłu przetwórstwa rybnego, który nie przetrwał zderzenia z transformacją.

Podziemne miasto

Poczucie izolacji w zimowym Helu jest wszechobecne. Jeszcze w XIX wieku właściwie nie istniała całoroczna droga lądowa stąd do Wielkiej Wsi (dzisiejsze Władysławowo). W 1892 r. uruchomiono pierwsze stałe połączenie statkiem parowym z Gdańskiem. Wcześniej pozostawały tylko uzależnione od pogody łódki rybackie. Na początku XX wieku wciąż istniał jeszcze zwyczaj trzymania pustej trumny w każdej chałupie – zimą mogłoby nie udać się sprowadzić jej na czas.

Nie zawsze jednak tak było. W średniowieczu miasto kwitło, w złotym okresie było jednym z najważniejszych portów nad Bałtykiem. U jego brzegów przepływały regularnie olbrzymie ławice śledzi – jednego z najważniejszych surowców spożywczych tamtej epoki. Smaczny i pożywny, ale przede wszystkim dający się łatwo konserwować, a więc i przewozić, miał duże znaczenie militarne. W zakonie krzyżackim istniała nawet specjalna jednostka zajmująca się zarządzaniem gospodarką śledziową. Hel nie wytrzymał jednak konkurencji z Gdańskiem, któremu został ostatecznie podporządkowany dekretem Zygmunta Starego. Podupadł i wyludnił się.

Albo spotkała go kara za grzechy. Jak wiadomo, miasta portowe nie słyną z pobożności i cnoty. Pycha i rozpusta obywateli Helu wołała o pomstę do nieba. Miasteczko zostało pochłonięte przez zimne bałtyckie fale. Przetrwała tylko niewielka kolonia, oddalona o kilka kilometrów od gniazda rozpusty, zapewne zamieszkała przez ludzi prawych. Katastrofa miała nastąpić w Zielone Świątki, tego też dnia co roku rozbrzmiewa podwodny dzwon i biada rybakowi, który go usłyszy (dlatego przezornie tego dnia nikt nie wypływa na połów).

Rybakom od czasu do czasu zdarzało się wyciągać z sieci ludzkie kości – co miało być dowodem na istnienie dawnego miasta grzechu. Zagadka rozwiązała się w połowie lat 30. XX wieku, gdy rozpoczęto budowę portu wojennego. Kilkanaście metrów od brzegu natrafiono na ruiny średniowiecznych budowli. Miasto faktycznie zatonęło z powodów geologicznych – tempo erozji wybrzeża helskiego może się dokonywać z biblijnym rozmachem. A kości, dobrze zakonserwowane, powoli wypływały z podwodnego cmentarza. Prace archeologiczne zostały jednak szybko przerwane – wojna wisiała w powietrzu, trzeba było się zbroić, a nie zagłębiać w atlantydzkie mity.

Grabarz-zbieracz

Hel ma to do siebie, że pojawia się i znika. Prądy morskie umacniają go piachem, ale wiatry przesuwają w różne strony. W XIX wieku pruska administracja postanowiła położyć kres tej kapryśnej akumulacji i zapadła decyzja o posadzeniu gęstego lasu sosnowego, którego korzenie związały ulotne podłoże. Ale nawet germański *Ordnung* nie wygra z holoceń-

skimi osadami. Jeszcze dziś, przy zastosowaniu nowoczesnych technik ochronnych, bywają sztormy, które przerywają półwysep w najwęższych miejscach. Wcześniej zdarzały się osuwiska torów, a w piachach tonęły wozy i pierwsze automobile warszawskich urlopowiczów.

Albo cmentarze. Bo helska makabreska z wypływającymi szczątkami ma długą tradycję. Mijając Jastarnię po prawej stronie można zobaczyć kilkumetrowy pagórek z żelaznym krzyżem na szczycie. Wzniesienie jest częścią nieistniejącego już wzgórza cmentarnego Jastarni-Boru. Chowano na nim nie tylko rybaków z tej części miasteczka, ale także ciała rozbitków wyrzucanych na brzeg. Pod koniec lat 70. XIX wieku, kiedy odbywał się tam ostatni pochówek, wzgórze sięgało aż do brzegu Zatoki Puckiej, teraz oddalonej o kilkadziesiąt metrów.

W lokalnych opowieściach utrwaliła się postać ostatniego grabarza. Oprócz standardowych czynności związanych ze swoim fachem, do jego obowiązków należało również przeczesywanie plaży po każdym większym sztormie, w poszukiwaniu wymytych przez wodę ludzkich kości. Po każdej potężnej nawałnicy cmentarne wzgórze, a także liczba jego rezydentów, się kurczyło. Proces zatrzymał się dopiero po zbudowaniu pobliskiego portu pod koniec lat 20. XX wieku, gdy umocniono sporą część linii brzegowej.

Trudno przejść nad tą opowieścią do porządku dziennego. W tej zimnej i piaszczystej krainie nawet wieczny odpoczynek nie jest pewny. A można jeszcze mocniej: pamięć wymazywana przez wodę i wiatr, kości zakopywane nie wiadomo ile razy w niekończącym się cyklu sztormowo-pogrzebowym. No i ten ostatni grabarz-zbieracz. Czy jak umarł, to jego kości też wymyła woda? A może ktoś je litościwie pozbierał z piasku? Pewnie pochowano go gdzieś indziej, no ale...

Światło latarni jest marynarzom potrzebne nawet w czasach GPS.

Coś rozbłyskuje na niewidocznej linii horyzontu, co znaczy, że ktoś czuwa i pamięta, nawet jeżeli w tym czasie ogląda seriale w swoim domku.

Najdalsze światło

Gdyby melancholię przepisać na język architektury, z pewnością przyjęłaby formę latarni morskiej. Choć istniały od starożytności, dopiero w drugiej połowie XIX wieku przyjmują swój ostateczny kształt – architektoniczny, ale i symboliczny. Wieża wbita w kraniec lądu, jak warownia strzegąca granicy. Symbol triumfu człowieka nad żywiołami albo wręcz przeciwnie – dowód jego małości wobec nieskończonej pustki horyzontu.

Jules Verne w swojej mało znanej (bo też i nie najlepszej) powieści „Latarnia na końcu świata" wyciąga ich metaforyczną esencję. Tytułowa latarnia została wzniesiona w pobliżu przylądka Horn i miała strzec marynarzy przepływających przez bramę dwóch oceanów, najniebezpieczniejsze miejsce na wodach naszej planety. Ale przecież nie tylko o nawigację chodziło. Latarnia to światło w ciemności, reduta cywilizacji, strażnica wartości – wszak podli piraci ostatecznie zostali pokonani u Verne'a przez prawego latarnika (wspieranego przez argentyńską marynarkę).

Nam oczywiście bliższy jest inny latarnik, Henryk Skawiński, ten ze szkolnej lektury. Co znaczące, on również strzeże kluczowego miejsca, czyli wejścia do portu w Panamie, a z jego wieży widać dwa oceany. Sponiewierany włóczęgą po świecie, były żołnierz, który na starość chce jedynie w samotności słuchać ciszy. Pozbawieni melancholijnego bakcyla faronauci wytykają Sienkiewiczowi, że prawdziwy latarnik nigdy nie pracował w pojedynkę – zawsze miał zmiennika, częściej nawet dwóch. Nie o szczegóły konstrukcji laterny albo obsługi aparatu Fresnela wszak tu chodzi, lecz o nawołującą nieskończoność morza i śmierci. Ekstremalna melancholia, która rozbiła łódź z San-Geromo.

Już kilka dekad temu upowszechnił się system GPS, w który zaopatrzone są nawet najmniejsze kutry rybackie. 31 satelitów krążących na średniej orbicie okołoziemskiej zastąpiło niepewne i nie zawsze widoczne światło palone od tysiącleci na brzegach całego świata (dodajmy: nie zawsze w dobrej wierze, wszak prawo morskie pozwalało zatrzymać znalazcy wszelkie dobra wyrzucone przez morze, więc pokusa palenia zwodniczych ognisk była duża).

Jaki jest więc dziś pożytek z latarni, poza tym, że są niesamowicie piękne? Jeśli ktoś chciałby szybko zirytować latarników, może na wstępie zadać im to pytanie (metoda sprawdzona kilka razy w praktyce). Gdy jednak już uda się ich z powrotem udobruchać (najlepiej popisując się znajomością technikaliów konkretnej latarni) – pojawia się ta sama odpowiedź. Światło w atramentowej ciemności morskiej nocy jest marynarzom potrzebne nie tyle do nawigacji, co dla otuchy. Coś rozbłyskuje na niewidocznej linii horyzontu, ktoś czuwa i pamięta, nawet jeżeli w tym czasie ogląda seriale w swoim przylatarnianym domu.

Zima to najlepszy czas na rozmowę z latarnikiem. Nie ma wtedy turystów, więc nie trzeba po nich sprzątać ani sprzedawać biletów. „Od razu uprzedzę pana następne pytanie – moja praca nie ma nic wspólnego z Sienkiewiczem" – helski latarnik wyprzedził mój pomysł na podtrzymanie dyskusji. Poza obsługą zwiedzających, których w sezonie potrafi być nawet 800 dziennie, to praca czysto techniczna. Każdy latarnik ma porządne przeszkolenie elektryczne – naprawia przewody, instalacje, dba o zapasowe generatory prądu. No i oczywiście wymienia żarówki. Kiedyś nawet udało mi się wyprosić jedną w Stilo, ale miałem wtedy wsparcie mojego ojca-marynarza, a przedstawiciele tych dwóch profesji potrafią szybko nawiązać więź nieosiągalną dla innych śmiertelników.

„Wchodzę na górę przynajmniej raz dziennie, czasem kilka razy, jak wiem, że będzie widowiskowy zachód słońca. Lubię też sztormy, wtedy wszystko się trzęsie" – opowiada mi popijając fusiastą kawę przy biurku swojej służbówki. „A to co?" – pytam, wskazując na skrzynkę z dwiema lampkami przytwierdzoną do ściany. „Jak się pali zielona, to znaczy, że latarnia świeci. Jak czerwona, to coś się zepsuło".

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Lisy, ludzie i słowa

Jeśli idzie o szczepionki, to najnowszy nasz pomysł ma symptomy – jak zawsze – koncepcji przełomowej. Mniemamy oto, że niejako przy okazji szalejącej epidemii i akcji szczepionkowej trzeba by też zacząć szczepić ludzi przeciw wściekliźnie. Można by robić to tak samo, jak czyni się z lisami. Oto nad areałem objętym akcją latają samoloty zrzucające ciastka ze szczepionką. Lis – popatrzmy – idący do pracy w kurniku znajduje ciastko, zjada je, macha kitą i tarza się w trawie z miłości do drobiu. Dzięki tej prostej metodzie lisy są dziś, jak jeden mąż, do rany przyłóż i wszyscy to wiemy.

Można by także czynić z ludźmi. Wyobrażamy sobie to tak, że nad miastami i wsiami latają samoloty i zrzucają szczepionkę przeciw wściekliźnie, rozcieńczoną w małych formatach, dajmy na to agrestówki, ale może być też truskawkówka. Człowiek idący do pracy, powiedzmy na rynku bądź to na podwórzu swego gospodarstwa, znajdowałby buteleczkę i wychylałby ją ku radości nas wszystkich, a ku rozpaczy mediów i polityków żyjących z chamstwa i nienawiści.

Akcja taka, to znaczy ten sposób przyjmowania szczepionki, miałaby niesłychane walory motywacyjne i edukacyjne. Bardzo prędko Polska stałaby się krajem sensacyjnie wolnym nie tylko od nienawiści, ale i od antyszczepionkowców. Ruch antyszczepionkowy, popatrzmy, uległby szalonemu zmarginalizowaniu. No więc w czasach, w których wszyscy wokół siedzą z opuszczonymi rękami, taka inicjatywa byłaby miłą, dającą nadzieję – każdy to powie – odmianą. Rzecz jasna liczymy, że nasza inwencja nie pozostanie bez nagrody finansowej albo rzeczowej, a władze wakcynologiczne zdobędą się na miły gest i prześlą nam choćby honorowy dyplom.

Przejdziemy teraz do wplecionego powyżej motywu opuszczonych rąk. Otóż z rozczarowaniem i bezrefleksyjnym żalem określone media odnotowały, że aż trzydzieści jeden procent obywateli nie jest zainteresowanych nagraniami, na których mesjasz polskiej katoprawicy w dwie godziny użył ponad dwieście pięćdziesiąt razy najpopularniejszego polskiego słowa.

Ten brak zaciekawienia jest o tyle nowy, że przez wiele lat nagrania, na których najpopularniejsze polskie słowo występowało w mniejszym stężeniu, budziły w masach pobudzenie, refluksy moralne, naprężenie mięśni gładkich i prążkowanych, a wszystko to razem przekładało się ponoć na decyzje wyborcze. Skąd to znudzenie? Odpuszczenie? Brak reakcji? Pomyślmy.

Być może ludzie wcale nie chcą słuchać, jak mesjasz katoprawicy łamie prawo i niszczy swoją rodzinę, posługując się przy tym najwstrętniejszym językiem i metodami. Jest to domniemanie, rzec trzeba, cacane. Naszym skromnym, ale surowym zdaniem prawdziwych przyczyn jest kilka. Po pierwsze, winne jest uczucie przesytu tak licznymi w Polsce spektaklami w sferze audio i zupełny brak nagrań wideo. Po drugie – temu też nie da się zaprzeczyć – spada popularność nagrań w ogóle, nie tylko tego ostatniego – uderza w nich bowiem monotonia narracyjna i przykra skromność środków wyrazu, zła polszczyzna i język branżowy, niepojmowalny dla publiczności szerszej. Po trzecie, najpopularniejsze polskie słowo i jemu podobne używane są wciąż w tych samych kontekstach, to jest niszczenia komuś kariery, życia prywatnego, złodziejstwa i korupcji. To się ludziom jednak jakoś nudzi, zwłaszcza jeżeli jest opowiedziane źle, za długo i za często. Zważmy, że boski dar narracji to nie jest coś, czym polski polityk mógłby się chwalić, nawet w swoim okręgu wyborczym, a co dopiero na niwie szerszej. Smutny średniak w parlamencie posługuje się w porywach pięćdziesięcioma słowami, z czego dwadzieścia to przekleństwa, taka jest prawda.

Po czwarte w końcu, chwila zastanowienia powinna pozwolić nam na stwierdzenie, że wulgaryzmy, podobnie jak dowody na złodziejstwo, stręczycielstwo, polityczny nierząd, zatrudnianie rodzin, cokolwiek z tej puli czynów ongiś haniebnych, nie mają żadnego znaczenia, czy, jak kto woli, przełożenia na życie publiczne. To na razie teoria. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

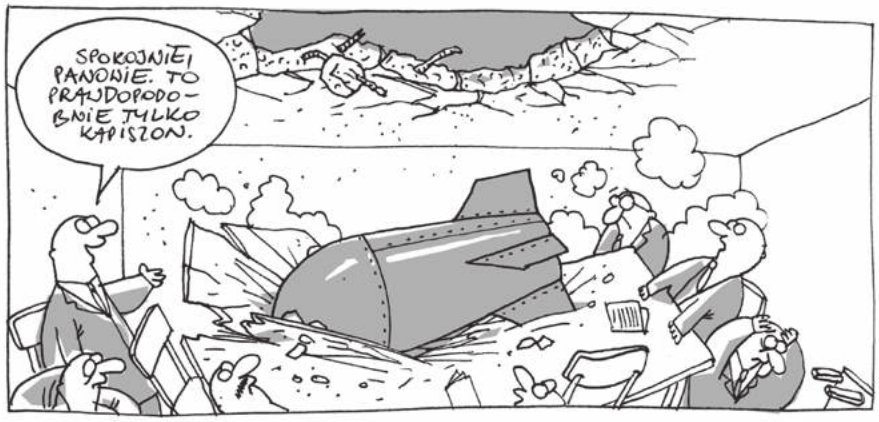

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy
Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania
na **powszech.net/podkast**

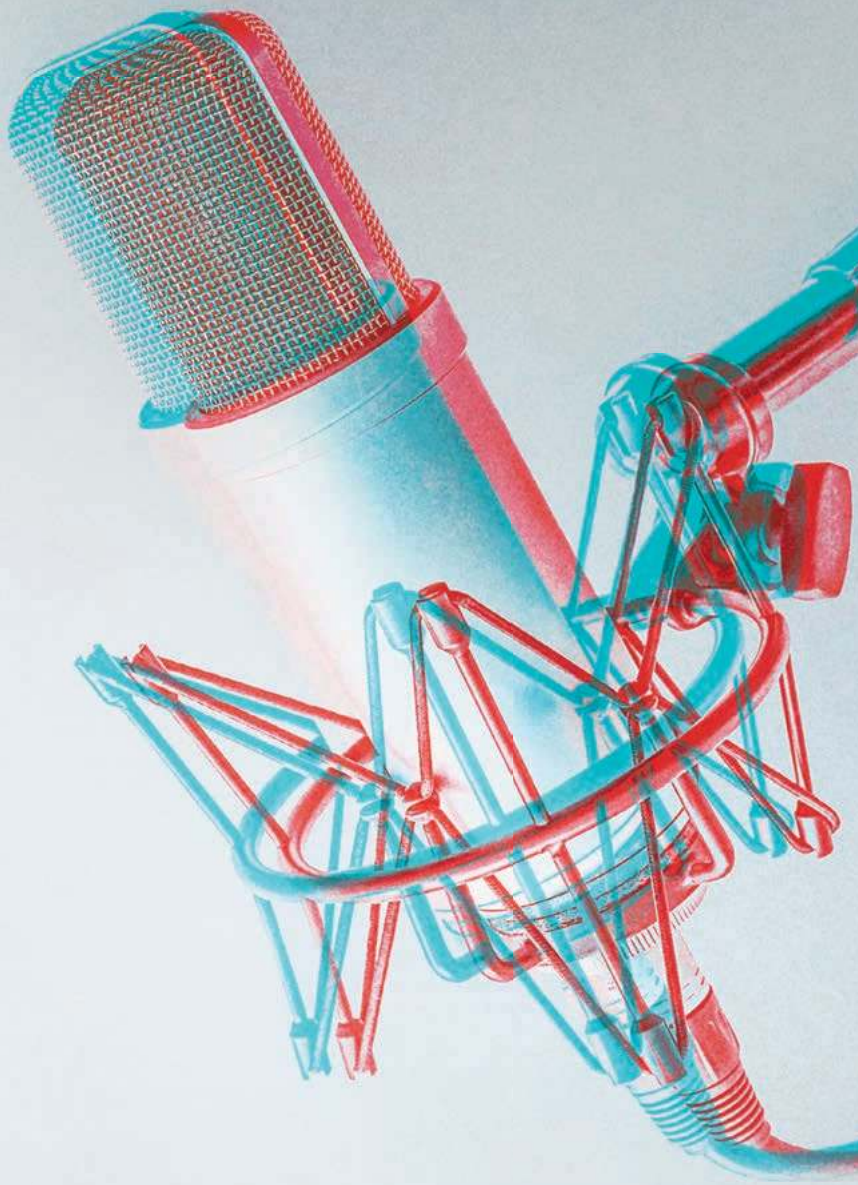

weź, słuchaj!

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

S-Biznes internet symetryczny dla firm

s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps

1000/1000

S-Biznes 500Mbps

500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl